

SYLWIA  
KUBIK



# Mennonitka i hrabia

Pierwsza na świecie powieść  
obyczajowa o mennonitach!

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA



SYLWIA  
KUBIK



Mennonitka  
i hrabia

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Mennonici

Podziękowania

Przypisy

Redakcja  
*Agnieszka Czapczyk*

Korekta  
*Janusz Sigismund*

Projekt graficzny okładki  
*Anna Slotorsz*

Zdjęcia wykorzystane na okładce  
©Kathy/AdobeStock, Bereta/AdobeStock, Yuriy Mazur/AdobeStock

Skład i łamanie  
*Marcin Labus*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023  
© Copyright by Sylwia Kubik, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83291-38-3



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81  
[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)





Konwersja: [eLitera s.c.](#)



Żuławy, 1878 rok



*Arkadiuszowi Ciszewskiemu –  
w podziękowaniu za zainteresowanie mnie tema-  
tem mennonitów, życzliwą pomoc, dzielenie się wie-  
dzą oraz wsparcie w trakcie tworzenia.*

# Prolog



Jechali ubitym traktem wzdłuż rzeki. Pogoda zmieniła się nagle, bez ostrzeżenia. Śnieg padał coraz mocniej. Wzmagał się wiatr, który bez przeszkód hulał po otwartej przestrzeni. Płaskie połacie pól ułatwiały mu zadanie, z rzadka hamując jego pęd.

Służący świsnął batem, zachęcając konie do szybszego galopu. Na niewiele jednak się zdało. Nadciągała burza śnieżna.

– Panie, drogi nie widać. Konie grzęzną w śniegu. Nie przejedziemy! – zawołał ze strachem w głosie woźnica.

– Zjedź gdzieś! Muszą tu być jakieś chałupy.

– Panie, nic nie widać – potwierdził siedzący obok woźnicy sługa. – Wszędzie białe.

Hrabia wychylił głowę z sań, nie wierząc ich słowom. Jechał tą drogą nie pierwszy raz i wiedział, że są tu zarówno chałupy, jak i całkiem zasobne gospodarstwa.

Nie dostrzegł nic. Wyteżał wzrok, ale widoczność była bardzo ograniczona. Śnieg wirował, spowijając wszystko grubą warstwą. Zimno wdzierało się pod owcze skóry, którymi był przykryty. Dalsza jazda była zbyt niebezpieczna.

– Zatrzymaj konie. Przeczekamy zamieć!

Mężczyzna ściągnął lejce. Konie momentalnie przysunęły się bliżej siebie. Służący podciągnął skórę trzymaną na kolanach i wraz z woźnicą skulił się na siedzisku, próbując osłonić się przed podmuchami wiatru niosącego kolejne warstwy śniegu. Podobnie uczynił hrabia, który zsunął się

w przestrzeń między siedzeniami, szczelnie nakrywając się wszystkim, co miał pod ręką.

Było mu strasznie zimno. Ręce, mimo iż je schował pod poły kożucha, szczyptały coraz mocniej. Rzęsy skleiły się od mrozu, a oddech skraplał, momentalnie zamarzając. Dygotał na całym ciele.

Przed oczami pojawiły się obrazy z dzieciństwa. Ukochany koń, którego podarował mu ojciec, i duma, jaką odczuwał, gdy przesadził pierwszy parkan. To szczęście było tak wielkie, że napłynęły mu do oczu łzy radości.

Po chwili emocje się zmieniły. Żal szarpnął jego sercem. Widział gasnące oczy i nikły uśmiech. Trzymał ojca mocno za rękę, nie chcąc pozwolić, żeby odszedł. Dłoń starszego mężczyzny powoli się wysuwała, lekko muskając palce syna. Ojciec zaczął się oddalać, a on poczuł dojmującą pustkę i samotność.

Chciał wołać, krzyczeć, ale nie mógł wydobyć głosu. Zimno spowiło jego ciało.

Zrobiło mu się ciepło, bardzo ciepło.

Wszystko inne zniknęło.

Przestał czuć cokolwiek.

# Rozdział 1



Wygłoszone przez pana Esau kazanie wciąż dźwięczało Gretchen w uszach. Bardzo ceniła go jako człowieka, ale i jako mówcę, który w prostych słowach potrafił wyłożyć wszystko to, co ważne i wyznaczające kierunek w codziennym działaniu.

– Gretchen – zwróciła się do niej matka. – Ojciec z Jacobem idą na zebranie, więc odwiedzimy panią Wiebe.

– Dobrze, matko.

Ruszyły w kierunku domu znajomych, który mieścił się niedaleko kościoła. Gretchen widziała mężczyzn zmierzających do gospodarstwa państwa Lotze mieszkających tuż obok rodziny Wiebe. Tam właśnie miało odbyć się spotkanie. Doskonale pamiętała, że planowano dzisiaj ustalić składkę na dom dla ubogich i chorych. Ojciec zawsze hojnie wspierał wszystkie wspólnotowe inicjatywy, a i ona z matką dokładały starań, żeby dary przekazywane w naturze były jak najlepszej jakości.

Dom wybudowano w zeszłym roku po powodzi, która uczyniła wiele szkód we wsi. Gospodarstwo Dycków, usadowione na dość wysokim terenie, uniknęło zalania. Część uszkodzonych budynków innych bauerów, dzięki współdziałaniu sąsiadów, szybko doprowadzono do porządku. Zatonionych upraw nie dało się odzyskać, ale i tu z pomocą ruszyła wspólnota. Podzielili się tym, co mieli, spłatę odkładając na czas późniejszy.

Było jednak także kilka rodzin, złożonych z osób starych i schorowanych, które wskutek różnych wydarzeń losowych nie miały potomstwa mogącego się nimi opiekować, więc ich domy już od lat podupadały. Powódź tylko przyspieszyła agonię tych budynków. Ich odnowienie nie miało

sensu, więc podjęto decyzję, że wybudują dla nich jeden wspólny dom na placu wydzielonym przy kościele. Hospicja i domy dla starych i chorych funkcjonowały też w sąsiednich wspólnotach, gdyż mennonicy nigdy nikogo ze swoich współwyznawców nie zostawiali bez opieki.

Solidarność i odpowiedzialność za współtowarzyszy była jedną z cech wyróżniających mennonitów spośród innych społeczności, ale kilkoro starszych mieszkańców, którzy przed powodzią żyli samodzielnie w skromnych gospodarstwach, miało opory przed korzystaniem z jałmużny. Ustalono więc, że ci, którzy będą się czuli na siłach, pomogą wiosną i latem w polu, inni zaś zajmą się wyplataniem koszy, przędzeniem wełny oraz po mniejszymi pracami ręcznymi na rzecz wspólnoty.

Annchen Dyck, matka Gretchen, oraz pani Wiebe przodowały w pracach związanych z organizacją domu dla ubogich. Miały już dorosłe dzieci, uznały więc, że ich obowiązkiem jest służenie swoją pracą oraz wolnym czasem. W działania te zaangażowały córki, które choć zdatne już do ożenku, wciąż czekały na odpowiednich kandydatów.

Zarówno Gretchen, jak i Leonore Wiebe pochodziły z zamożnych domów. Piękne i pracowite, przyjaźniły się od najmłodszych lat. Ich starsze rodzeństwo, poza bratem Gretchen – Jacobem, założyło już swoje rodziny, osiedlając się w bliskiej okolicy. Dziewczyny często się spotykały przy okazji różnych zebrań, uroczystości czy też zwykłych sąsiedzkich odwiedzin. W miesiącach mniej intensywnej pracy jeździły do nich, żeby pomagać przy ich licznym potomstwie, którego każdego roku przybywało.

Leonore podczas ostatnich odwiedzin u siostry miała okazję spędzić trochę czasu w towarzystwie Isaaka Friesena. Był młodym wdowcem, który został z trójką małoletnich chłopców. Zamierzał się starać o rękę Leonore. Gretchen nie miała jeszcze okazji z nią o tym porozmawiać i liczyła, że dzisiaj znajdą chwilę na swobodną rozmowę.

Nie omyliła się. Gdy tylko weszły do Wiebów, zostały ugoszczone kawą i ciastem. Matki, po wymienieniu grzeczności i omówieniu kazania pana Esau, skupiły się na bieżących sprawach związanych z domem dla ubogich. Szczegółowo rozprawały o potrzebnym zaopatrzeniu oraz konieczności

obstalowania nowych butów dla pani Wienss, najstarszej podopiecznej, która mimo wieku i choroby prawie codziennie chodziła nad rzekę zrywać trzcinę, z której wyplatała maty. Odżegnywały ją wielokrotnie od tych wypraw, ale był to lubiany przez nią rytuał i nie chciała z niego rezygnować.

– Mamo – zapytała grzecznie Leonore, gdy kobiety przerwały na chwilę rozmowę – możemy iść do mojego pokoju?

Panie Wiebe spojrzała na nią z lekkim zaskoczeniem. Tak się wciągnęła w rozmowę, że zapomniała o ich obecności.

– Tak, idźcie. Jeszcze nam tu chwilę zejdzie, a i zebranie pewnie szybciej niż za godzinę się nie skończy.

Dziewczęta z ulgą opuściły wielką izbę i przeszły do pokoju Leonore, który był mniejszy, ale dzięki temu bardziej przytulny. Skłaniający do sekretnych rozmów i wymiany tajemnic.

– Jak ci się podobała wizyta u siostry? – zapytała Gretchen, zajmując miejsce przy małym stoliku. – Doszła już do siebie po porodzie?

– Tak, czuje się dobrze, a moja mała siostrzenica jest urocza. Skradła nasze serca.

– Wszystkie małe dzieci są słodkie. Najbardziej lubię niemowlaki.

– Ja też! Im starsze, tym więcej mówią i ciągle o coś pytają. To bywa męczące.

– Właśnie – przytaknęła Gretchen i spojrzała na przyjaciółkę uważnie. – Dzieci Isaaka są jeszcze małe. Miałaś okazję poznać je bliżej?

Na policzkach Leonore pojawił się rumieniec, który próbowała zamaskować, poprawiając śnieżnobiały czepek skrywający jej pszeniczne włosy.

– Tak, dość często odwiedzali moją siostrę, a i my raz byliśmy u nich z wizytą – odparła, zajmując miejsce na wprost przyjaciółki. – Najstarszy chłopiec ma pięć lat, ale nie jest męczący. Głównie milczy i słucha, rzadko zadaje pytania. Młodszy ma trzy latka, a najmłodszy dwa i z nim właśnie jest najwięcej problemu. Bardzo ruchliwy, w miejscu nie usiedzi i ma mnóstwo pytań. Wszystko go ciekawi.

– Polubiłaś ich?

– Sama nie wiem – odparła Leonore, szarpiąc lekko wiązanie czepka. – To miłe dzieci i zasługują na najlepszą opiekę.

– Naturalnie. Te młodsze niewiele pamiętają, ale starszy chłopiec pewnie tęskni.

– On akurat jest bardzo spokojny. Często się zamyśla i tak smutno patrzy, że aż żal chwyta za serce. Jego bracia zaś są bardzo rozbrykani. Zupełnie inni niż dzieci mojej siostry.

– Isaak pewnie trochę ich rozpieścił, chcąc wynagrodzić stratę matki.

– Myślę, że to raczej jego matka, która mu pomaga i się nimi zajmuje. To starsza kobieta i pozwala im na zbyt wiele. Chyba brak jej sił do pilnowania, wychowywania i dyscyplinowania tej gromadki. A Isaak ma tyle pracy w gospodarstwie, że rzadko ich widzi.

– To zrozumiałe. Dużo ziemi, bydła, więc nawet zimą jest co robić – przytaknęła ze zrozumieniem Gretchen. – Rozmawiał już z twoim ojcem?

– Tak. Ojciec mnie do niego przekonuje, bo to dobra partia. Ma ładny dom i duże gospodarstwo. Jest pracowity i o wszystko dba. Nie ma długów ani żadnych nałogów. Wspiera działania wspólnoty i właściwie nic mu nie można zarzucić.

– To wiem, mieszka przecież niedaleko nas. Pytałam jednak, co ty o nim sądzisz?

Leonore wstała z wyściełanego poduszkami drewnianego krzesła i podeszła do sekretarzyka. Chwyciła leżącą na nim Biblię i zaczęła ją machinalnie kartkować. Wreszcie zamknęła księgę z trzaskiem, odłożyła i ponownie usiadła na krześle.

– Och, Gretchen! Zupełnie nie wiem, co mam myśleć.

– Leonore, przecież nie musisz go poślubiać. Twój ojciec nie będzie cię zmuszał do ożenku z kimś, kto jest ci niemiły.

– To nie tak – zaprzeczyła żywo. – To dobry człowiek, podpora naszej społeczności. I ja go szanuję. A nawet lubię.

– Ale?



– Boję się, że nie podołam obowiązkom matki trójki dzieci. Wiesz, tak od razu. Zupełnie inaczej, gdy dzieci wychowuje się od początku, a inaczej, gdy musisz wejść na czyjeś miejsce. Nie wiem, czy mnie zaakceptują jako swoją matkę. I nie wiem, czy ja je pokocham...

– Będiesz dla nich dobra. Wiem to. Znam cię. Zrobisz wszystko, żeby wychować ich na porządnym ludzi.

– Czy to wystarczy? Dzieci powinno się nie tylko dobrze traktować i wychowywać, ale i kochać. Biblia przecież mówi, że miłość jest najważniejsza.

– Nie umiem ci doradzić.

– Nikt nie umie – odparła smutnym głosem. – Ojciec mówi, że to dobry człowiek i zasługuje na oddaną mu żonę. Matka z kolei uważa, że dzieci są jeszcze małe i się do siebie przyzwyczaimy. Podkreśla też, że obowiązkiem wspólnoty jest zadbać o te sieroty. Nie mogą się wychowywać bez kobiecej ręki.

– Przecież babka się nimi zajmuje.

– Tak, ale ona chce wrócić do swojego domu, więc naciska na syna, żeby znalazł żonę. Boję się, że zanim ja się zdecyduję, on się rozmyśli, ale boję się również tego, że nie podołam zadaniu. Będę złą matką i żoną, a Isaak będzie żałował, że mnie poślubił.

– Leonore, na pewno będziesz doskonałą żoną i matką. Każdy popełnia błędy, więc i tobie może jakieś się przytrafią, ale cóż to znaczy? Nic. Normalna, ludzka sprawa, więc może warto posłuchać rodziców i dać mu szansę?

– Może – odparła machinalnie, wygładzając suknię. – Rodzice dali mi czas do namysłu, więc ciągle się nad tym zastanawiam. I gdy wydaje mi się, że już podjęłam decyzję, to przychodzi nowa myśl do głowy, która tak mi mąci i od nowa zaczynam rozważać.

Gretchen rozumiała rozterki przyjaciółki. Nie chciałaby znaleźć się na jej miejscu. Zajmowanie miejsca kobiety, która była lubiana i stanowiła wzór wszelkich cnót, zawsze jest trudne. Tym trudniejsze, gdy zostało po niej trzech niedorostków, którym trzeba stworzyć nową rodzinę, nie burząc

przy tym wizerunku matki utrwalonego w sercach i pamięci. Tak, zdecydowanie nie jest łatwo być drugą matką, a jeszcze trudniej być drugą żoną. Widziała jednak, że Leonore jest zainteresowana Isaakiem bardziej, niż przyznaje. Nie umiała jej doradzić, więc postanowiła ograniczyć się do okazania wsparcia.

– Leonore. Cokolwiek zdecydujesz, wiedz, że jestem i zawsze możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję, Gretchen. Dobrze mieć świadomość, że otaczają mnie życzliwi ludzie, chcący mego dobra – odparła wzruszona. – Wiesz? Gdybym się zgodziła, to stałabym się prawie twoją sąsiadką zza miedzy.

– Dopóki ja za męża nie pójdę – przypomniała jej Gretchen.

– O czymś nie wiem? Planujesz coś?

– Nie, jest mi dobrze tak jak jest, ale matka coraz częściej wspomina, że czas na ożenek. Ojciec na razie nie podejmuje tematu, lecz wiesz, moje siostry w tym wieku miały już swoje rodziny, więc niebawem pewnie i dla mnie męża będą szukali.

– W okolicy nie ma zbyt wielu kawalerów w odpowiednim wieku i z odpowiednią ilością ziemi.

– Kilku jest, ale za żadnego bym nie chciała iść.

– Gretchen! Mam nadzieję, że obie wyjdziemy dobrze i szczęśliwie za męża.

– Oby. Czas jednak na mnie. Słyszę nasze matki, więc pewnie będą nas zaraz wołać.

Nie myliła się. Gdy wyszły z pokoju, kobiety stały w sieni i kończyły ustalać ostatnie sprawy. Matka Gretchen zapinała obszerne futro, więc i ona sięgnęła po swoje.

Pożegnały się i odprowadzone przez gospodynię, wyszły przed dom. Ojciec podjechał pod podcień, a niedawno malowane przez Katta wzory na saniach zaśniły w promieniach słońca. Wyglądały zachwycająco.

Gretchen wraz z matką umościły się w pojeździe wyłożonym kożuchami. Brat usiadł obok ojca, który cmoknął na konia, przecinając powie-

trze batem.

Blessfuchs ruszył żwawo i po chwili płozy gładko sunęły w stronę domu.

## Rozdział 2



W domu panował ziąb. Puchata pierzyna przyjemnie otulała ciało, chroniąc przed chłodnymi podmuchami. Za oknem szalał wiatr, wdzierając się szczelinami do izby Gretchen. Przeciągnęła się, łapiąc resztki snu. Najchętniej poleżałaby jeszcze trochę, ale natarczywy głos sumienia ostro osądzał jej lenistwo. Spłoszona wyskoczyła z łóżka, narzucając na plecy ciepłą, wełnianą chustę. Zaścieliła łóżko, naciągnęła na nie piękną kapę i ukradkiem rzuciła tęskne spojrzenie na wgłębienie w poduszce.

Potrząsnęła głową, odganiając niechciane myśli. Przyklęła przy łóżku, by odmówić gorliwie poranną modlitwę. Nie zapomniała przeprosić za niechęć do pracy, która ją nieoczekiwanie ogarnęła. Było to rzadkie uczucie. Lubiła pracować, rozumiała sens wykonywanych zajęć i odczuwała wdzięczność, że Bóg tak hojnie ich obdarował. Zajęć miała dużo, zapępiały dni od rana do wieczora, ale dzięki temu niczego im nie brakowało. Żyli dostatnio, nie żałując sobie jedzenia, ubrań, porządnych mebli czy wygodnych pojazdów. Było to możliwe dzięki temu, że każdy członek rodziny należycie i z oddaniem wykonywał swoje obowiązki.

Rozumiała to i wierzyła w słuszność takiego działania. Tylko czasami, w takie dni jak ten, wietrzne i zimne, niełatwo było zerwać się z łóżka przed świtem. Później, gdy promienie słońca zaczynały wdziierać się przez okna, praca przychodziła łatwiej. Człowiek stawał się radosny i wykonywał wszystko z należytą energią.

Po skończonej modlitwie zdjęła z krzesła przygotowane halki oraz ciemną, wełnianą sukienkę. Na wierzch założyła biały, płócienny fartuch

obrębiony koronką oraz zarzuciła na plecy dużą, ciepłą chustę, która chroniła przed chłodem.

Nie rozpałała w swojej izbie. I tak w dzień nie miałyby czasu, żeby tu posiedzieć. Większość dnia spędzi w czarnej kuchni<sup>[1]</sup>, szykując sery oraz masło. Latem czynności te wykonywała w oborze. Miała tam specjalne pomieszczenie przystosowane do produkcji wyrobów mleczarskich. Zimą przenosiła się do kuchni, gdzie ciepło buchające z pieca wypełniało całe pomieszczenie, sprawiając, że mogła zrzucić chustę i swobodnie pracować.

Weszła do kuchni przesiąkniętej aromatami jedzenia. Zapaliła lampkę oliwną i podkręciła płomień. Na palenisku był jeszcze żar, więc rozgarnęła go, podrzuciła drobno łupane drewnka i zaczęła delikatnie rozdmuchiwać ogień. Po chwili pojawiły się jasno świecące płomienie, które z cichym sykem otuliły drewnka. Uśmiech pojawił się na jej twarzy. Lubiła patrzeć, jak mała iskra zmieniała się w duży, żwawo płonący ogień.

Usłyszała szmer w sieni. Ojciec i brat zapewne szli do obory wydoić krowy i zrobić obrządek. W czasie zasiewów i zbiorów to ona z matką doily krowy i karmiły bydło oraz trzodę. Mężczyźni mieli wtedy inne obowiązki i już o świcie wyjeżdżali w pole. Podobnie jak dwaj parobcy, których zatrudniali do pomocy od wiosny do jesieni. Gdy wracali wieczorem, zajmowali się wygnajaniem i podścielaniem.

Tak, to był bardzo intensywny czas dla wszystkich. Miło jednak było pracować, kiedy połacie ziemi spowijała zieleń, kwiaty nęciły zapachami i kolorem, owady dźwięcznie bzyczały, a ptaki od rana wyśpiewywały swe pieśni.

Najmniej obowiązków było zimą. Wtedy mogła zająć się zaległymi wyrobami rękodzielniczymi, tkaniem, wyszywaniem i czytaniem oraz odwiedzinami.

– Rozpałaś już – zauważyła matka, wchodząc do kuchni. – Dobrze.

– Tak. Zimno dzisiaj, to może zacierki zrobię? Rozgrzejecie się przed jazdą.

– To dobry pomysł. Do Tiegenhof<sup>[2]</sup> nie jest daleko, ale mocno wieje.

Gretchen sięgnęła po skopek<sup>[3]</sup> mleka i odmierzyła dwie kwarty<sup>[4]</sup>. Wlała do garnka, dała szczyptę soli i postawiła na ogniu. Do kuchennej woni dołączył kolejny zapach, który nieodłącznie kojarzył jej się z domem rodzinnym. Anchenn w tym czasie ukroiła kilka kromek ciemnego chleba, wyjęła masło oraz ser.

– Zaraz będzie gotowe – stwierdziła Gretchen, mieszając mąkę z jajkiem i odrobiną mleka. – Jeszcze tylko zacierki ukręcę.

– Tylko mieszaj dobrze, jak wlejesz, żeby nie przywarło. Ojciec z Jacobem pewnie zaraz przyjdą. Dzisiaj mieli tylko wydoić i nakarmić.

– Tak, wiem, mamo. Zostaniecie u Hammów na noc czy wrócić?

– Wolałabym wrócić, ale twoja siostra na pewno nas nie puści. Poza tym ojciec chciał zobaczyć unowocześnienia, które wprowadzili w browarze i wytwórni octu.

– Też bym chętnie zobaczyła.

– Pojedziesz do niej na kilka dni. Może w przyszłym tygodniu? Dzieci bardzo się ucieszą.

– No nie wiem. – Gretchen się roześmiała. – Obiecałam, że pouczę Hermanną arytmetyki. To jedyne, czego ten bystry chłopak nie może przyswoić. Helene jest zła, że mimo jej wysiłków nie może pojąć zasad.

– Wierzę, że ty sobie z tym poradzisz. Masz dar do nauczania, a szczególnie do liczenia.

– Dzięki ojcu, to on nam przecież cały czas kładł do głów, że musimy dobrze rachować, żeby gospodarstwo odpowiednio prowadzić i interesy robić.

– Słusznie mówił. Zna się na handlu, więc wy też powinniście.

– Matko, przecież wiesz, że mnie nikt nigdy nie dopuści do handlowania. To nie uchodzi, żeby kobieta interesami się zajmowała.

– Nie mów głupot, Gretchen. Kto niby w naszym domu prowadzi księgi rachunkowe? Rozlicza mleko, sery, masło? Oblicza wydatki na dom i na potrzebne sprzęty?

– Ty, mammo, ale sprawy obliczania zboża potrzebnego pod zasiew, sprzedaż wieprzowiny, wołowiny, gęsi, tym przecież ojciec się zajmuje. On robi zamówienia, sprowadza zakupy, jeździ do miasta.

– I co z tego? Myślisz, że moje rozliczenia są mniej ważne niż jego?

– Nie, ale...

– Nie ma żadnego „ale”, córko. Umiejętność rachowania jest potrzebna. Każdy z nas zajmuje się inną częścią gospodarskiej księgowości, ale wszystkie części muszą być rzetelnie i sprawnie prowadzone, bo dopiero połączone w całość stanowią o istocie naszego majątku.

Słowa matki były słuszne i Gretchen doskonale o tym wiedziała. Nigdy nie zazdrościła ojcu ani Jacobowi, że jeżdżą do miasta, prowadzą interesy. Świat poza ich społecznością ciekawił ją, ale nie na tyle, żeby tam jechać. Wystarczyły jej opowieści. Tu, w domu, na podwórzu i w polach był cały jej świat. Kochała to miejsce. Podobnie jak ludzi, tych bliskich i tych obcych, z którymi nie była spokrewniona, ale łączył ich ten sam światopogląd, zasady i wiara. Wiedziała, że poza obrębem ich wsi życie wygląda inaczej. Słyszała o ludziach zamożnych żyjących z wyzysku, z pracy innych, chłopów przede wszystkim, obciążonych pańszczyzną tak mocno, że wielu z nich żyło bardzo ubogo, niekiedy przez całe życie nie najadając się do syta.

Pogrążona w myślach, mieszała intensywnie mleko. Ich społeczność też przeszła różne zawirowania. Wielu dla wiary poświęciło życie. Inni, jak jej przodkowie, uciekli z Holandii przed prześladowaniami. W Polsce znaleźli miejsce, gdzie ich inność była tolerowana. Osiedlali się na terenach zalewowych, osuszając je, a wydartą wodzie ziemię obsiewali, płacąc wysokie podatki, ale i zapewniając sobie dostatni byt. Po latach spokoju doszło do rozbioru Polski, a oni znaleźli się na terenie Prus. Migrowali do kolejnych miejscowości, szukając miejsca, gdzie będą mogli nadal żyć według zasad, w które wierzyli. Część, skuszona obietnicami i dobrymi warunkami osadniczymi, wyjechała do Rosji. Później emigrowali dalej, do Kanady i Ameryki. Oni zostali tutaj, wrastając coraz bardziej w żuławską ziemię, tak bardzo podobną do ich rodzimej.

– Zacierki już gotowe – zauważyła matka. – Ściągnij je z ognia.

– Ach, tak, już zdejmuję.

– Nad czym się tak zamyśliłaś? Arytmetyka nie daje ci spokoju czy podział obowiązków w domu?

– Nie, myślałam o naszej codzienności, wierze i społeczności. O tym, że tak bardzo różni się ono od życia naszych sąsiadów.

– Gretchen, Pismo Święte jest jedno i takie same słowa są zawarte u nas, jak i u nich. Z tym że oni poszli w obrzędowość, skupili się na otoczce wiary, a nie na tym, co ważne. W Biblii wyraźnie jest zapisane „nie zabijaj”. I my nie zabijamy, nie walczymy, płacimy ogromne podatki, żeby naszych mężczyzn nie werbowano do wojska. Nie bierzemy udziału w powstaniach i wojnach, bo tak nam nakazał Pan. Zobacz, do czego prowadzą walki. Ludzie tracą życie, majątki, są zniewaleni. My zaś żyjemy zgodnie ze słowem Bożym, w pokoju i spokoju.

– Polacy walczyli o odzyskanie ojczyzny.

– To tylko ziemia, córko. I tak nie należy do człowieka. Trzeba dbać o wiarę, a wtedy ona zastąpi każdy dom.

– Dlatego nasi braci i siostry tak często migrują? W obronie wiary?

– Tak. Bo to jest dla nas najważniejsze. Nie przywiązujemy się do miejsc i nawet jak szczególnie ukochamy jakiś kawałek ziemi, to on nie może być ważniejszy od Boga.

– Jednak przecież i u nas zaszły zmiany. Żyjemy trochę inaczej niż nasi dziadkowie i pradiadkowie.

– To nieuniknione. Wszystko się rozwija i zmienia. Korzystamy z tego, co daje nauka, bo to pomaga nam jeszcze lepiej pracować na chwałę Pana. Nie zamykamy się na świat, tylko na to, co jest sprzeczne z naszą wiarą.

Coraz bardziej słyszalny szmer w sieni przerwał ich rozmowę. Gretchen nie chciała, żeby ojciec słyszał jej pytania. Wiedziała, że zacznie wtedy ją pytać, skłaniać do rozważań i większego skupienia na słowach zawartych w Biblii. Znała je doskonale. Jak każdy mennonita, czytała świętą księgę, odkąd nauczyła się składać literki w całość. Godzinami rozważała różne za-



gadnienia. Często też dysputowali, analizując poszczególne fragmenty. Mimo to dopadały ją niekiedy wątpliwości, których nie potrafiła wytłumaczyć ani nawet sformułować. Gdzieś nieśmiało jej majaczyło, że ich styl życia jest pewną formą ucieczki, próbą schronienia się przed pokusami świata zewnętrznego. Unikaniem. A unika się tego, czego człowiek się boi, nie rozumie lub też obawia się, że ulegnie. Właśnie. Czy wspólnota boi się, że jej członkowie w konfrontacji z możliwością innego życia porzucą swoje zasady?

## Rozdział 3



Po południu rozszalała się burza śnieżna. Wiatr dał nieprzyjemnie, raz po raz uderzając w ściany domu. Świata z okien nie było widać, bo wszystko spowiły białe obłoki, tworząc mleczną ścianę. Zwierzęta niespokojnie zawodziły w oborze. Jacob co chwilę tam zachodził, żeby je uspokoić. Nic to jednak nie pomagało. Były przerażone wyciem wiatru, który wdzierał się pod strzechę, sprawiając, że cały budynek zdawał się drzeć.

Gretchen miała w planie tkanie płótna na koszule. W ich społeczności dawniej wszyscy tkali i przędli len, którego uprawie sprzyjało bliskie sąsiedztwo rzeki zapewniającej odpowiednią ilość wody do jego obróbki. Była to żmudna praca, która skutecznie zapełniała zimowe wieczory. Odkąd siostry założyły rodziny i poszły na swoje, miały z matką coraz większy problem, aby nastarczyć tyle płótna, ile przez cały rok potrzebowali. Poświęcały więc temu zajęciu wszystkie wolne chwile. Mogły to robić tylko zimą, gdyż w czasie pozostałych pór roku miały zbyt wiele zajęć w domu i obejściu.

Właściwie one jako jedne z nielicznych zajmowały się tym we wsi. Kobiety odeszły od tego zajęcia, uznając, że taniej jest kupić gotowe płótno niż całe dni poświęcać na obrabianie lnu. Uznawała słuszność tych argumentów, ale tradycja tkania była w niej i matce tak silnie zakorzeniona, że argumenty finansowe czy czasowe nie mogły ich skłonić do zmiany nawyków.

Usiadła do krosna, ale huk wiatru uderzającego o budynek był coraz głośniejszy. Nie mogła skupić się na pracy. Poszła do wielkiej izby i otworzywszy swoją Biblię, zaczęła się modlić. Była pewna, że rodzice dzisiaj nie

wrócą, a i jutro drogi nie będą przejezdne, więc ich wizyta się przedłuży. Dom wydawał się pusty i smutny. Chętnie pomodliłaby się razem z Jacobem, albo zwyczajnie porozmawiała, ale on wciąż siedział w oborze, uspokajając zwierzęta. Rzenie koni i muczenie krów było donośne i utrudniało skupienie się na modlitwie.

Poza tym w głowie wciąż rozbrzmiewała jej poranna dyskusja z matką. Gretchen bała się zmian, które tak szybko następowały, a jednocześnie coraz wyraźniej rozumiała, że konfrontacja z rzeczywistością, ze światem poza obrębem ich społeczności, jest nieunikniona. Nie była jednak na to gotowa.

Nerwowym gestem zamknęła Biblię i opatuliwszy się szczelnie chustą, przeszła sienią do obory. W środku panował półmrok rozświetlony światłem lamp powieszonych na hakach.

– Gretchen? Myślałem, że tkasz.

– Nie mogę się skupić. Zupełnie mi nie idzie, więc pomyślałam, że wezmę się za sery.

– Czym się martwisz? Pogoda? Rodzice na pewno zostali u Hammów, a nam nic nie grozi. Poza tym dom jest połączony z oborą i stajnią, więc nawet nie musimy wychodzić na dwór.

– Nie chodzi o to.

– To o co?

– Tak się zastanawiam. Wszystko wokół się zmienia, my też się zmieniamy, a jednocześnie żyjemy w pewnej izolacji od świata.

– Zawsze przecież tak żyliśmy. Taka jest nasza wiara i sposób życia.

– Skąd wiesz, że prawidłowy? Może to ucieczka przed światem i jego pokusami? Helene żyje w mieście i ich codzienność się zmieniła. Nie jest już taka, jaka była w domu. Jest... nowoczesna.

Jacob popatrzył na siostrę, zupełnie nie rozumiejąc jej rozterek. Nigdy się nie zastanawiał nad tym, jak żyją. Tak po prostu było i już.

– Chciałabyś żyć inaczej?

– Nie. Sęk w tym, że nie. Lubię nasze zasady, czuję się dzięki temu bezpiecznie. Tylko wciąż mnie nurtuje, czy to nie tchórzostwo. Nie ma pokus, nie ma prób, więc i łatwiej nam żyć zgodnie z zasadami.

– Przestań, Gretchen. To jakieś niedorzeczne myślenie. U nas nie ma prób? Wspomnij powodzie, pożary, choroby. Wiele nieszczęść nas spotyka, a mimo to potrafimy dalej działać razem, pomagać sobie i zawierzać nasz los Bogu. Może pokusy, które na nas czyhają, są inne, ale na pewno są.

– Może masz rację. Wezmę się lepiej za te sery, bo z bezczynności złe myśli mnie dopadają.

– To dobry pomysł. Jak to nie pomoże, to porozmawiaj ze starszym zboru albo ministrem, oni ci lepiej to wyłuszczą niż ja.

– Nie ma takiej potrzeby.

Sięgnęła po węborek<sup>[5]</sup> i przeszła z nim do czarnej kuchni. Odmierzyła odpowiednią porcję mleka na ser i wyuczonym ruchem wlała je do kociołka. Zaprawiła podpuszczką, ustawiła na skraju pieca i zaczęła intensywnie mieszać, żeby uzyskać skrzep. Znany rytm pozwolił uspokoić jej rozedrgane myśli. Widziała sens w tym, co robi. Wiedziała, że za chwilę odcedzi serwatkę, a skrzep rozdrobni na kawałki i włoży do form, z których za pomocą prasek odciśnie pozostałą wodę.

Miała zrobić jedną porcję, ale gdy tylko myślała o zakończeniu pracy, znowu nachodziły ją niechciane myśli. Pracowała więc do samego wieczora i gdy wkładała ostatnie krążki do solanki, żeby nabrały smaku, do kuchni zajrzał Jacob.

– Dzisiaj kolacji nie będzie?

– Będzie. Zaraz chleba ukroję i podgrzeję zupę z obiadu. Za dużo zrobiłam i trzeba dojeść.

– Praca pomogła czy dalej cię męczą rozterki?

– Pomogła – odparła i zdała sobie sprawę, że w istocie tak było.

Kolację zjedli w milczeniu, ale do swoich izb rozchodzili się w dobrych nastrojach. Gretchen zasypiała z lekkim sercem, wdzięczna, że targające nią wątpliwości ustąpiły.

Rankiem pogoda była już dużo łaskawsza. Za oknem panowała cisza i tylko hałdy nawianego śniegu przypominały o wczorajszej burzy śnieżnej. Hałas rozchodzący się po oborze, od której oddzielała ją izolowana ściana ogniowa, wskazywał, że Jacob kończy obrządek. Zdziwiło ją, że zaczął tak szybko. Wskoczyła z łóżka, zmówiła krótką modlitwę i prędko odziała się w swój codzienny stój.

Wychodziła właśnie z izby, gdy brat otworzył drzwi prowadzące do sieni.

– Tak wcześnie? Przecież dopiero świta. Jeszcze nawet nie rozpałam w kuchni.

– Nie szkodzi. Odgarnę śnieg ijadę zobaczyć, czy Weischel<sup>[6]</sup> już zamarła do Fürstenwerder<sup>[7]</sup>. Zwierzęta nakarmione, tylko krowy musisz wydoić.

– Dzisiaj? Drogi na pewno są zawiane, źle ci się będzie jechało, a przecież spory odcinek masz do pokonania.

– Ojciec z matką dziś, najdalej jutro wrócą i będą chcieli ruszyć z towarami. Sprawdzę przed ich powrotem i będziemy wiedzieli, czy warto się wyprawiać w podróż.

– Śniadanie chociaż zjedz. Mroźno jest, a czeka cię kilka godzin jazdy.

– Rozgrzeję się odsnieżaniem wjazdu, a zjem u Pennerów. Jak trochę przegłodnieję, to będzie lepiej smakowało.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, Jacobie. Wszędzie zaspasy, jazda zajmie ci cały dzień, a gdzie jeszcze powrót?

– Więcej wiary, Gretchen! – odparł z uśmiechem. – Mój wałach jest silny i wytrzymały, uporamy się z każdą zaspą.

Wiedziała, że dalsze przekonywanie brata nie ma sensu, więc otworzyła drzwi do obory, narzuciła roboczy fartuch i postanowiła, że zacznie od wydojenia krów. Gdy uporała się z tym zadaniem, chwyciła koszyk wiszący na belce i podeszła do wydzielonej części dla kur, które zawsze zimą trzymali w oborze. Nie było obawy, że zmarzną w czasie mrozu, a im ułatwiało to pracę, bo mieli wszystko w obrębie jednego budynku. Zebrała sporo jaj,

więc postanowiła, że na śniadanie zrobi smażone. To, że brat nie chciał śniadania, nie znaczyło, że i ona ma rezygnować z posiłku. Lubiła gotować, a jeszcze bardziej lubiła jeść. Uważała, że dobra strawa jest podstawą solidnej pracy, a tej miała dzisiaj w planie sporo.

Rozejrzała się po oborze, sprawdzając, czy nic nie przeoczyli. Po wnikliwych oględzinach uznała, że wszystko jest należycie wykonane. Nakarmione zwierzęta przeżuwały ospale ostatnie kęsy jedzenia. Uznała, że czas, aby i ona wreszcie coś zjadła.

W sieni było już jasno, ale przez zaszronione okna niewiele widziała. Słyszała jednak tętent końskich kopyt, co znaczyło, że brat ruszył w drogę. Poczła się nieswojo. Rzadko przebywała w domu sama, więc trudno było jej się przyzwycząić. W kuchni też dziwnie się czuła bez obecności matki. Chcąc zagłuszyć przejmującą ciszę, zaczęła śpiewać psalmy. Głos miała piękny. Tylko ona i Jacob mogli się pochwalić tak wyjątkową barwą. Wszyscy lubili ich słuchać, a najbardziej dzieci, które wtedy przystawały w bezruchu i wpatrywały się w nich z otwartymi ustami. Z chęcią nuciła im też kołysanki. Nie mogła zrozumieć, dlaczego dawniej ich współwyznawcy uznawali śpiewanie za coś zdrożnego. Znała historię, wiedziała o prześladowaniach i konieczności krycia się z wiarą, ale i tak nie mogła pojąć, że coś tak pięknego, danego przecież przez Boga było tyle czasu zakazane.

Kończyła właśnie sprzątać po śniadaniu, gdy z trzaskiem otworzyły się drzwi wejściowe.

– Gretchen! Gretchen, chodź szybko!

Wybiegła z kuchni przestraszona. W rozwartych na oścież drzwiach stał Jacob. Jego twarz wyrażała zaniepokojenie, a rozchełstane odzienie wskazywało, że musiał pędzić jak szalony. Nie zauważyła jednak żadnych śladów wypadku na jego ciele.

– Co się stało? Coś z rodzicami?! Złe wieści? Mów szybko!

– Nie, jacyś obcy ludzie mieli wypadek. Niedaleko nas, tam przy tych trzech wierzbach.

– Żyją?

– Chyba tak, są cali zmarznięci. Jeden coś mamrotał, tamci leżą jak w malignie – wyrzucił z siebie, z trudem łapiąc oddech. – Ubieraj się szybko i weź kilka pledów. Zaprzęgnę nasze stare sanie pojedziemy po nich.

– Weźmiesz Isaaka do pomocy?

– Za daleko, nie ma czasu, żeby po niego jechać. Musimy poradzić sobie sami.

Nie pytała już o nic więcej. Podeszła do schowka i wyjęła zapasowe pledy. Następnie wbiegła do kuchni i chwyciła dwie szklane butelki, które zawsze stały nad piecem, i wlała do nich gorącej wody. Dziękowała Bogu, że miała w planie sprzątanie i grzała sobie wodę do mycia sprzętów. Włożyła płaszcz, owinęła się wełnianą chustą, chwyciła pakunki i wybiegła na podwórko. Jacob właśnie wyjeżdżał ze stajni.

– Wskakuj. Nie ma chwili do stracenia.

Ledwo usiadła, gdy zaciął batem, ponaglając konie. Położyła obok siebie jedną butelkę i przykryła ją szczelnie dwoma pledami. To samo uczyniła na drugim siedzeniu. Miała nadzieję, że chociaż trochę uda się rozgrzać wychłodzone siedzenia.

Droga w istocie była cała zawiana, ale niska temperatura sprawiła, że śnieg zbity w jednolitą, twardą masę umożliwił szybką jazdę. Gretchen przysłoniła oczy ręką, gdyż odbijający promienie słońca, skrzący śnieg mocno ją raził.

– Patrz, już widać sanie – zawołał Jacob, wyciągając przed siebie dłoń. – Zawróć na polu i podjedziemy bokiem. Pomożesz mi ich przenieść.

– Dobrze.

Gretchen wyszła spod pledu i przyklękła na przednim siedzeniu, chcąc zobaczyć wskazane przez brata sanie. Z daleka widziała, że są mocno przysypane, a konie zaprzęgnięte do sań ugrzęzły prawie po pachwiny w śniegu. Bardziej jednak interesowali ją przysypani ludzie. Miała nadzieję, że przeżyli i uda się ich uratować.

Gdy przyjechali na miejsce, wyskoczyła z sań i podbiegła do poszkodowanych. Uchyliła owczą skórę, pod którą leżeli powożący mężczyźni. Byli

rozpaleni i majaczyli. Trawiąca ich gorączka zrosiła czoła potem. Dzięki temu jednak nie byli wyziębieni i wierzyła, że uda się ich uratować.

Czekając, aż podjedzie do niej brat, który odjechał kawałek dalej, żeby zawrócić, zerknęła również do sań. Pod stertą skór i futer leżał mężczyzna, który w przeciwieństwie do tamtych był blady i trzął się jak w febrze. Dotknęła ręką jego czoła, ale i bez tego wiedziała, że jest całkowicie wyziębiony.

Odgarnęła delikatnie włosy z jego czoła, a w sercu wezbrało współczucie. I zachwyty. Był to najpiękniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała.



## Rozdział 4



Z trudem uporali się z przeniesieniem bezwładnych ciał na sanie. Usadzili ich obok siebie na jednym siedzeniu i opatulili szczelnie pledami. Gretchen stała przy nich całą drogę i pilnowała, żeby żaden z nich nie wysunął się spod okrycia. Było jej zimno, ale nie mogła się otulić pledem, bo ograniczyłby jej ruchy, a co chwilę musiała kogoś z nich poprawiać i przykrywać, gdyż często na muldach wszystko się zsuwało.

Nie przeszkodziło jej to jednak, żeby co chwilę zerkać na bladego mężczyznę o czarnych włosach, gęstych brwiach i wypiełgnowanym wąsie, który nawet teraz wyglądał reprezentacyjnie. Jego ubranie różniło się od odzienia dwóch pozostałych mężczyzn, uznała więc, że jest szlachcicem albo zamożnym przedsiębiorcą, tamci zaś jego służbą lub pracownikami.

Coś w jego rysach twarzy mówiło jej, że raczej mają do czynienia ze szlachcicem. Wydawał się zbyt zadbany jak na fabrykanta czy przemysłowca. Zastanawiała się, jaki był na co dzień. Czy wpisywał się w powszechną opinię o szlachcie? Docierało do nich sporo informacji o różnych panach, którzy żyli w luksusach, nie bacząc na nędzę, z jaką borykali się ich chłopci pańszczyźniani czy służba zatrudniona w dworach. Niezależnie jednak od tego, jaki był, należało jemu i jego ludziom udzielić pomocy.

– Gretchen – zawołał Jacob, gdy wjeżdżali na podwórko. – Podjadę jak najbliżej drzwi, biegnij szybko przygotować łóżka w moim pokoju. Podrzucić też do pieca, powinien tam jeszcze być żar.

Przytaknęła i gdy zatrzymał sanie, pobiegła do domu. Łóżko brata było gotowe do użycia, więc tylko odsunęła pierzynę, żeby łatwiej było położyć mężczyzn. Nie miała czasu na zmienianie pościeli, musiało więc zostać, jak

jest. Drugie łóżko, należące dawniej do ich starszego brata Johanna, było zaścielone i przykryte kapą. Matka pilnowała, żeby zawsze pozostawało w gotowości, gdyż często odwiedzał ich ktoś z rodziny i zatrzymywał się na noc. Podobna zasada obowiązywała w pokoju Gretchen. Była ogromnie wdzięczna matce za tę przezorność.

Zdażyła zaledwie odgarnąć przykrycie na drugim łóżku, gdy wszedł Jacob taszcząc szczupłego, drobnego mężczyznę rozpalonego gorączką.

– Mam pierwszego. Gdzie go położyć?

– Daj go do twojego łóżka. Położymy tam tych dwóch z gorączką.

– Dobra. Idę po następnego.

Gretchen spojrzała na przemarznięte ubranie mężczyzny. Stwierdziła, że za chwilę pod wpływem ciepła stanie się mokre, więc szybko zajrzała do szafy brata i wyjęła z niej zapasowe piżamy, kalesony, koszule oraz skarpety.

Gdy wniósł drugiego mężczyznę podeszła do pieca i pogrzebaczem przegarnęła żar. Podłożyła drewnka, które szybko zajęły się ogniem.

– Z tym ostatnim musisz mi pomóc. Jest całkowicie bezwładny, a sporo waży.

Gretchen podreptała za bratem do sań. Mężczyzna był wysoki, a przemarznięte futro stanowiło dodatkowy balast. Brat, który był roslym i silnym mężczyzną, miał problem, aby wyciągnąć go z sań. Weszła więc na nie i chwyciła za nogi mężczyzny. Wspólnymi siłami przenieśli go do sypialni i z niemałym trudem wyluskali z futra, po czym położyli na łóżku. Nadal był bardzo blady i nie dawał żadnych oznak świadomości.

– Przebierz ich w suche ubrania. Przygotowałam wszystko. – Sięgnęła po stos ubrań i podała bratu. – Zacznij od tego, martwi mnie ta bladość i chłodny pot.

– Dobrze. Zawołam cię, jak skończę.

Wyszła bez słowa i od razu udała się do kuchni. Wlała wodę do kociołka, wrzuciła mięso, które miała przygotowane na obiad, i postawiła na ogniu. Stwierdziła, że lekka zalewajka będzie najlepsza w ich przypadku.

Obok ustawiła mniejszy gar, do którego wsypała zaszuszone zioła stosowane zawsze przez matkę przy gorączce. Lipa, mięta i pączki topoli. Gdy woda nabierała temperatury, poszła po sok z malin. Chwilę stała przy półkach, patrząc na przygotowane zapasy. Matka zawsze dawała im sok z malin albo owoców czarnego bzu. Nie wiedziała jednak, co przygotować dla tego trzeciego, z zimnymi potami, gdyż dotychczas nie spotkała się z takim przypadkiem. Chwyciła obie mikstury, uznając, że żadna z nich nie zaszkodzi, a mogą pomóc.

W czasie gdy Jacob ich przebierał, zdążyła odcedzić napar. Doląła do niego hojną ręką soku z malin i czarnego bzu. Martwiła się stanem mężczyzn i w głowie układała plan działania. Zawsze tworzyła takie listy i realizowała je punkt po punkcie. Dzięki temu miała wszystko uporządkowane i nie traciła czasu.

– Gretchen, przebrałem ich. Ubrania położyłem w sieni.

– Dziękuję, później się tym zajmę – odparła, chwytając dzbanek i trzy kubki. – Mam dla nich napar. Może uda się ich napoić?

– Nie wiem, źle wyglądają. Pojadę po doktora Neufelda, bo sami chyba sobie z tym nie poradzimy. A później przyprowadzę ich konie. Też wymagają opieki.

– Tak, jedź, to najlepsze wyjście. Ja się tu nimi zajmę.

Gdy brat wyszedł, ruszyła do chorych. W środku uderzył ją specyficzny zapach choroby, który wzmagano ciepło buchające z pieca. Powiodła wzrokiem po leżących i najpierw podeszła do ciemnowłosego mężczyzny. Delikatnie dotknęła dłonią jego czoła. Nadal było zimne, a blada twarz zlewała się z białą, wykrochmaloną poszwą. Nabrała odrobinę naparu na łyżeczkę, odchyliła palcem jego posiniąte z zimna wargi i próbowała mu wlać płyn ostrożnie do ust. Większość spłynęła do kącików, a następnie drobnymi kroplami potoczyła się na poduszkę.

Wyjęła z kieszeni fartucha czystą chustkę i wytarła mokre krople. Ponoowała próbę. Kolejny raz i kolejny. Wszystkie kończyły się tak samo. Nie wiedziała, co robić. W tle rozległo się majaczenie jednego z rozgorączkowanych mężczyzn. Spojrzała bezradnie na mężczyznę. Nie była w stanie dalej

go napoić, więc otuliła szczelnie kołdrą, naciągnęła na wierzch kapę i przeszła do mężczyzny pogrążonego w malignie.

Obaj byli rozgorączkowani. Jeden leżał cicho, spocony, czerwony, drugi zaś rzucał się na łóżku i mówił coś niezrozumiale. Gdy się nad nim pochyliła, poczuła ostrą woń potu. Wzdrygnęła się lekko, ale szybko odegnała niechęć i chwyciła go mocno pod głowę, przytykając kubek do ust. Kiedy poczuł rant kubka na ustach, zaczął łapczywie pić. W pewnym momencie otworzył oczy, posłał jej mętne spojrzenie, po czym ponownie zapadł w sen.

Chodziła między łózkami, próbując ich poić. W tym samym czasie szykowała też zalewajkę, przynosiła miskę z zimną wodą i robiła chłodne okłady rozgorączkowanym mężczyznom. Bruneta zaś nieustannie śledziła wzrokiem, z ulgą odnotowując, że bladość powoli ustępuje, a usta odzyskały kolor. Gdy w pewnym momencie jęknął cicho, czym prędzej do niego podbiegła. Jego oddech był nierówny, a ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Ucieszyła się, widząc te objawy.

– Chyba odtajał – pomyślała i czym prędzej podłożyła do pieca.

Było jej duszno, a pot ciurkiem spływał po plecach. Nie ustawała jednak w wysiłkach i całą trójkę otaczała troskliwą opieką. Nie wiedziała, ile dokładnie czasu minęło, odkąd ich przywieźli. Zmęczona, przysiadła na chwilę na krześle i zapatrzyła się w okno. Słońce powoli traciło swą ostrość, a zza ściany coraz częściej rozlegało się muczenie. Zbliżał się czas obżądka, a Jacoba z doktorem nie było widać. Rodziców też nie, chociaż mocno liczyła na to, że wrócą dzisiaj do domu. Musiała działać, a nie wiedziała, jak to wszystko połączyć. Nie chciała zostawiać chorych samych, ale zwierzęta też domagały się uwagi.

Gdy myśli zaczęły ją przytłaczać, sapnęła z irytacją i odgarnęła przyklejone do twarzy kosmyki włosów.

– Siedzenie i myślenie nie rozwiążą problemu. A już na pewno nikt nie wykona za mnie w tym czasie pracy – powiedziała głośno do siebie i zmusiła się do wstania z krzesła.

Czuła, jak z tym ruchem wstępuje w nią nowa energia. Chwyciła dzbanek i ruszyła po kolejną porcję naparu. Stwierdziła, że raz jeszcze spróbuje ich napoić, a następnie pójdzie do obrządku.

Nabrała już wprawy w opiece nad nimi, więc poszło jej sprawnie. Podobnie jak z obrządkiem, który starała się przyspieszyć, ale wyuczona przez lata dokładność nie pozwoliła na powierzchowne działania. Próbowiła więc nadrobić tempem. W głowie jednak coraz mocniej krążyły niespokojne myśli, a w sercu zaczęła odczuwać nutkę strachu. Jacoba nie było już od wielu godzin. Pogoda była ładna, ale zimą właściwie wszystko mogło się mu przytrafić. Poza tym zaraz całkiem się ściemni, a nocą nie da się bezpiecznie jechać po śnieżnych muldach.

Po zakończonej w oborze pracy odwiesiła robocze ciuchy, umyła ręce i od razu poszła do chorych. Panowała cisza przerywana ciężkimi, urywanymi oddechami. Brunet wciąż miał dreszcze, ale stracił całkowicie niepokojącą bladość. Przytknęła ręce do jego policzków. Były ciepłe, ale jeszcze nie gorące. Domyślała się, że to kwestia czasu, gdy i on wpadnie w malignę.

Przeczesała mu palcami zmierzwiłone włosy. Były miękkie i delikatne. Kosmyki przyjemnie owijały się wokół jej palców. Poczowała pod opuszkami delikatne mrowienie, które szybko rozlało się po całym ciele. Nie potrafiła zdefiniować tego, co się z nią działo. Radość i napięcie, oczekiwanie i strach, ciepło, a zarazem zimno.

Gdy za oknem rozległ się dźwięk dzwonek przyczepionych do sań, drgnęła przestraszona i zawstydzona odskoczyła od bruneta. Czuła, że na policzki wpełza jej rumieniec, a ręce zaczęły drgać nerwowo. Chcąc ukryć swoje zdenerwowanie, chwyciła szmatkę i zaczęła ją moczyć w zimnej wodzie.

Gdy brat z doktorem weszli do izby, przywitała ich opanowanym tonem.

– Dzięki Bogu, dojechaliście. Bałam się, że coś wam się stało.

– Dobry wieczór – przywitał się Neufeld i obrzucił uważnym spojrzeniem chorych. – Odbierałem skomplikowany poród i Jacob musiał czekać,

aż się upewnię, że wszystko jest dobrze. Jak chorzy? Cały czas tak gorączkują?

– Ci dwaj, co leżą razem, to tak, cały czas mają wysoką gorączkę. Ten trzeci na początku był bardzo blady i miał zimny pot. Od jakichś dwóch godzin ma dreszcze. Raz słabsze, raz mocniejsze. I zaczyna mieć gorączkę.

– Dawałaś im coś?

– Zioła na gorączkę z sokiem z malin oraz czarnego bzu. I okłady robiłam.

– Bardzo dobrze – odparł i roztarł zziębnięte ręce, po czym sięgnął po swoją torbę.

– Tylko ten – wskazała ręką na bruneta – nie wypił zbyt wiele. Próbowałam poić go łyżeczką, ale i to na niewiele się zdało.

– Rozumiem. Ważne, że ma ciepło. Zaraz ich zbadam i zobaczymy, co mogę dla nich zrobić.

– Przygotuję kolację, na pewno jesteście głodni.

Doktor skinął głową i przystąpił do badania bruneta. Ociągała się chwilę z wyjściem, ale gdy brat posłał jej pytające spojrzenie, od razu ruszyła w stronę drzwi.

Wyszedł za nią.

– Cały czas tak leżą nieprzytomni?

– Tak – odparła szybko, po czym dodała: – Chociaż ten jeden, wiesz, ten najchudszy, przez jakiś czas strasznie majaczył i się rzucał na łóżku. Podałam mu soku z czarnego bzu, to się trochę uspokoił.

– Oby wyzdrowieli. Sporo się najeździłem za doktorem, zanim go znalazłem.

– Też mam nadzieję, że im pomoże.

– Obrządek robiłaś?

– Tak, wszystko zrobione. Chodź do kuchni, podam ci jedzenie.

Brat, usłyszawszy te słowa, uśmiechnął się szeroko, a jego zmęczona twarz się rozpogodziła. Ją wciąż zaś trawił niepokój oraz zawstydzenie,

gdy tylko pomyślała o dziwnym uczuciu, które ogarnęło jej ciało, kiedy przeczesała włosy bruneta. To było bardzo dziwne i niepokojące uczucie. Ciekawe, co może oznaczać?

## Rozdział 5



Doktor Neufeld zbadał całą trójkę i zaaplikował leki. Gdy skończył, czekała na niego przygotowana naprędce kolacja ustawiona na stole w wielkiej izbie.

– I jak, doktorze? – zapytała Gretchen, kiedy po wypowiedzianej przez Jacoba modlitwie usiedli do stołu.

– Mocno się wyziębili, ale to młode, silne organizmy, więc powinny zwalczyć chorobę. Rano ich jeszcze zbadam, ale podejrzewam, że w ciągu tygodnia dojdą do siebie.

– Czyli to przeziębienie?

– Jeszcze tak, ale może się przekształcić w zapalenie oskrzeli lub płuc. Szczególnie u tego mężczyzny, który wygląda na szlachcica. Te dreszcze są niepokojące. Tamta dwójka widać nawykła do trudnych warunków i ich organizmy są bardziej odporne. U nich już jutro, góra pojutrze powinna być znaczna poprawa.

– To co dalej?

– Rano przed wyjazdem jeszcze ich zbadam, ale nic więcej nie mogę tu pomóc. Najważniejsze, żeby utrzymywać w izbie wysoką temperaturę i jak najczęściej podawać im płyny, żeby się nie odwodnili.

– Te napary im dawać?

– Tak, napary, ale i zwykłą, letnią wodę. Najlepiej naprzemiennie.

– Dziękujemy, doktorze, że zechciał pan przyjechać – wtrącił Jacob. – Jutro, tak jak się umówiliśmy, zawiozę pana do Freienhuben<sup>[8]</sup>.

– Dobrze. A państwo Dyck kiedy wracają z Tigenhof?



– Myślałem, że dzisiaj, ale widać siostra ich przekonała, żeby jeszcze zostali. Jutro pewnie już przyjadą, bo musimy zakonserwować resztę jarej pszenicy, a i ozima czeka. Poza tym chcieliśmy jechać na aukcję drewna do Tiegenortu<sup>[9]</sup>.

– Mam nadzieję, że uda mi się ich spotkać, bo mam sprawę do waszego ojca.

– Jeśli nie, to mu przekazę i na pewno do pana podjedzie.

– Zima utrudnia wyjazdy, ale...

Gretchen nie słuchała dalszej wymiany zdań. Miała jeszcze mnóstwo pracy do wykonania. Jacob miał się położyć u rodziców w pokoju, a doktor w wielkiej izbie, gdzie mieli nowoczesną kanapę, która w dzień służyła do siedzenia, a wieczorem zamieniała się w łóżko do spania. Tylko trzeba było wszystko przygotować. To jednak będzie mogła uczynić dopiero, jak skończy kolację i uprzątnie stół.

Brat z doktorem rozmawiali w najlepsze o sprawach gospodarczych i nie wyglądali, jakby mieli zamiar szybko skończyć. Przeprosiła ich więc i wzięwszy z kuchni świeżą wodę, ruszyła do chorych.

Od progu uderzył ją zapach potu, a ciało spowiło gorące, wilgotne powietrze, sprawiając, że ubranie momentalnie przykleiło jej się do ciała. Przystanąła na chwilę, czekając, aż przywyknie do nieprzyjemnego odczucia. Z chęcią otworzyłaby tu okno, żeby wpuścić trochę świeżego, mroźnego powietrza, ale to akurat na pewno skończyłoby się zapaleniem płuc u całej trójki, a może i u niej.

Podawała wszystkim wodę i wróciła do wielkiej izby z nadzieją, że będzie to sygnał dla rozmówców, że czas kończyć kolację. I rzeczywiście tak było. Gdy weszła, doktor chrząknął i wstał od stołu. Spał już kiedyś u nich, więc wiedział, że jego pokój będzie w wielkiej izbie. Rozejrzał się po pomieszczeniu i chyba uznał, że lepiej będzie, jak wyjdzie na czas przygotowań noclegu dla niego.

– Zajrzę jeszcze do chorych.

Gretchen skinęła głową i gdy tylko wyszedł, spojrzała wymownie na brata.

– Wynieś naczynia do kuchni, a ja przygotuję łóżko.

Jacob niezgrabnie zaczął zbierać talerze i półmiski. Nie miał wprawy, gdyż zazwyczaj same z matką doskonale sobie radziły, ale jak każdy w ich rodzinie, nie bał się żadnej pracy i choć ta czynność nie bardzo mu odpowiadała, to starał się jak najlepiej wykonać polecenie siostry.

Gdy wszystko było gotowe, doktor wrócił, przypominając o konieczności podawania płynów chorym. Gretchen zapewniła, że dołoży starań, aby chorzy byli otoczeni dobrą opieką, i wraz z bratem wyszła do sieni.

– Co robimy? – zapytał brat przyciszonym głosem.

– To, co cały czas. Trzeba siedzieć przy nich i podawać im picie.

– Całą noc?

– Tak, słyszałeś słowa doktora.

– Posiedzę przy nich, a ty się połóż.

– Nie, nie ma sensu żebyśmy oboje byli niewyspani – zaproponowała. – Rano musisz odwieźć doktora, a później masz robotę z pszenicą. Przypilnuję ich, a jutro już będą rodzice, to mama mnie zmieni.

– Jesteś pewna, że sama dasz radę?

– Nie martw się, wytrzymam, a chorych bez opieki nie sposób zostawić.

– Jeśliby coś się działo, to mnie obudź.

– Obudzę – przytaknęła, chcąc uspokoić brata, który najwidoczniej gryzł się tym, że obarcza ją takim obowiązkiem.

Przeszła do izby zajmowanej przez chorych, napoiła ich, położyła świeże okłady i usiadła przy drzwiach na drewnianym, twardym krześle. Było niewygodne, ale miała nadzieję, że dzięki temu nie zaśnie.

Siedziała, zajmując myśli robieniem planów, które zamierzała zrealizować w najbliższym czasie. Gdy już wszystko ułożyła, ponownie zaczęła się zastanawiać kim są ludzie, których otoczyli opieką. Była ciekawa, gdzie mieszkają i czym się zajmują.

Za każdym razem, gdy czuła, że powieki zaczynają jej ciążyć, a sen ogarnia ciało zmuszała się do wstania i zmienienia okładów chorym. Była to żmudna praca, ale zaczynała widzieć efekty.

Świtało już, gdy rozległ się ochryply szept. Bardziej się domyśliła, o co chory prosi, niż zrozumiała.

– Pić.

Podbiegła do mężczyzny, który po przywiezieniu majaczył i rzucał się w malignie na łóżku. Nalała do kubka świeżej wody i przytknęła mu do ust. Pił łapczywie, nie zważając, że dużo płynu ścieka mu po brodzie.

– Spokojnie, powoli.

Podniósł na nią udręczone spojrzenie. Ponownie nalała wody do szklanki i przytknęła do jego ust. Teraz pił spokojnie, miarowo, małymi łykami. Gdy skończył, opadł zmęczony na poduszki.

– Kim jesteś?

Domyśliła się, że to język polski. Znała brzmienie tego języka, ale nie umiała go.

– Nie rozumiem.

Mężczyzna skupił na niej wzrok, usiłując coś sobie przypomnieć.

– Kim jesteś?

Tym razem zapytał łamanym niemieckim.

– Gretchen Dyck. Mój brat Jacob znalazł was wczoraj rano na drodze. Byliście mocno wyziębieni. Przywieźliśmy was do nas do domu. Do Hauskampe. Pan mocno gorączkował i majaczył. Zbadał was lekarz. Rano raz jeszcze was obejrzy. Mówi, że wyjdziecie z tego.

Mężczyzna wpatrywał się w nią, mocno marszcząc brwi. Obawiała się, że niewiele zrozumiał z tego, co mówiła. Postanowiła spróbować jeszcze raz.

– Śnieżyca. Śnieg. Sanie. Zasypane. Pomoc. Dom. Lekarz.

Tym razem chyba zrozumiał, bo kiwnął głową i posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie.

– A wy kim jesteście? Dokąd jechaliście?

Pokiwał przecząco głową.

– Ja – wskazała na siebie palcem – Gretchen. Ty? – Tym razem pokazała palcem na niego.

– Antoni. Stangret.

– Antoni Stangret – powtórzyła.

Przytaknęła. Widziała, że z trudem skupia uwagę. Oczy mu uciekały, choć walczył z sennością. Nie miała zamiaru go dłużej męczyć, ale to jedno pytanie musiała zadać.

– On – wskazała na mężczyznę leżącego obok – kto?

Antoni powędrował wzrokiem za jej ręką. Gdy zobaczył, kto tam leży, w jego wzroku pojawił się wyraz ulgi.

– Hrabia. Hrabia Józef Koczorowski.

– Józef Koczorowski?

– Hrabia.

Nic jej to nie mówiło, ale ucieszyła się, że poznała wreszcie imię mężczyzny, który ją tak intrygował. Sięgnęła po kubek, nalała wody i gestem zapytała, czy chce jeszcze pić. Pokiwał głową, więc napiła go, a następnie poprawiła poduszkę. Po chwili ponownie zapadł w sen.

Tylko na to czekała. Gdy upewniła się, że śpi, wyjęła świeżą szmatkę w zimnej wodzie i podeszła do Józefa.

– Józef – wyszeptała, delektując się brzmieniem tego imienia.

Położyła mu zimny okład na czole i ponownie wyszeptała jego imię.

Drgnął i z wysiłkiem uchylił lekko powieki. Oczy miał ciemne niczym żuławska ziemia. Wpatrywała się w niego jak zaczarowana, lecz szybko ponownie zamknął oczy. Mimo to ich kolor wrył się doskonale w jej pamięć.

Uśmiechnęła się do siebie, a zmęczenie, które mocno już odczuwała, zniknęło. Wyparło je trwające jedno mgnienie wspomnienie czarnych oczu oraz dźwięczące w jej głowie imię. Józef.

## Rozdział 6



Rano odczuwała mocną senność i zmęczenie. Jedyne, o czym marzyła, to położyć się spać. Nie mogła jednak zaniechać obowiązków gospodyni. Doktorowi należało się porządne śniadanie, a i dla chorych musiała coś przygotować. U Antoniego temperatura znacznie zmaląła. Twarz wciąż była zaczerwieniona, lecz już się nie pocił i nie majaczył. Niestety, pozostali dwaj wciąż walczyli z gorączką i po śniadaniu musiała znowu się nimi zająć.

Gdy w sieni rozległy się kroki brata, poszła do swojej izby. Przebrała się w czyste rzeczy, umyła porządnie twarz w lodowatej wodzie i zabrała się do pracy. Jacob działał już w oborze, więc tym nie musiała zaprzętać sobie głowy.

Kiedy doktor Neufeld wstał, zdała mu relację ze stanu chorych.

– Dobra wiadomość. – Ucieszył się, gdy powiedziała mu o stanie Antoniego. – Wierzę, że i inni niebawem dojdą do siebie.

– Pozostali nadal mocno gorączkują.

– Organizm walczy. Gorzej, gdyby tej gorączki nie było i utrzymywała się błądź i zimne poty – odparł uspokajająco. – Jak u tego... hm, mówiłaś, że jak on się nazywa?

– Hrabia Józef Koczorowski.

– Hrabia, czyli dobrze mówiłem, że szlachcic. Ci zawsze delikatniejsi.

– Wyjdzie z tego?

– Raczej tak. Młody jest. Zdrowy. Poradzi sobie, choć może mu to zająć więcej czasu. Ale nie ma co tu dyskutować. Zbadam ich, to będę wiedział

więcej.

Raźnym krokiem ruszył do chorych, a ona w tym czasie sprzątnęła jego poślanie i zastawiła stół potrawami. Zdążyła ze wszystkim się uporać, kiedy wrócił doktor z Jacobem. Odmówili tradycyjną modlitwę i zasiedli do jedzenia.

Dłuższą chwilę milczeli, delektując się smakiem potraw przygotowanych przez Gretchen. Obficie zastawiła stół. Półmiski wyłożyła kielbasami, szynkami, gotowanymi jajami i serami, z których słynęli w bliższej i dalszej okolicy. Nie zabrakło też masła i konfitur śliwkowych, za którymi doktor wprost przepadał i kiedy tylko u nich był, ogromnie chwalił ich smak.

– Jak człowiek porządnie zje, to zaraz energii nabiera i żadne obowiązki nie wydają się trudne. – Westchnął z zadowoleniem, kończąc jedzenie. – Wszystko, jak zawsze, pyszne.

– Dziękuję – odparła Gretchen z zadowoleniem. – Czy temu, który się ocknął, panu Antoniemu, będę mogła dzisiaj podać coś konkretnego do jedzenia, czy tylko zalewajkę?

– Dzisiaj jeszcze zalewajkę. Nie ma co trudzić dodatkowo organizmu trawieniem pokarmu – odparł Neufeld.

– Dobrze, a udało się doktorowi z nim porozmawiać?

– Tak, to Polacy. Jechali do Gdańska w interesach i w drodze zaskoczyła ich śnieżycą. Antoni to woźnica, a ten obok niego to pacholek. Trzeci zaś jest hrabią.

– Wiadomo, skąd są? – zapytał Jacob. – Może trzeba kogoś powiadomić?

– Mroczą, stamtąd pochodzą. Dość daleko, ale gdzieś w okolicy byli u rodziny hrabiego. Chełmińskich albo Chełmońskich. Nie zrozumiałem dokładnie.

Jacob myślał chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Nic mi to nazwisko nie mówi.

– Mnie też nie – przyznał doktor. – Trzeba poczekać, aż hrabia się ocknie, to więcej się dowiecie.

– Właśnie – wtrąciła nagle Gretchen. – Zupełnie zapomnieliśmy o koniach i saniach! Biedne zwierzaki tam stoją głodne i marzną.

– Spokojnie. Jak jechałem wczoraj po doktora, to natknąłem się na drodze na Isaaka. Poprosiłem go, żeby zabrał konie i sanie do siebie. Obiecał, że to zrobi.

– Całe szczęście. – Odetchnęła z ulgą i wstała od stołu. – Zajrzę do chorych.

– Na nas też już czas, Jacobie. Ty masz pracę na dziś zaplanowaną, a i ja muszę kilka wizyt odbyć.

– Dobrze, idę zaprzęgać i możemy ruszać – odparł i spojrzał na siostrę. – Za dwie, trzy godziny powinienem być, Gretchen.

– Mam nadzieję, że i rodzice już nadjadą.

– Dzisiaj na pewno wrócą. Ojciec nie usiedzi tyle poza domem, gdy robota czeka.

Mężczyźni zaczęli się szykować do drogi, a ona odwiedziła chorych ze świeżą wodą i ciepłym naparem. Pogrążeni byli we śnie, więc cicho zmieniła okłady gorączkującym. Wyglądali znacznie lepiej niż w nocy. Ich koszule wymagały zmiany, gdyż były mokre od potu, ale to musiało poczekać, aż brat wróci. Postąpiła chwilę przy łóżku zajmowanym przez Józefa i poprawiwszy mu kapę, wyszła, żeby zająć się swoimi obowiązkami.

Czas spędzony przy pracy przerywany odwiedzinami u chorych mijał szybko. Zanim się obejrzała, wrócił Jacob, a zaraz za nim przyjechali rodzice. Weszli do domu radośni, zadowoleni i wypoczęci. Zdziwili się, gdy córka przywitała ich przyciszonym głosem i poprosiła, żeby mówili ciszej.

– Dlaczego? Stało się coś?

– Wszystko wam zaraz opowiem.

Przeszła do wielkiej izby. Zaintrygowani ruszyli za nią. Gdy usiedli, streściła im wydarzenia z ostatniego dnia.

– Hrabia w jednym pokoju ze służącymi? – Ojciec zaśmiał się cicho. – To na pewno mu się nie spodoba, gdy się ocknie.

– Służący, nie służący, wszyscy wymagają takiej samej troski i opieki – odparła stanowczo matka. – Dobrze, że Jacob ich znalazł. Mogło się to skończyć dla nich tragicznie.

– Przecież wiem, Annchen. Poznałem jednak w życiu kilku szlachciców i są to dość wyniosli ludzie. Służbę mają za nic. Podobnie, jak i chłopów pańszczyźnianych. My zaś z kolei, bauerzy uprawiający własną ziemię, jesteśmy dla nich solą w oku. Wiedzie nam się dobrze, żyjemy zgodnie z naszą wiarą i nie jesteśmy od nich zależni. To im się nie podoba.

– Płacimy przecież bardzo wysokie podatki – wtrąciła Annchen. – Dużo wyższe niż inni.

– Płacimy – przytaknął ojciec. – Także my, jak i pozostali mennonici, niezależnie od zaboru, do którego trafili. Taka cena za naszą niezależność i wolność przekonań.

– Ojczy – zaniepokoiła się Gretchen. – To ty myślisz, że ten hrabia będzie miał do nas pretensje?

– Nie wiem. Zobaczymy. Na razie trzeba dalej otaczać ich opieką i starać się, żeby jak najszybciej do siebie doszli. Wyzdrowieją, to pojedą. Niezależnie od tego, czy hrabia będzie zadowolony, że do nas trafił, czy też nie. Róbmy swoje najlepiej, jak potrafimy.

Gretchen te słowa nie uspokoiły. Nie wyobrażała sobie, że piękny Józef o ciemnych oczach mógłby okazać się człowiekiem wyniosłym i zarozumiałym. Chociaż, dlaczego nie? Z tego, co mówił ojciec, większość szlachciców taka była. I chociaż Heinrich Dyck nigdy nie kłamał, to miała nadzieję, że tym razem się myli i Józef Koczorowski okaże się dobrym i życzliwym człowiekiem.

– Gretchen?

Spojrzała na matkę, marszcząc brwi.

– Tak?

– Dawałaś im teraz picie? Potrzebują czegoś?

– Dałam im pić i zmieniałam okłady. Pan Antoni już dochodzi do siebie, zjadł rano trochę zalewajki. Nie dużo, bo nie miał siły, ale jak się znowu



przebudzi, to spróbuję jeszcze go nakarmić.

– Zajmę się nimi, córko. Idź się prześpij chwilę, całą noc przy nich czuwałaś, musisz odpocząć.

– Nie jestem śpiącą. Rano było trudno, ale już rozchodziłam zmęczenie.

– Jak wolisz.

– Zrobić herbaty? Słońce świeci, ale pewnie zmarzliście w podróży.

– Ja to bym chętnie do tej herbaty jakieś ciasto zjadł, ale pewnie nie ma – rzucił z westchnieniem ojciec.

– Jak nie ma? – oburzyła się Gretchen. – Wiesz przecież, że zawsze mamy ciastka w słoju, a i piernika został jeszcze spory kawał.

– W takim razie poproszę i herbatę, i ciasteczka, i piernik.

– Powidel śliwkowych pewnie też, co? – zapytała Annchen, patrząc z czułością na męża.

Heinrich uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście. Cóż to za jedzenie ciastek bez powidel?

– Chodźmy, Gretchen, pomogę ci wszystko przygotować i opowiesz mi dokładnie, co im parzyłaś i jakie zalecenia dał doktor Neufeld.

Dziewczyna posłusznie ruszyła za matką i wszystko jej zrelacjonowała. Gdy skończyła, kobieta pokiwała głową i ruszyła do spiżarki. Po chwili wróciła, niosąc kamionkowy garnek.

– Zapomnieliście o najważniejszym. Nic tak nie pomaga na przeziębienie, jak gęsi smalec.

– Pamiętałam, ale – Gretchen się zawahała – Jacob od razu pojechał, a ja przecież nie mogłam tego zrobić. Później zaś wyleciało mi z głowy.

– To nic. Zaraz do nich pójde i ich posmaruję.

– Hrabiego też?

– Naturalnie! Czyżby jego plecy były inne od naszych?

– Nie, ale, nie wiem, czy wypada hrabiego smalcem smarować.

– Wypada czy nie, zrobię to, gdyż smalec jest najskuteczniejszy – odparła z zaciętą miną i ruszyła w kierunku sieni.

Gretchen zaś zajęła się przygotowaniem przekąski dla rodziców. Chętnie poszłaby z matką. Była ciekawa, czy skóra Józefa jest tak samo delikatna na plecach, jak na twarzy. Gdy tylko ta myśl przebiegła jej przez głowę zarumieniła się i ręką zdławiła okrzyk przerażenia. „Boże! O czym ja myślę!” – zrugwała się. „Chyba i mnie zaczyna trawić gorączka. Tak, na pewno tak, bo jakże inaczej wytłumaczyć takie myśli? Lepiej chyba się położyć, zanim mnie całkiem choroba opanuje”.

Z szybko bijącym sercem ustawiła na tacy przygotowane wiktuały i zaniosła do wielkiej izby, po czym udała się do swojego pokoju, aby przykryć kołdrą wstyd i niechciane myśli.

## Rozdział 7



Hrabia nadal nie nawiązywał kontaktu z otoczeniem. Wciąż miał dreszcze, na które nie pomagały żadne domowe sposoby. Skóra stała się wysuszona i napięta, a pod oczami pojawiły się głębokie cienie. Problem sprawiało pojęcie mężczyzny, który nie był w stanie przełykać naparu. Na zmianę z matką wlewały mu płyn łyżeczkami do ust, ale była to zbyt mała ilość, żeby nawodnić odpowiednio organizm. Trwało to już drugą dobę i wszyscy mocno się niepokoiли. Annchen Dyck postanowiła, że jeśli do jutra mu nie przejdzie, ponownie wezwą lekarza.

W lepszej kondycji byli pozostali dwaj mężczyźni. Woźnica powoli dochodził do siebie, lecz zmagał się z rwącym, mokrym kaszlem. Najlepiej czuł się Maciej, który mimo że wciąż miał lekką gorączkę, rwał się do pracy. Matka kilka razy musiała mu tłumaczyć, że jest za słaby na wykonywanie jakichkolwiek zajęć, a poza tym jest u nich gościem i nie musi odpracowywać pobytu. Mężczyzna nie mógł zrozumieć, w jaki sposób uzyskał status gościa, i nalegał na wyznaczenie mu zajęć. Dopiero stwierdzenie, że ustalą wszystko, gdy hrabia dojdzie do siebie, uspokoiło go na tyle, że pozostał w łóżku.

Gretchen była zmęczona pracą i nieustanną opieką nad chorymi, ale odkąd wrócili rodzice, obowiązki rozkładały się inaczej i znajdowała też chwilę na odpoczynek. Dzisiaj miała z Jacobem jechać do Freienhuben. Była ich kolej zaopatrzenia chorych i ubogich w świeże mleko. Oprócz zabezpieczonych skopków matka dodatkowo spakowała kilka bochenków chleba oraz solidną porcję masła i sera. Większość członków wspólnoty tak robiła, mimo iż dom był zaopatrywany w półprodukty, z których mieszkańcy domu mogli przygotowywać posiłki.

Mieszkali w jednej z wsi położonych najdalej od domu modlitw, więc tuż po porannym udoju ruszyli w drogę. Było mroźno, ale świecące słońce przyjemnie ich ogrzewało. Gretchen ukołysana monotonną jazdą zasnęła w czasie drogi i dopiero głos brata oznajmiający, że dotarli na miejsce wyrwał ją z drzemki.

Naprzeciw wyszło im kilkoro mieszkańców, którym stan zdrowia pozwalał na jako takie poruszanie się. Sprawnie pomogli wypakować przywiezione dary i zanieśli je do środka.

– Tyleż dobra – zawołała jedna z mieszkanek domu, która pełniła rolę gospodyni – bardzo dziękujemy.

– Nie ma za co. Pomagamy wam z przyjemnością.

Kobieta uśmiechnęła się i zaprosiła ich na ciepłe mleko.

– Zapraszamy, na pewno jesteście zdrożeni po podróży.

Gretchen z uśmiechem rozejrzała się po skromnym, ale bardzo czystym pomieszczeniu, które pełniło zarazem funkcję kuchni i jadalni. Proste, drewniane meble były wyszorowane, a wszystkie garnki wręcz lśniły.

– Następnym razem, obiecuję. Dzisiaj musimy jeszcze odwiedzić państwa Wiebe.

– Rozumiem – odparła kobieta. – Przygotowaliśmy dla was trochę rzeczy. Upletliśmy kosze i pojemniki z trzciny. Niebawem też skończymy pleść maty. Gdy przyjedziecie następnym razem, będą gotowe.

Gretchen podziękowała i z uśmiechem przyjęła podarunki. Mieszkający tu ludzie byli ubodzy i w większości bardzo schorowani, ale starali się odwdziżyć za otrzymywaną pomoc. Pozwalało im to zachować godność, czuli się przydatni, a i pomagający im mennonici doceniali ich wysiłki. Otrzymywane rzeczy nie były może piękne, ale funkcjonalne. Wyplatali z trzciny różne przedmioty użytkowe, robili też kosze z witek brzozowych i wierzbowych oraz wszelkiego rodzaju miotły i maty.

Gdy podjechali pod dom znajomych, Jacob od razu skierował się ku budynkom gospodarczym, skąd miał odebrać nową uprzęż dla konia. Gret-

chen zaś zabrała do swojej izby jej przyjaciółka, Leonore Wiebe, której twarz przepełniona była niezwykłą ekscytacją.

– Gretchen! – wykrzyknęła, gdy tylko weszły do środka. – Muszę ci coś powiedzieć.

– O Isaaku?

– Tak – przytaknęła gorliwie. – Zdecydowałam, poślubię go.

Dziewczyna z wrażenia od razu usiadła na krześle i spojrzała na rozpromienioną przyjaciółkę. Oczy błyszczały jej szczęściem, a ładna twarz okolona ciemnymi pasemkami, które wysmyknęły się spod czepka była zaróżowiona.

– Skąd ta decyzja? Jeszcze kilka dni temu mocno się wahałaś. Mówiłaś, że go lubisz, ale nie wiesz, czy podołasz obowiązkowi matki.

– Uznałam, że pasujemy do siebie i stworzymy zgodne małżeństwo.

– Tak? Tylko tyle? Przecież i wcześniej to wiedziałaś.

– Wiem, ale... – Urwała, a różowy kolor pokrywający jej policzki zmienił się w czerwony, purpurowy wręcz. – Był u mnie wczoraj. Spacerowaliśmy, rozmawialiśmy.

– I?

– I... pocałował mnie – wyszeptała zawstydzona. – Nie powinien, ale to tak samo wyszło.

– Samo?

– Potknęłam się na śniegu, on mnie przytrzymał za łokieć i jak się odwracałam, to wpadliśmy na siebie. Pocałował mnie, a ja poczułam, jak wiruje mi w głowie cały świat. Spłynęła na mnie taka błogość i radość. I coś jeszcze, czego nie potrafię opisać, ale to sprawiło, że nie chciałam wysuwać się z jego objęć.

Gretchen patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, analizując słowa, które usłyszała. Opis przeżyć przyjaciółki był bardzo podobny do tego, co odczuwała, gdy dotknęła Józefa Koczorowskiego.

– Proszę, nie patrz tak na mnie – wyszeptała Leonore, zasłaniając dłońmi twarz. – Wiem, że nie powinniśmy, ale to był przypadek. Po prostu tak wy-

szło. Nie myśl o mnie źle, proszę!

– Nie, ja nie, nie – zapewniła szybko zmieszana Gretchen. – Absolutnie tego nie oceniam. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Dziewczyna odsłoniła twarz i popatrzyła przyjaciółce w oczy. Oprócz zakłopotania i wstydu, kryło się w nich coś jeszcze, coś na kształt determinacji i woli walki.

– Powiem ci coś jeszcze – stwierdziła pełnym emocji tonem. – Niczego nie żałuję. Niczego! Dzięki temu wiem, że to ten jedyny. Zyskałam pewność i bez dalszych wahań mogę go poślubić.

– Cieszę się twoim szczęściem, Leonore.

Wstała z krzesła, podeszła do przyjaciółki i mocno ją uściskała.

– Wierzę, że wszystko ułoży się po twojej myśli i razem z Isaakiem pokonacie wszelkie trudności.

– Dziękuję! Wstydziałam się ci o tym powiedzieć, ale nigdy nie miałyśmy przed sobą tajemnic, więc musiałam się przemóc. I dobrze, że to zrobiłam. Dzięki temu nie mamy przed sobą żadnych sekretów i dalej możemy się przyjaźnić.

– Tak – bąknęła Gretchen. – Żadnych sekretów.

– Och! Mówię ci, będzie wspaniale. Zamieszkać niedaleko ciebie i będziemy mogły częściej się odwiedzać.

– Oczywiście, to tylko kilka minut spaceru od naszego domu.

– Właśnie – przytaknęła, zdając się nie widzieć zmieszania przyjaciółki. – Isaak powiedział, że porozmawia z dziećmi, wszystko im wyjaśni. Pomoże mi przekonać ich do siebie.

– Będziesz wspaniałą matką i cudowną żoną.

– Dziękuję, Gretchen. Na początku pewnie będzie trudno, muszę się wiele nauczyć, ale bardzo chcę zająć się tymi dziećmi. I...

– I Isaakiem?

Zaśmiała się radośnie, a przyjaciółka, mimo rumieńca na twarzy, gorliwie pokiwała głową.

– Tak, Isaakiem też. Już nie mogę się doczekać ślubu.

– Na kiedy planujecie?

– Za miesiąc.

– Tak szybko?

– Nie ma na co czekać. To dobry termin. Pracy w gospodarstwie jest dużo mniej. Zanim zaczną się prace w polu, zamieszkamy już razem. Zdam się oswoić, dzieci do mnie przywykną. Będzie kilka tygodni na spokojne zapoznanie się ze wszystkim.

– W sumie masz rację. Skoro się zdecydowałaś, to jest to dobry czas na ślub.

– Właśnie – przytaknęła gorliwie. – Wyprawę też już mam gotową.

– Och, będziesz piękną panną młodą.

– Ty też!

– Ja? Nie wybieram się za mąż.

– Teraz jeszcze nie, ale za jakiś czas na pewno.

Gretchen odkaszlnęła głośno i podeszła do okna.

– Jacob pakuje już rzeczy na sanie. Muszę się zbierać.

– Patrz! Z tego wszystkiego nie zdążyłam cię zapytać o tych mężczyzn, których uratowaliście.

– W sumie to Jacob ich znalazł.

– Tak, ale ty się nimi opiekowałaś i teraz też przecież się nimi zajmujesz, a przy trzech chorych jest co robić. W dodatku hrabia wam się trafił!

– Skąd wiesz?

– A! – Uśmiechnęła się półgębkiem. – Mama rozmawiała z mamą Isaaka i ta wszystko opowiedziała. U nich przecież są ich sanie i konie.

– Zgadza się. Jacob poprosił Isaaka, żeby je zabrał z drogi, gdy jechał po doktora.

– To też wiem. – Machnęła ręką. – Powiedz lepiej, czego się o nich dowiedzieliście.

– Nic nowego, poza tym, co, jak słyszę, wszyscy już wiedzą – odparła wymijająco. – Muszę już iść, bo Jacob się za mną rozgląda.

– Dobrze, ale następnym razem mi wszystko opowiesz. Może mi się uda odwiedzić ciebie w przyszłym tygodniu.

– Nie ma wiele do opowiadania.

– Na pewno jest! Przecież to zupełnie inni ludzie niż my. Inaczej żyją, inaczej mówią i się zachowują. To ogromnie ciekawe.

– Na razie to leżą w łóżkach i niewiele mówią.

– Tym bardziej muszę cię odwiedzić za kilka dni. Wtedy już będziesz wszystko wiedziała. A może uda mi się z nimi spotkać i porozmawiać? – planowała Leonore.

– Zdziwiasz mnie. Nigdy bym cię nie podejrzewała o taką ciekawość i wyrywność.

– Przecież to ty zawsze byłaś ta spokojna, a ja szalona – przypomniła jej z rozbawieniem. – A odkąd wiem, czego w życiu chcę, łatwiej mi przychodzi formułować i inne plany.

– I w tych planach jest poznanie ludzi spoza naszej społeczności? – spytała Gretchen.

– Tak. Nie miałam dotąd okazji nikogo takiego zobaczyć, a co dopiero poznać. I pewnie szybko taka okazja się nie trafi.

Gretchen posłała jej wymuszony uśmiech i ruszyła do wyjścia. W sercu zagościł pewien opór przed poznaniem przyjaciółki z obcymi. I niechęć do opowiadania jej o tych mężczyznach, a szczególnie o tym jednym, wiedziała bowiem, że nie będzie potrafiła zdobyć się na taką szczerość, jaką obdarzyła ją Leonore.

„Co się ze mną dzieje? Przecież nie mam nic do ukrycia. Dlaczego więc wstydzę się opowiedzieć najlepszej przyjaciółce o naszych gościach?”... Serce odpowiadało, że doskonale zna odpowiedzi na te pytania, ale skutecznie je tłumiała.



## Rozdział 8



Bolało go całe ciało. Każdy mięsień piekł, palił wręcz. Pierzyna, którą był przykryty, wydawała się niebywale ciężka. Zupełnie jakby nie pierze w niej było, a ołowiane kule. Szorstki materiał nieprzyjemnie drapał w policzek. Sztywny, jakby ktoś przesadził z krochmalem. Nie lubił takiej pościeli, wołał, gdy miękko otulała ciało i delikatnie do niego przylegała. Pelagia przecież wiedziała o tym. Dlaczego więc tym razem nie wypełniła jego woli?

Coś było nie tak. Oprócz bólu całego ciała okrutnie dokuczało mu pragnienie. Usta miał suche, spierzchnięte. Wargi przykleiły się do siebie, a gdy próbował je rozewrzeć, czuł, jak małe drobiny skórki odrywają mu się od ust. Chciał zawołać, ale nie mógł.

– Pić – próbował krzyknąć, ale z jego ust wydobył się tylko schrypnięty, ledwo słyszalny szept.

Powieki też mu ciążyły. Wydawały się opuchnięte i skleione. Ciało zaś było mokre. Ubrania przyklejały się, tworząc nieprzyjemne wrażenie. Najchętniej zdarłby je z siebie, ale nie miał siły nawet podnieść ręki.

Zaczerpnął głęboko powietrza, po czym skrzywił się, wyczuwszy kwaśny odór potu. Powietrze było suche i przesiąknięte taką mieszaniną zapachów, że zakręciło mu się w głowie.

„Gdzie ja jestem, do diaska? Bo na pewno nie w swojej sypialni” – pomyślał, po czym próbował przypomnieć sobie cokolwiek. Zbyt jednak był obojętny i spragniony, żeby się skupić.

„Boże, czy ja jestem w piekle? Tak mi gorąco i duszno. Pragnienie zaraz wypali mi wszystkie wnętrzości”.

Usiłował zepchnąć z siebie pierzynę, ale był zbyt słaby, żeby to zrobić.

„Nie, chyba to nie piekło. Za mocno wszystko mnie boli. Zdaje się więc, że żyję wciąż, ale co się ze mną dzieje? Gdzie ja jestem?”

Po kilku nieudanych próbach udało mu się rozewrzeć powieki. W pomieszczeniu panował półmrok. Wdzierające się przez okno nikłe światło było mgnieniem zaledwie, blaskiem znajdującym się na granicy nocy i świtania. Zbyt mgliste, żeby rozjaśnić pomieszczenie, a zarazem na tyle mocne, że rozjaśniało ciemność. Dzięki temu mógł rozpoznać zarysy pomieszczenia i kształty mebli.

Zapał w urywaną drzemkę. Ze snu wyrwało go ciche skrzypnięcie drzwi. Usłyszał szuranie po podłodze oraz odgłos płynu nalewanego do naczynia.

Jęknął zbyt spragniony, żeby mówić.

Ktoś podszedł do niego i mokrą szmatką zwilżył mu usta. Otworzył je szerzej, pragnąc zebrać językiem jak najwięcej kropelek. Pojawił się też znajomy zapach. Wiatru i ziół. Czuł go już wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Po chwili jego spierzchniętych ust dotknęła łyżeczka, z której spłynął drogocenny płyn. Przelykał nerwowo, ale wyschnięte gardło miało problem z przelykaniem.

– Spokojnie. Podniosę panu głowę i przysunę kubek.

W pierwszej chwili nie mógł rozpoznać słów. Był to niemiecki, ale zniekształcony, zmieszany z jakąś gwarą.

– Woda – ponownie usłyszał melodyjny głos z twardą nutą. – Podam panu wodę.

Skinął nieznacznie. Czuł, jak silne ręce unoszą jego głowę, a do ust zaczyna spływać chłodna, pyszna woda. Pierwszy raz w życiu zdał sobie sprawę, że woda ma smak. Nigdy nie zwracał na to uwagi. Teraz zaś była najcenniejszym, wymarzonym trunkiem.

Gdy opróżnił naczynie, jego głowa ponownie spoczęła na poduszce.

– Jeszcze... Proszę.

– Chwileczkę, zaraz naleję.

Tym razem pił spokojniej. Wiedział, że jego pragnienie zostanie zaspokojone. Gdy palące uczucie zniknęło, odetchnął głęboko, z ulgą.

Obmyła mu twarz chłodną ściereczką. Poczł się lepiej. Mógł wreszcie bez problemu otworzyć powieki. Było jaśniej niż poprzednio, ale wciąż panował półmrok.

Spojrzał na opiekującą się nim kobietę. Była młoda. Miała ciemne włosy wsunięte pod czepek. Bystre oczy spoglądały na niego z ciekawością.

– Kim jesteś? – zapytał płynnym niemieckim. – Co ja tu robię?

– Nazywam się Gretchen Dyck. Jest pan w naszym domu, w Hauskampe.

– W Hauskampe? Gdzie to jest?

– Niedaleko Stobbendorfu<sup>[10]</sup>, Tiegenortu. – Popatrzyła wyczekująco, ale wydawało jej się, że te nazwy nic mu nie mówią. – Trochę dalej mamy do Tiegenhof. Na pewno pan słyszał.

Przytaknął kiwnięciem głowy, co skwitowała delikatnym uśmiechem.

– Mój brat znalazł was na drodze przysypanych śniegiem. Byliście przemarznięci. Pan leżał blady i w ogóle nie reagował na nic, a tamci panowie strasznie gorączkowali. Zabraliśmy was do domu. Końmi i wozem zajął się nasz sąsiad, ale na dniach je przyprowadzi.

Prawda. Teraz sobie przypomniał. Jechali do Gdańska i złapała ich śnieżycyca. Strasznie wiało, a śnieg tak mocno sypał, że nic nie było widać. Kazał Antoniemu się zatrzymać. Schował się pod futrem i narzutami. Przejmując zimno wdzierało się każdą szczeliną. Był tak zmarznięty, że nie mógł się ruszyć. Później zaś otuliło go błogie ciepło. To ciepło było ostatnim, co pamiętał.

– Antoni, Maciej? Co z nimi? – wychrypiał z trudem.

– Są w tym samym pokoju. Śpią na sąsiednim łóżku. Doszli do siebie szybciej niż pan.

– Jak długo... – mówienie przychodziło mu z trudem – tu jestem?

– Dzisiaj zaczyna się czwarty dzień. Wezwaliśmy lekarza. Dwa razy był u pana. Dał leki i kazał trzymać w cieple i pić wodę oraz naparami. Podej-

rzewa, że mogło się u pana wdać zapalenie płuc albo oskrzeli. Długo pan nie przychodził do siebie.

Nic nie pamiętał. Ani tych dni, ani tego, jak tu trafił. Trudno było mu zebrać myśli, a i pytać dalej nie miał siły. Dziewczyna chyba to wyczuła.

– Zaraz przyjdzie moja matka. Pewnie przyśle brata, żeby pana przebrał. Jak pan trochę odpocznie, przyniosę zalewajkę. Musi pan zacząć jeść, sił nabierać, wtedy szybciej pokona chorobę.

Wiedział o tym doskonale. I był głodny, nawet bardzo głodny. Wszystko tak go bolało, że uczucie to zdominowało całą resztę, miał jednak nadzieję, że gdy woda zacznie krążyć w organizmie, ból trochę się rozejdzie.

Wyszła, a on próbował poukładać wszystko, co usłyszał, w całość. Domyślił się, że trafił do mennonitów. Ignacy, przyjaciel, u którego zatrzymał się kilka dni temu, opowiadał mu o tych specyficznych ludziach. Tworzyli zamkniętą społeczność pod względem wiary i kultury, ale utrzymywali ożywione kontakty handlowe z mieszkańcami Gdańska. W okolicy rzadko prowadzili interesy. Nikogo nie odwiedzali i nikogo nie zapraszali do siebie. Odznaczali się pracowitością i uczciwością, nie słynęli jednak z gościnności. Jak to więc się stało, że otoczyli go opieką? Jego i jego służących? Nawet lekarza wezwali. Widać musieli być majętni, skoro mogli sobie na to pozwolić.

Dalsze myśli odpłynęły, a jego ponownie ogarnął sen.

Obudził się, gdy już było całkowicie jasno. Znowu męczyło go pragnienie.

– Jaśnie pan się obudził – stwierdził Antoni. – Podam wielmożnemu panu wody.

Józef spojrzał na swojego stangreta, który wyszedł z łóżka i przyglądał mu się z troską. Wyglądał dobrze. Ubrany czysto, ogolony, o lekko zaróżowionej twarzy.

– Zdrowyś?

– Zdrowy, ale kazali jeszcze leżeć. Mówili, że za wcześnie na wstawanie.

– Ja też, panie, już zem doszedł do siebie – wtrącił Maciej. – Do roboty chciałem, ino nie dajo. I gadajo jakoś tak dziwnie, niby po szwabsku, ale inaczej. Nic nie rozumie z ichniej mowy.

– Pomóźcie mi usiąść – odparł, ucinając wywód pachotka. – Zupełnie opadłem z sił.

Mężczyźni podeszli do niego i chwyciwszy go pod boki, usadzili na łóżku.

– Już lepiej – odparł, oparłszy plecy o zagłówek łóżka. – Mówicie, że zdrowi jesteście, a każą wam leżeć? Jak to tak?

– Ano kazali, panie. Gorączka mnie dopiero odeszła – wyjaśnił Maciej, który zawsze był skory do rozmowy, a że od małego Józefa znał, to oporów żadnych nie miał. – A Antkowi jakoś będzie, że wczoraj zesła, ale robić mozem, my nie przywykli przejmować się takimi blahostkami. To dobre dla szlachty, a nie dla nas, zwykłych chłopów.

Józef nie odpowiedział. Prawdę rzekł bowiem Maciej. Chorobami chłopów mało kto się przejmował. Pracowali, dopóki nie padli, a jak ich zmoгло, to każdy zarządca tylko patrzył, żeby co rychlej wstali z łóżka i wrócili do obowiązków. Roboty zawsze mieli pod dostatkiem. W przeciwieństwie do jedzenia, którego tym pracującym we dworze nie brakowało, ale im dalej od dworu, tym biedniej, a nawet ubogo.

Próbował z tym walczyć. Upominał zarządcę. Wprowadzał reformy, których nikt w jego rodzinie nie rozumiał i nie akceptował. Bliskie mu były hasła pracy u podstaw i pracy organicznej, lecz był w tym odosobniony. Rodzina uważała, że chłopci są od tego, żeby na nich pracowali. Im więcej, tym lepiej.

Nie zgadzał się z ich opiniami. Kazał dawać materiał na naprawę ich chałup, wspierał na przednówku nie tylko ziarnem na zasiew, ale i pokarmem, którego w chatkach brakowało. Jednak gdy tylko zniknął z pola widzenia, zarządca wraz z bratem wszystko zmieniali i robili po swojemu.

Brat, choć młodszy od niego o kilka dobrych lat, poglądami bliski był zmarłemu ojcu, a ten uważał, że im mniej praw i pomocy chłopom, tym łatwiej nimi rządzić. Broń Boże dopuścić do edukacji. Najlepsi byli niepi-

śmienni, więc robił wszystko, żeby utrudnić jakiegokolwiek zdobywanie nauki przez chłopów. Gdy tylko dostrzegł w jakiejś rodzinie bystrego chłopaka, to do dworu go brał, żeby mieć na oku.

Józef uważał inaczej. Brakowało mu jednak determinacji i zaciętości, żeby zwalczać każde działanie brata. A musiał przyznać, że Karol wytrwały był i tak długo drażył i podchody robił, aż postawił na swoim.

Z każdym rokiem coraz mniej chciało mu się z tym walczyć. Przestał widzieć sens reform, oświaty i wprowadzania nowości do gospodarstwa. Spotykało się to nie tylko z niezrozumieniem, ale i krytyką. Matka pomstowała, brat szydził, siostra zaś, najbliższa mu z całej rodziny, łagodnie prosiła, żeby przestał matce dokuczać wprowadzaniem takich innowacji. Tłumaczyła, że skoro za czasów ojca dobre to było i się sprawdzało, to i teraz powinno wystarczyć. Jedynie babcia go rozumiała i dzięki niej chłopskie dzieci mogły nabywać elementarną wiedzę. Uważali ją za dziwaczkę, ale nie śmiali jej się sprzeciwić. Uparcie trwali jednak w swoich przekonaniach i nie docierało do nich, że świat idzie do przodu. Czasy szlachty, wielkich dworów i ogromnych połaci ziemi obrabianych przez chłopów miały się ku schyłkowi. Trzeba było modernizacji, zmian poglądów i technik. Do tego jednak potrzebował wsparcia innych szlachciców, którzy rozumieliby to i razem z nim wprowadzali te zmiany. Działanie na szerszą skalę miałoby sens i przyniosło z czasem pozytywne efekty. Takich jednak ludzi w swoim otoczeniu nie znajdował. Dziedzice w sąsiednich dworach, podobnie jak jego brat i matka, spoglądali na niego jak na utopijnego wariata, który żywi się mrzonkami i próbuje zniszczyć ustalony porządek, który bardzo im odpowiadał.

– Pan hrabia może pić chce? – zapytał Antoni. – Jest tu woda, to podam.

– Podaj.

Skorzystał z pomocy stangreta, wypił wodę i rozejrzał się po izbie, która była dość przestronna i urządzona meblami dobrej jakości. Może nie były kunsztowne, ale na pewno solidne. Całość dość surowa, pozbawiona ozdób, ale w pomieszczeniu znajdowało się wszystko, co niezbędne do funkcjonowania.

– Zadbali o nas – bardziej stwierdził niż zapytał. – I lekarza podobno też wyzywali.

– A był, panie, wczoraj nawet, bo z panem to kiepsko było – przytaknął Maciej. – Ten ichni medyk to pana osłuchiwał i osłuchiwał, aż się dziwowałem, że tak długo to trwa. Później dał jako mieszankę i to podawali hrabiemu co trochę łyżeczką. Widać pomogło, bo się pan ocknął.

– Wszystko mnie boli, a zaduch tu taki, że nie ma czym oddychać.

– Okna nie wolno otwierać – wyjaśnił Antoni. – Panienska albo jej matka pewnie zaraz przyjdą, to powiedzą, co dalej. One bardzo o nas tu dbają.

Tak, Józef pamiętał, że o świcie ktoś go poił wodą. Dziewczyna o melodyjnym głosie. Był ciekaw, jak wygląda.

– Mogę zawołać, jak hrabia głodny – zaproponował Maciej. – Dobrze się czuję, mogę chodzić, już żem się dość należał.

– Poczekamy, nie będziemy ich odrywać od pracy. A wy wracajcie do łóżka. Jak kazali leżeć, to leżcie.

– Toż mnie już gnaty bolo od tego leżenia, panie. – Maciej westchnął. – Słońca bym chciał zobaczyć, a nie na te cztery ściany ciągle ślipia wlepić.

Józef nie odpowiedział. Też by chętnie wyszedł na dwór. Brakowało mu świeżego powietrza i ruchu. Był jednak tak osłabiony, że jedyne, co mógł zrobić, to właśnie leżeć i patrzeć na drewniane ściany oraz meble, które niewiele mówiły o właścicielach.

## Rozdział 9



Ucieszyła się ogromnie, gdy wreszcie przebudził się z letargu. Matka dała całej trójce czyste ubrania i zmieniła w ich pokoju pościel. Opiekę nad hrabią przejęli teraz jego służący, więc odeszło jej nocne czuwanie nad nim. To akurat jej nie cieszyło. Lubiła patrzeć na niego. Często poprawiała mu kosmyki włosów, które mokre od potu bezładnie opadały na czoło.

Wyglądał zupełnie inaczej niż mężczyźni, których znała. Delikatniejszy, bardziej smukły. Nie odejmowało mu to jednak męskości. Mocno zarysowany podbródek wskazywał, że potrafił postawić na swoim, ale liczne zmarszczki wokół oczu świadczyły, że często się uśmiecha. Marzyła o tym, żeby zobaczyć jego roześmianą twarz. Była przekonana, że wyglądał wtedy jeszcze piękniej.

Józef Koczorowski nadal był mocno osłabiony, ale ojcu udało się z nim porozmawiać. Hrabia zaproponował, że pokryje wszystkie koszty ich leczenia, utrzymania i opieki. Heinrich Dyck zgodził się na to rozwiązanie, gdyż nigdy nie gardził możliwością zarobku, a pieniądze, choć nie narzekali na ich brak, zawsze wydawał rozsądnie i po dokładnym przeanalizowaniu zysków, które miała przynieść dana inwestycja.

Rozważali możliwość przewiezienia hrabiego do jego przyjaciela Ignacego Chrzanowskiego, który mieszkał w pobliżu i od którego hrabia ruszył w dalszą podróż, ale wszelkie wyjazdy zostały zakazane przez wezwanego na konsultacje lekarza. Mężczyzna nie mógł nawet wychodzić na dwór. Dopuszczono jedynie wietrzenie pomieszczenia, a i to tylko wtedy, gdy on na ten czas będzie przebywał w innej izbie.



Po tygodniu odesłano jedynie Macieja, gdyż do opieki nad Józefem Koczorowskim w zupełności wystarczał Antoni. Decyzja ta ucieszyła pacholka, który nie mógł odnaleźć się w domu Dycków, a bezczynność mocno mu ciążyła. Uszczęśliwiony zabrał jednego z koni Koczorowskiego, które wraz z saniami odprowadził do Dycków ich sąsiad, i zaznajomiony dokładnie z drogą prowadzącą do Chrzanowskich wyjechał, podziękowawszy stukrotnie za opiekę i dobre traktowanie.

Gretchen zdziwiła tak ogromna wdzięczność, gdyż wydawało jej się naturalnym, że osobę chorą, niezdolną do samodzielnej egzystencji otacza się opieką. Tak było u nich we wspólnocie przyjęte, że wspierano osoby starsze i słabsze, które nie były w stanie poradzić sobie same. „Widać u nich naprawdę tak nie jest” – stwierdziła i zabrała się do szykowania wielkiej izby, w której planowano ulokować hrabiego. Jego woźnica został w pokoju Jacoba, do którego i brat miał wrócić. Przez ostatnie dni spał w wielkiej izbie, ale nie lubił rozkładanej kanapy i wolał nocować u siebie. Nie planowali w najbliższym czasie zapraszać znajomych, hałas bowiem nie sprzyjał zdrowieniu, więc reprezentacyjne pomieszczenie mogło zostać wyłączone z użytku.

Gdy wszystko zostało przygotowane, izba porządnie przewietrzona, a wymaglowana pościel spowiła puchate pierzyny i poduszki, Antoni pomógł hrabiemu przejść do nowego lokum.

Matka pojechała z ojcem do Stobbendorfu, więc jej przypadło w udziale nadzorowanie przenosin. Koczorowski chyba był zadowolony ze zmiany, gdyż z zaciekawieniem rozglądał się po wnętrzu. Na niektórych przedmiotach dłużej zatrzymywał wzrok, po innych tylko przesmykiwał spojrzeniem. Spostrzegłszy, że mu się przygląda, posłał jej nieśmiały uśmiech.

– Proszę mi wybaczyć tę ciekawość, ale nigdy nie byłem w takim domu i niezwykle mnie zaintrygowało wyposażenie salonu.

– Rozumiem – przytaknęła i postawiła tacę na stoliku obok kanapy. – My na to pomieszczenie mówimy wielka izba. Wygląda pewnie inaczej niż salony, które pan zna.

– Właśnie jest wręcz przeciwnie, pomieszczenie to jest tak bogato wyposażone, jak salony u mnie czy u moich znajomych – zaprzeczył, po czym zaniósł się suchym kaszlem.

– Naleję panu wody.

Gdy upił kilka łyków z podanego kubka, odkaszlnął i spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Dziękuję. Ma pani może chwilę czasu? Nie chciałbym odrywać od pracy, ale...

– Owszem, mam kilka minut wolnego. Potrzebuje pan czegoś?

– Jeśli pani tak łaskawa, to prosiłbym o rozmowę. Wiele rzeczy mnie tu ciekawi, a nie znajduję w swej pamięci odpowiedzi na te pytania.

– Z chęcią odpowiem, ale nie wiem, czy moja wiedza będzie wystarczająca.

– Zapewne jest większa niż moja.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa, i usiadła na jednym z pięknie rzeźbionych krzeseł, które okalały stół ozdobiony identycznym dekorem.

– Słucham, o co chciałby pan zapytać?

– Moja obecność jest na pewno dla państwa uciążliwa i raz jeszcze bardzo dziękuję za gościnę. Ciekawi mnie bardzo, jeśli można, czy to nie był duży problem dla państwa, żebym tu został? Musieliście mieć zgodę, nie wiem, przełożonego waszej wspólnoty czy może samej wspólnoty? Proszę wybaczyć, ale słyszałem, że stronicie od obcych.

– Nie, nie musieliśmy mieć zgody – odparła, a w oczach błysnęły iskierki rozbawienia. – Pomaganie potrzebującym jest jednym z naszych podstawowych filarów wiary. I nieważne, jakiego wyznania jest dana osoba. Gdy trzeba pomóc, to pomagamy.

– Rozumiem, to bardzo chwalebne. Jednak chyba prawdą jest, że raczej trzymacie się z daleka od ludzi wyznania katolickiego czy też luterańskiego?

Rozkaszał się znowu, więc ponownie podała mu wodę. Gdy zmęczony opadł na poduszki, poprawiła mu kołdrę i wróciła na krzesło. Popatrzyła

uważnie na jego wymizerowaną, przezroczystą wręcz twarz. Zastanawiała się, co mu odpowiedzieć. Z zewnątrz mogło się wydawać, że izolują się od ludzi, i tak było, ale też nie mieli narzuconych jakichś specjalnych zakazów czy nakazów. Ten dystans tworzył się samoistnie i wynikał z zasad oraz podejścia do spraw wiary, która dla nich była sposobem życia, a nie ideą, o której rozprawiali w niekończących się dysputach.

– Żyjemy zgodnie z zasadami naszej wiary i w rytmie, który jest od wieków taki sam. Nie czujemy potrzeby dostosowywania się do innych i nie chcemy tego. Zachodzą zmiany, oczywiście, w uprawie roli, w pracach gospodarskich, sprzętach, bo przecież świat się rozwija, więc korzystamy z nowych możliwości. Jednak w sprawie naszych przekonań jesteśmy niezmienni i najlepiej czujemy się w gronie ludzi, którzy uważają podobnie.

Miał jeszcze wiele pytań, ale nie śmiał ich zadać. Dziewczyna wyglądała zupełnie inaczej niż kobiety w jego otoczeniu. Nie była delikatna, jak jego matka czy siostra, nie krygowała się ani nie peszyła w czasie rozmowy, jak znane mu szlachcianki. Odpowiadała rzeczowo i konkretnie. Jej strój również się różnił od tych, które przywykł oglądać. Jej ciemna bawełniana suknia była prosta w kroju, przykryta białym, czystym fartuchem obrętionym koronką. Nie wyobrażał sobie, żeby jego siostra miała kiedykolwiek rozmawiać z jakimś gościem odziana jak służąca czy chłopka. Choć przecież ta dziewczyna właściwie była chłopką. Pracowała fizycznie, zajmowała się domem i inwentarzem, a przy tym wszystkim nie wyglądała jak znane mu chłopki. Była zadbana, dobrze odżywiona i czysta. Wszystko w niej lśniło czystością, od włosów począwszy, na butach skończywszy. I ten uśmiech, w którym błyskały piękne, równe, białe zęby. Takich widoków u chłopów nie uświadczysz, a i u szlachty nie zawsze jest spotykane. Zdecydowanie różniła się od wszystkich, których znał.

– Czy coś jeszcze? Muszę wracać do swoich zajęć.

Zmieszał się lekko, słysząc jej głos. Odchrząknął i uciekł spojrzeniem w bok, żeby przypadkiem nie wyczytała z jego oczu, jakie myśli krążyły mu po głowie. Zmarszczył lekko brwi, widząc postawioną na komodzie małą, niezwykle kunsztownie ozdobioną skrzyneczkę.

– Piękna rzecz – stwierdził, chcąc zagłuszyć myśli, które krążyły mu po głowie.

Gretchen wstała, podeszła do komody i ostrożnie przejechała dłonią po zdobieniach.

– To jest nasza historia, nasza przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Spojrzał na nią zdziwiony. Jak na córkę gospodarską, chłopkę przecież, wysławiała się bardzo gramatycznie. Było w jej mowie sporo naleciałości gwarowych, potocznych, które uznał za przypisane do ich wspólnoty, ale mimo to zaskakiwała go słownictwem używanym w konwersacji.

– Co pani przez to rozumie? To jakieś pamiątki?

– Można tak rzec. – Skinęła głową i spojrzała na niego uważnie brązowymi oczami ocienionymi krótkimi, gęstymi rzęsami. – To patent podpisany przez króla Zygmunta III Wazę. Polskiego władcę, który mojego praprzodka mianował właścicielem domu oraz leżących wokół niego gruntów. To ta ziemia, na której stoi teraz nasz dom. Dziadek przybył tu z okolic Zuiderzee z Holandii. Jak zresztą wielu innych naszych rodaków sprowadzonych przez rząd Rzeczypospolitej na osiedlenie się w tej części kraju. Na ziemi żyznej, ale zalanej, którą moi i innych współbraci przodkowie potrafili osuszyć i uregulować.

Zdumienie na jego twarzy było tak widoczne, że nie mogła powstrzymać uśmiechu. Chcąc go zamaskować, odwróciła się od niego i udała, że poprawia serwetkę na komodzie. Skonfundowany hrabia postanowił usprawiedliwić swoją reakcję.

– Proszę wybaczyć moje zdziwienie. Wiem oczywiście o zaproszeniu wystosowanym przez króla Zygmunta oraz o nadanych ziemiach. Zdziwiło mnie jednak, że panienka o tym wie i pamięta. Moja siostra, która jest chyba w podobnym wieku, nigdy nie interesowała się takimi sprawami. Zresztą nie znam ani jednej niewiasty, zajmującej się takimi tematami.

– Rozumiem. Dla nas historia naszej wspólnoty jest bardzo ważna. Mennonici byli mocno prześladowani w Holandii i dlatego przyjęli zaproszenie. Dla nas wiara jest najważniejsza, ona jest nam domem i ojczyzną, a nie ziemia, na której mieszkamy. Dlatego też wiedza o tym, co było i dlaczego,

jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, a takie pamiątki, jak pan to nazwał, przypominają nam o tym, co dla nas najważniejsze.

– Zdziwiające – mruknął bardziej do siebie niż do niej.

Przenosiny do drugiej izby bardzo go zmęczyły. Powieki zaczynały ciążyć, a ciało leżało praktycznie bezwładne. Myśli plątały się i uciekały. Chciał coś jeszcze powiedzieć, zapytać, przeanalizować to, co usłyszał, ale nie miał sił. Gretchen dostrzegła jego zmęczenie.

– Pójdę już do swoich obowiązków. Jest pan zmęczony. Choroba zabiera całą energię, a na to najlepszym lekarstwem jest sen.

Nie miał siły zaprzeczyć. Skinął tylko głową i przestał walczyć ze zmęczeniem, które ogarnęło jego ciało.

## Rozdział 10



Skrzypnięcie drzwi wyrwało go ze snu. Rozejrzał się zaspanymi oczami po pomieszczeniu. Słońce ostro świeciło przez duże, ozdobione koronkowymi firanami okna. W wejściu do izby stał Antoni z niepewną miną. W dłoniach trzymał tacę zastawioną apetycznie wyglądającym jedzeniem.

– Wejdz.

– Przepraszam, nie chciałem obudzić pana hrabiego – odparł speszony. – Panienska Gretchen poszła robić sery, więc przed pracą naszykowała śniadanie.

– Dobrze, bardzo dobrze – powiedział Józef, poprawiając się na posłaniu. – Mam nadzieję, że to coś bardziej treściwego niż te buliony, którymi mnie ciągle poją?

– Doktor tak zalecił. Przecież pan hrabia wie, bo rozmawiał z medykiem.

– Wiem – odparł niechętnie – ale mam już dość tych zupek. Zjadłbym coś konkretnego.

Antoni zatrzymał się w pół kroku, spoglądając niepewnie na Józefa Koczorowskiego. Co prawda był zupełnie inny niż jego apodyktyczny i cholewryczny brat, ale wszak był hrabią i miał prawo do grymasów i żądania samych najlepszych potraw, zaś to, co miał na tacy, do takich na pewno nie należało. Z punktu widzenia hrabiego, oczywiście, bo on jadł to samo i był bardzo ukontentowany otrzymanym posiłkiem.

– Nie stój tak, tylko podejdz tu.

Stangret, któremu przyszło pełnić funkcję lokaja i pokojówki jednocześnie, postawił niezgrabnie na stoliku koło łóżka jedzenie, rozlewając trochę owsianki na tacę.

– Patrz, co robisz! – sarknął ze złością hrabia.

– Przepraszam, nie nawykłem do takich fikuśnych zajęć.

– Nieważne. – Józef machnął ręką. – To nic takiego. Po prostu mam już dość leżenia i bezczynności.

– Tak, panie hrabio.

– Nie stój nade mną, siadaj.

Antoni posłusznie usiadł na wyściełanym krześle. Nie wiedział, co zrobić z rękami, więc zacisnął je w pięści i schował pod stołem. Nigdy nie przebywał w takich luksusach. Jego domem, a zarazem miejscem pracy była stajnia. Tam miał swoją izdebkę. Małą, ale schludną i przytulną. Tu wszystko było wielkie i kosztowne, zupełnie jak we dworze hrabiego.

Józef chwycił talerz z owsianką i powąchał ją sceptycznie.

– Co to? To ma być moje śniadanie?

– Tak. To owsianka.

– Widzę, baranie – burknął, gmerając łyżką w gęstej zupie. – Ale dla czego dla mnie? Już chyba te ichnie buliony były lepsze niż to.

– Panienska Gretchen powiedziała, że powoli będzie pan dostawał solidniejsze posiłki.

– I owsianka ma być tym solidniejszym?

– Smaczna jest, panie, naprawdę bardzo dobra.

– Też to miałeś na śniadanie?

– Wszyscy mieli – przytaknął gorliwie. – I chleb, i masło, i sery. Dobre takie, że w ustach się rozpływały.

– Sery? – Spojrzał na sługę z wyrzutem. – A dla mnie? Nie widzę tu serów.

– Przepraszam, panie, ale panienska Gretchen mówiła, że powoli trzeba wprowadzać stałe posiłki.

– Tak! Panienska to, panienska tamto. Ja mam jeść byle co, a ty zajadasz się serami.

Antoni uśmiechnął się w duchu. To pierwszy raz w jego życiu, a pewnie i całej historii hrabiostwa Koczorowskich, gdy sługa je lepiej niż pan. Chłopi w ich majątku mogli tylko pomarzyć o takim jedzeniu, jakie serwowali mennonici. Wcale nie zamierzał mówić Koczorowskiemu, że każdego dnia je też solidny obiad. Zawsze jest mięso, a ziemniaki tu traktują jak warzywo, a nie podstawę posiłku. I to nie byle jakie mięso, bo wieprzowe, najpierw kilka dni moczone w śmietanie i dopiero później gotowane. I ciasto też zawsze jest. Nawet on dostaje solidną porcję, którą z trudem zjada.

– Co się tak uśmiechasz? – zagadnął hrabia. – Bawi cię mój los?

– Nie, panie, oczywiście, że nie – zaprzeczył żywo, bo w gruncie rzeczy lubił Józefa Koczorowskiego. – Uśmiecham się tylko, bo oni to żyją zupełnie inaczej niż my.

– Widzę – odparł, krzywiąc się mocno. – Domy mają zasobne, ale jedzenie dość skromne.

– Ależ nie, panie! Oni jedzą nawet lepiej niż szlachta.

– Tak?

– Tak! Tu każdego dnia mięso jest w takiej ilości, że przejeść się tego nie da. Nawet jak robią kartofle, to dają taką okrasę ze śmietany i boczku, że ledwo kartofle spod tego widać. Szynki też tu co chwila jedzą, a i jajek sobie nie żałują, ani słoniny. Wszystko tak tłusto, że mnie to przez kilka pierwszych dni żołądek bolał, zanim przywykłem do takiego bogactwa.

– To ciebie naprawdę karmią lepiej niż mnie.

Antoni przygryzł lekko wargę, zdając sobie sprawę, że zbyt dużo powiedział.

– Oni gościnni są, panie, a że dla nich to normalne jedzenie, to i mnie tak dają pojeść.

– Szkoda, że nie mnie. – Hrabia westchnął, z trudem przelękając owsiankę.

– Jeszcze trochę, to i hrabia coś porządnego dostanie. Gotują tu naprawdę bardzo smacznie, panie.

– Może, bo jak na razie to nie bardzo mi smakuje ich kuchnia.



– Panienska Gretchen i jej matka dobrze pitraszą, a i przetworów różnych mają, to i do śniadania, i kolacji zawsze podają powidła, miody i takie różne galaretki.

Hrabia spojrział na Antoniego z wyrzutem, ale nic nie powiedział, skupiając się na konsumowaniu owsianki, która w ogóle mu nie smakowała. Odstawił talerz i zmęczony oparł się o poduszki, ciężko oddychając. W klatce wciąż mu świszczało, a czoło co chwilę rosił pot, który z trudem ocierał z czoła, lecz nie chciał prosić Antoniego o pomoc. Każda czynność kosztowała go dużo wysiłku, ale był przekonany, że gdyby dostał coś pożywniejszego do jedzenia, to szybciej doszedłby do siebie.

– Antoni, zjadłem to, ale poproś, żeby mi więcej tego nie dawano. Na obiad też już nie chcę tych bulionów. Może uda się załatwić jakąś potrawkę.

– Dobrze, panie hrabio, porozmawiam z panienką Gretchen i jej matką.

– Panienką i jej matką? To oni kucharki nie mają?

Stangret zaprzeczył ruchem głowy, a jego twarz się rozpromieniła.

– Nie, panie. One same gotują, sprzątaję, robią sery, a mężczyźni pracują przy zwierzętach i zbiorach. Dzisiaj będą młócić pszenicę ozimą na maszynie.

– Na maszynie? – Hrabia się zdziwił. – Oni dysponują takimi sprzętami?

– Tak. Mają różne maszyny, których nawet u hrabiego w majątku nie widziałem. W polu robią tylko końmi. Na lato, w sensie na żniwa, panie, najmują parobków, ale tak przy wszystkim sami pracują. Trochę widziałem, to aż oczy ze zdumienia przecierałem, takie rzeczy oni tu mają. Zapasów bez liku, drobiu wszelakiego mimo zimy, jadła różnego, a zboża tyle, że trudno oszacować te ilości.

Hrabia przetarł ręką czoło. Słyszał kiedyś o mennonitach od swojego przyjaciela, Ignacego Chrzanowskiego, który mieszkał niedaleko stąd. Puszczając jednak mimo uszu te opowieści, bo nie mógł uwierzyć, że chłopci, bo zwykli to chłopci przecież byli, mogą tak gospodarować swoimi ziemiami, że opływają w dostatek i zbytki. Znał ludzi mieszkających w jego

majątku, próbował wprowadzać modernizację usprawniającą ich pracę, ale ani oni, ani jego zarządca nie byli zainteresowani nowinkami. Dla chłopów najważniejsze było, żeby mieli co do garnka włożyć, dla zarządcy zaś, żeby jak najwięcej z ich pracy wycisnąć. Próbował wszak wiele razy zmieniać ich podejście, ale zawsze kończyło się to fiaskiem. Ci zaś tu widać nowoczesnie rządzą swoimi majątkami i dobrze na tym wychodzą. Na czym jednak polegał ten fenomen, nie potrafił zrozumieć.

– Antoni, a mówisz, że sami wszystko robią i nawet żona i córka bauera gotują i sprzątają, tak?

– Tak, panie hrabio.

– Skoro więc im się tak dobrze wiedzie i w dostatki opływają, to dlaczego nie mają służby?

– Nie wiem, panie, nie pytałem – odparł z zafrasowaną miną. – Ale myślę, że oni po prostu nie chcą.

– Nie chcą? Wolą sami się urabiać niż parę groszy ludziom zapłacić? Tacy chytry są?

– Chyba nie, panie. – Antoni poprawił opadające mu na czoło włosy i popatrzył na hrabiego. – Może religia im zabrania?

– Hm. Może tak rzeczywiście jest, bo innego wytłumaczenia nie znajduję.

– Jeśli pan hrabia by pozwolił, to ja bym zapytał, czy im w czym pomóc, a przy okazji rozejrzę się i podpytam.

– Nie wołali cię wcześniej do pracy?

– Nie, bo przy hrabim czuwałem cały czas, ale jak teraz pan się lepiej czuje, to może bym poszedł i im pomógł?

– Ciekawys, jak ich życie wygląda?

– Tak, panie. To wszystko dla mnie jest niezrozumiałe. Hrabia wie, że ja z chłopskiej rodziny pochodzę. Mój ojciec i jego ojciec jeszcze na pańszczyźnianym robił, a i ja za młodych lat u dziedzica przecież w polu robiłem. Jednak jak z nas tę pańszczyznę zdjęli, to przecież nic lepiej nam się nie żyje, niż żyło się mojemu dziadowi.

Hrabia zacisnął mocniej usta i uciekł spojrzeniem w bok. Wiedział przecież, że Antoni prawdę mówi. Bieda w jego domu, jak i wszystkich innych w okolicy straszna była. Ziemi zbyt mało, żeby wyżywić liczne rodziny, i żadnych perspektyw na powiększenie areалу. Brak też wiedzy i umiejętności, żeby robić coś innego. Źle się im żyło, fakt, ale chęci do zmiany swojego losu też nie wykazywali. Wszelkie nowinki obchodzili z daleka, mówiąc, że to czarcie wymysły.

– Na szczęście ja miałem talent do koni i dostałem pracę u ojca hrabiego. Już jako nie wyrostek taki, ale miałem dryg do koni, to szybko na stangreta awansowałem. Dzięki temu moja rodzina lżej miała. Wiadomo, jeden w chałupie mniej, to i jeden do wykarmienia mniej. A i grosza trochę wpadnie, to odkładam na przyszłość. Może kiedy i ja rodzinę założę? Jeszcze nie teraz, bo nie chcę biedy klepać, jak moje ojce, ale za jakiś czas.

– Masz kogoś na oku, Antoni?

– Nie, panie, jeszcze się nie rozglądałem za żoną.

– Słusznie, młody jesteś, jeszcze zdążysz się ożenić.

Hrabia zaniósł się kaszlem, więc Antoni podbiegł do niego i zgodnie z zaleceniem lekarza zaczął go lekko oklepywać po plecach, żeby flegma się szybciej odkleiła.

– Dziękuję – powiedział Józef, gdy atak minął. – Zmęczyło mnie to śniadanie i nasza rozmowa. Pośpię trochę, a ty jak chcesz, to idź i zobacz, czy nie mają dla ciebie jakiegoś zajęcia.

– Na pewno? – zapytał, ale jaśniejące radością oczy jasno wskazywały, jakiej odpowiedzi oczekuje.

– Tak, idź. Na nic mi się teraz nie przydasz.

Gdy tylko za Antonim zamknęły się drzwi, poprawił się na łóżku i rozejrzał po pomieszczeniu. Izba była duża i bogato wyposażona. Uwagę przykuwał piec ozdobiony flizami, w którym buzował ogień. Obok stała zdobiona szafa i kredens z przeszklonymi szybami, za którymi ustawione były porcelanowe serwisy. Pasująca do zestawu komoda, gdzie oprócz skrzynki z aktem nadania były również lichtarze oraz zegar. Na przeciwległej ścia-

nie wisiał kolejny, kunsztownie rzeźbiony. Bez trudu rozpoznał dzieło Kroegeera, znanego zegarmistrza, którego sława nie tylko obiegła Gdańsk, ale i nawet do nich, do Mroczy dotarła. Stół nakryty koronkowym obrusem oraz wyściełane krzesła niczym nie ustępowały tym, które znał ze swojego i znajomych domów. Również dywan przykuł jego uwagę, gdyż doskonale orientował się w cenach takich towarów. Pokręcił na to wszystko z niedowierzaniem głową. Życie tych nieznanych mu dotąd mennonitów zaintrygowało go i obiecał sobie, że jak tylko poczuje się lepiej, to postara się poznać bliżej ich zwyczaje i poglądy.

## Rozdział 11



Gretchen z ciekawością spoglądała na Antoniego, który każdą wolną chwilę wykorzystywał, żeby pomagać im w pracach gospodarskich. Garnął się do różnych zajęć i chociaż po niemiecku mówił tyle co nic, to nadrabiał gestami i uśmiechami. Jacob znał język polski, może nie mówił bardzo płynnie, ale zdarzało im się handlować z Polakami, więc podłapał sporo zwrotów, a jako jedyny w rodzinie miał łatwość uczenia się języków. Podpytywał Antoniego, jak u nich wyglądają gospodarstwa i jak im się żyje w majątku hrabiego. Stangret o Koczorowskim wypowiadał się jak najlepiej, ale o życiu w ich wsi mówił tak straszne rzeczy, że matka hojną ręką zawsze nakładała mu obiad. Gretchen też bardzo współczuła jemu i jego rodzinie. Słyszała wcześniej o okropnych warunkach, w jakich żyli chłopci pańszczyźniani, ale myślała, że teraz jest u nich lepiej. Nie było. Miała ochotę zapytać o to Antoniego, a jeszcze lepiej hrabiego. Jednak z Antonim nie miała jak się porozumieć, a brata prosić nie chciała, natomiast hrabia wciąż dochodził do siebie i nie wypadało go męczyć rozmową. Szczególnie taką trudną, która na pewno nie byłaby dla niego przyjemna.

Przecedziła mleko i zaczęła powolny proces wirowania śmietany na masło. Było to żmudne, niewymagające skupienia zajęcie, więc jej myśli ponownie popłynęły w stronę ich gości. Ciekawiło ją to inne życie, a jeszcze bardziej ciekawił ją sam hrabia. Nigdy dotychczas nie reagowała tak na żadnego mężczyznę, a znała przecież wielu młodzieńców zarówno z ich wspólnoty, jak i spośród znajomych siostry, do której często jeździła. Z niektórymi lubiła rozmawiać, czasami poartować, czy potaćzyć, ale nigdy nie patrzyła na nich jak na mężczyzn. Traktowała ich raczej w kategorii sympatycznych znajomych.

Z Józefem Koczorowskim od początku było inaczej. Najpierw jej uwagę przykuł wygląd hrabiego. Delikatne rysy przy dość umięśnionej posturze były czymś nowym dla niej. Widać, że nie stronił od zajęć fizycznych, ale delikatne dłonie pokazywały, że nie były to prace w polu czy przy zwierzętach. Raczej jazda konna i może jakieś sporty, których ona nie знаła. Wszak w ich wspólnocie nikt nie miał czasu na wymyślne ćwiczenia. Było tyle pracy, że wypełniała całe dni, a pojawiające się niekiedy wolne wieczory pożytkowali na spotkania, gry w karty i tańce. A może hrabia dużo tańczy? Szlachta podobno lubi bale, a na nich na pewno cały czas się tańczy. Nie wiedziała nawet, jak sobie taki bal wyobrazić, bo u nich nigdy nie urządzano tego typu imprez.

– Gretchen? – Dźwięczny głos mamy rozniósł się po wszystkich pomieszczeniach, docierając również do serowarni. – Gdzie jesteś?

Dziewczyna puściła korbę, wytarła ręce w lnianą ścierkę leżącą na stole i wyszła do przedsionka.

– Tutaj, masło kręcę. Stało się coś?

– Racja. – Matka machnęła ręką. – Myślałam, że pomagasz przy cięciu słomy na sieczkę.

– Nie, pan Stangret przyszedł pomóc, więc moja obecność była zbędna. Uznałam więc, że wezmę się za masło, bo sery robiłam wczoraj.

– Dobrze, dobrze. Pan Antoni widać nie lubi siedzieć w miejscu, bo jeszcze chwilę temu zanosił napary ziołowe hrabiemu, a tu proszę, już przy sieczkarni.

– Szkoda, że nie zna dobrze naszego języka. Myślę, że mógłby nam wiele opowiedzieć.

– Wiesz, córko, czasami lepiej nie wiedzieć. Ich życie zdaje się bardzo smutne. Skupmy się lepiej na pracy i naszej wspólnocie, żeby nie podzielić kiedyś ich losu.

– Myślisz – zaczęła z trwogą Gretchen – że ktoś mógłby nam odebrać nasz dom i naszą ziemię?

– Córko, to wszystko jest nasze chwilowo i różnie może się ułożyć. Poza tym pamiętaj, że naszym domem jest nasza wiara, a nie – wskazała ręką na sufit – ten dach czy mury. Jeśli będziemy musieli, to zostawimy to i pójdziemy dalej. Na razie jednak nie ma się czym martwić i o czym rozmyślać. Róbmy swoje najlepiej jak potrafimy, a zawsze sobie poradzimy w życiu.

– Wiem, tylko... mamó, gdy część naszej rodziny jechała do Rosji, to wy zostaliście tutaj.

– Widzisz, dziecko, doszło do złączenia Fryzów i Flamandów, ale jednak myślimy trochę inaczej. Oni mocno się zacierzewili i trudno im przyjąć jakiegokolwiek nowości. My zaś umiemy to rozgraniczyć i dopóki nic nie zagraża fundamentom naszej wiary, nie musimy wyjeżdżać. Zresztą – machnęła ręką – ojciec mówił, że na spotkaniu u Weissa dowiedzieli się, że część naszych współbraci z Rosji planuje wyjechać do Kanady. Wychodzi więc na to, że i w tej Rosji nie było tak, jak sobie wyobrażali. Świat się zmienia i nie da się już żyć tak jak nasi dziadowie sto czy dwieście lat temu. Niektóre zmiany trzeba przyjąć i dostosować je do naszych poglądów.

– Czy to słuszne?

– Powtórzę się, córko. Słuszne, dopóki fundamenty naszej wiary nie są zagrożone. Nie jesteśmy amiszami, żeby odrzucać postęp. Wręcz przeciwnie, korzystamy z możliwości, jakie stawia na naszej drodze Bóg, aby jeszcze lepiej wykonywać swoją pracę i żyć prostym, spokojnym życiem.

– To prawda. Wiesz, ten Antoni mocno się dziwił naszym sprzętom i maszynom. U nich chyba takich nie ma.

– Pewnie, że nie ma, dziecko. Skoro oni tam ledwo koniec z końcem wiążą, to skąd mają brać pieniądze na zakup maszyn?

Gretchen zganiła w duchu swoją naiwność. Czasami umykały jej całkiem oczywiste rzeczy i głowiła się analizowaniem zamiast wyciągać proste wnioski, które nasuwały się same.

– Zresztą, nie przyszłam tu z tobą teraz dyskutować.

– Coś trzeba zrobić? Z masłem zaraz skończę, dosłownie kilka minut i będzie gotowe.

– Dobrze, jak skończysz, to spakuj kilka krążków sera dla Johanna. Wiesz, jak twój brat uwielbia nasz ser, więc wybierz mu te najlepsze. Jutro jest aukcja drewna w Tiegenorcie, więc na pewno tam będzie. Ojciec z Jacobem też jadą, to wezmą dla niego.

– Szkoda, że Anna nie chce się nauczyć robić serów.

– Widzisz, ona jest córką rymarza i głównie z jego pracy rzemieślniczej utrzymuje się ich rodzina. Naturalnie mają krowę, drób i kawałek ziemi, ale to za mało, żeby trzymać więcej bydła. Nie miała się więc gdzie dziewczyna nauczyć – odparła usprawiedliwiająco matka. – Ma za to dryg do drobiu. Robi doskonałe pasztety. Chyba nawet lepsze niż moje.

– Oj nie, nikt takich nie robi jak ty.

– To miłe, córko, ale trzeba oddać Annie, że w tym jest lepsza. Nie można więc wymagać, że będzie się znała na wszystkim. I tak sobie wspaniale radzi, a my przecież chętnie podzielimy się z nimi serami. Wracam do kuchni, a ty przygotuj więc wszystko i spakuj w ten duży kosz wiklinowy.

W kącikach ust Gretchen pojawił się uśmiech. Wskazanie konkretnego kosza przez matkę było równoznaczne z zaleceniem, ile sera ma spakować. Duży kosz mieścił nawet dziesięć krążków, a to znaczyło, że ich zapasy sporo zeszczupleją i będzie musiała poświęcić więcej czasu na nadrobienie braków. Nie miała jednak nic przeciwko temu. Mleka mieli bardzo dużo, zapasów masła i śmietany też, więc mogła poświęcić dodatkowe porcje na ser. Poza tym lubiła to robić. Mieszać różne dodatki, tworzyć zarówno tradycyjne, jak i nowe gatunki smakowe. Chętnie też eksperymentowała, a że miała do tego dar, to często wychodziły bardzo ciekawe smaki.

Ledwo jednak skończyła z masłem, gdy w serowni ponownie zjawiała się matka.

– Skończyłaś?

– Masło tak, ale serów jeszcze nie spakowałam.

– Później to zrobisz. Przyjechał pan Wiebe z Leonore.

– Stało się coś?



Zdziwiła ją obecność przyjaciółki, bo raczej nie odwiedzały się w dzień powszedni. A już na pewno nie o tak wczesnej porze. Na spotkania były zarezerwowane niedziele, czasami też wieczory w tygodniu, gdy wypadały czyjeś urodziny lub imieniny.

– Nie, pan Wiebe przyjechał po pszenicę ozimą. A Leonore pewnie skorzystała z okazji i zabrała się z nim, żeby omówić z tobą ślub albo poprosić cię o pomoc przy czymś – odparła z domyślnym uśmiechem matka.

– Możliwe, chociaż wiem, że jej skrzynia posagowa jest już prawie gotowa. Wykorzystuję z matką każdą wolną chwilę, żeby ze wszystkim zdążyć.

– Nie wiem, w każdym razie zostaw to i chodź, wtedy się dowiesz, o co chodzi.

Gretchen czym prędzej obmyła używane przy wyrabianiu masła sprzęty i odłożyła je na miejsce. Nigdy bowiem nie zostawiała bałaganu na stanowisku pracy. Dopiero gdy upewniła się, że w serowarni panuje nienaganny porządek, poszła spotkać się z przyjaciółką.

W związku z tym, że wielka izba była zajęta przez hrabiego matka zaprowadziła Leonore do jej pokoju. Panowała tam względna temperatura, bo mimo iż nie paliła w kominku w dzień, to ciepło bijące od komina rozpraszało zimno.

– Leonore, miło cię widzieć. Przepraszam, że musiałaś na mnie czekać. Robiłam właśnie masło.

– Nic nie szkodzi. Wiem, że odrywam cię od pracy, ale my tylko na chwilę. Ojciec weźmie pszenicę i wracamy.

– Zawsze chętnie cię widzę i cieszę się, że przyjechałaś. Może pójdziemy do kuchni? Tam jest cieplej. Zrobię coś do picia.

– Nie, nie kłopot się, bo naprawdę tylko na kilka minut przyjechaliśmy.

– To zdejmij płaszcz i siadaj. – Wskazała ręką na stojącą pod oknem otomanę.

Dziewczyna zsunęła odzienie, przewiesiła je przez krzesło i usiadła na wskazanym miejscu.

– Gretchen, przyjechałam, żeby prosić cię o pomoc w przygotowaniach do wesela.

– Wiesz, że z chęcią pomogę. Co mogę zrobić? Pomóc ci szyć wyprawę?

– Nie, to już gotowe. Chodzi mi o przygotowanie jedzenia. Chciałabym, żebyś przyjechała do mnie na dwa dni przed weselem pomóc w pieczeniu. Z ciastami radzisz sobie jak nikt inny, a i gęsi przyprawione przez ciebie zawsze wybornie smakują. Oczywiście będzie też moja siostra, i kuzynki, ale boję się, że nie podolamy wszystkiemu.

– Dobrze, chętnie przyjadę i zrobię, co trzeba.

– Moja matka jeszcze oczywiście porozmawia z twoją i poprosi ją o zgodę, ale chciałam najpierw ciebie zapytać.

– Leonore, tyle lat się przyjaźnimy, że nie wyobrażam sobie, że miałabym ci nie pomóc.

Dziewczyna chwyciła ręce przyjaciółki i lekko je uściśnęła.

– Wiem, ale taka jestem tym wszystkim rozgorączkowana, że już sama nie wiem, czy ze wszystkim zdążę na czas. Gdy ustalaliśmy termin, byłam przekonana, iż bez problemu wszystko przygotowujemy, a teraz im bliżej, tym mocniej się denerwuję.

– Leo, to chyba normalne. Moje siostry przed swoimi ślubami też były takie podenerwowane i ciągle się martwiły, że coś nie będzie przygotowane, albo źle zrobione, albo za mało, a czasu przecież miały więcej niż ty, więc to chyba taka natura tego czasu przedślubnego.

– Och, pewnie masz rację. Ciągle jednak zamartwiam się rolą matki, która mnie czeka. Wiem, co powiesz – podniosła rękę – ale i tak wciąż o tym myślę. Zastanawiam się, co powinnam zrobić, jak z nimi rozmawiać. Układam sobie w myślach całe dialogi, podpytuję mamę, zapisuję sobie przepisy na domowe lekarstwa, spisuję objawy różnych chorób, żebym wiedziała, co powinnam zrobić i w ogóle chyba lekko wariuję.

– Leonore, przecież nie będziesz w tym wszystkim sama. Masz rodzinę, ale i do nas masz blisko. Będziemy cię wspierali i pomożemy, w czym tylko będzie trzeba.

– Dziękuję. Cudownie mieć taką przyjaciółkę jak ty. I ogromnie się cieszę, że będziemy sąsiadkami.

– Ja również. I nic już się nie martw, wszystko dobrze się ułoży.

– A powiedz mi, Gretchen, jak tam ten hrabia? – zapytała z błyskiem w oku. – Dowiedziałaś się czegoś o nim?

– Nic nowego. Wciąż jest bardzo chory i rzadko z nim rozmawiam.

– Szkoda, myślałam, że czegoś się dowiem.

– Głównie śpi – odparła, ale widząc zawiedzioną minę przyjaciółki postanowiła opowiedzieć jej o swoich wrażeniach. – Przenieśliśmy go do wielkiej izby i opiekuje się nim pan Antoni. On słabo mówi w naszym języku, ale chętnie pomaga i wszystko go bardzo ciekawi. U nich na wsiach życie inaczej wygląda. Biednie mają, mimo że pracują.

– Dziwne, skoro pracują, to przecież nie powinni być biedni.

– Też tego nie rozumiem, ale u nich inaczej to wygląda.

– Muszę podpytać mojego ojca, może on coś będzie wiedział?

– Mój mówi, że tam jest wielka niesprawiedliwość. Szlachta żyje z pracy chłopów i dlatego oni opływają w luksusy, a chłopci w nędzy żyją.

– To dlaczego nie wyjadą? Przecież nasi pradziadowie zmienili kraj, gdy nasza wiara była zagrożona, to chyba i oni mogą gdzie indziej wyjechać, jeśli ich tak źle traktują?

– Nie wiem. – Gretchen wzruszyła ramionami. – Nie sposób zrozumieć, o co tam chodzi.

– Podpytam, ojciec często robi z nimi interesy, to może będzie wiedział, jak to jest – odparła i wstała z otomany. – Jak on wygląda, Gretchen? Ten hrabia?

Dziewczyna odruchowo poprawiła czepek, żeby ukryć rumieniec wypełzający na jej policzki.

– Cóż. Jest wysoki, ma ciemne włosy i delikatne rysy.

– Pewnie nie pracuje fizycznie.

Gretchen wzruszyła ramionami. Nie zamierzała dzielić się z przyjaciółką swoimi spostrzeżeniami i rozważaniami, bo to by ściągnęło na nią niepotrzebną uwagę. Jeszcze by pomyślała, że hrabia jej się spodobał, a przecież wcale tak nie było.

– Matka woła – zauważyła z ulgą Gretchen. – Pewnie twój ojciec już spakował pszenicę.

– Tak, na pewno. Mówił, że to tylko kilka minut potrwa, więc matka pozwoliła mi jechać, żebym cię zapytała o pomoc. Czas jednak wracać do obowiązków. Dziękuję ci za wszystko i do zobaczenia w niedzielę na mszy.

– Do zobaczenia. I nie denerwuj się tak, wszystko się ułoży.

– Niech już będzie po ślubie, bo naprawdę zwariuję od tego rozmyślenia – odparła Leonore i uściskawszy przyjaciółkę, wyszła z izby.

Gretchen podeszła do okna i smutnym wzrokiem spojrzała na śnieg otulający drzewa. Od jakiegoś czasu czuła się samotna. Miała bliskich, kochającą rodzinę, przyjaciółkę, znajomych, a jednak czegoś jej brakowało i ten brak odczuwała coraz mocniej. Zapominała o tym tylko w towarzystwie Józefa, którego czarne oczy przykuwały ją jak magnes. Intrygował ją. Chciała go poznać bliżej, ale zdawała sobie sprawę, że nic dobrego z tego nie wyniknie. On był hrabią, katolikiem, a ona mennonicką bauerką. Los przypadkowo ich zetknął i tak szybko, jak go postawił na jej drodze, tak szybko go zabierze. A ona? Ona tu zostanie, wykonując należycie swoje obowiązki, czerpiąc radość z drobnych rzeczy i... tęskniąc, za tym, czego nie poznała, a poznać by chciała.

## Rozdział 12



Poranne godziny zawsze mu się dłużyły. Czuł się coraz lepiej, więc Antoni po przyniesieniu śniadania szedł pomagać gospodarzom. On również chętnie opuściłby już łóżko i wyszedł chociaż na chwilę na dwór, ale wciąż mu odmawiano. Annchen, żona gospodarza, niezmiennie powtarzała, że lekarz zabronił i dopóki nie otrzymają od niego pozwolenia, nie wyprowadzą go na dwór. Rozumiał jej argumenty, ale nie zmieniało to faktu, że całe ciało bolało go już od leżenia. Czuł, jak z dnia na dzień skóra mu wiotczeje, a mięśnie słabną. Zazdrościł swojemu stangretowi, który mógł się poruszać swobodnie po domu i obejściu. Wszak złapała ich ta sama śnieżycą, tak samo zmarzli, a jednak Antoni szybko do siebie doszedł, a on wciąż się zmagał z zapaleniem oskrzeli.

Rumor słyszalny przy drzwiach wejściowych przykuł jego uwagę. Dotychczas miał wrażenie, że mieszkający tu ludzie w ogóle ze sobą nie rozmawiają, tak cicho zawsze tu było. Teraz zaś dla odmiany słyszał podniesiony, męski głos domagający się czegoś z całą stanowczością. Wytężył słuch, starając się rozróżnić wyrazy. Ze zdziwienia podniósł się gwałtownie i pochylił do przodu. Nie, nie miał omamów. Wyraźnie słyszał głos swojego przyjaciela Ignacego Chrzanowskiego.

Po chwili drzwi do jego izby otworzyły się z hukiem. Drgnął zniesmaczony tym hałasem. W przejściu pojawił się Ignacy, tuż za nim stał Antoni i jeszcze jakiś mężczyzna, którego nigdy dotychczas nie widział.

– Józef! Jak dobrze cię widzieć!

– Witaj, Ignacy – odparł, marszcząc lekko brwi. – Co tak krzyczysz?

– Miałem całą przeprawę, żeby się tu do ciebie dostać. – Przyjaciel wszedł do środka. – Gdzieś ty trafił, człowieku?

– Przeprawę? Co się stało?

– Ta dziwaczna kobieta – głową wskazał na wchodzącą za nimi Gretchen – nie chciała nas do ciebie wpuścić. Tłumaczyłem jej, że jestem baronem, twoim przyjacielem i przywiozłem porządnego lekarza, który cię zbada, bo ci ich szarlatani na pewno nie znają się na nowoczesnym leczeniu.

Józef spojrział na wzburzoną twarz Gretchen, a następnie przeniósł wzrok na Antoniego, który miętolił w rękach czapkę i przestępował z nogi na nogę. Zrobiło mu się wstyd za niestosowane zachowanie przyjaciela. Dyckowie okazali mu tyle życzliwości, właściwie uratowali życie, a spotkały ich przez niego przykrości. Nie nawykł do przeproszania i nie umiał tego robić, ale czuł, że musi wyjaśnić tej prostej, ale bardzo życzliwej dziewczynie zachowanie barona.

Wyprostował się, odgarnął przydługi lok z czoła i spojrział w płonące złością oczy Gretchen.

– Panienko – odezwał się przepaszającym tonem – proszę wybaczyć mojemu przyjacielowi niestosowne zachowanie. Jego wzburzenie wynika z troski o mnie i dlatego zachował się tak prostacko. Niech panienka przyjmie przeprosiny i puści w niepamięć jego nieprzyjemne słowa.

– Ależ Józefie! – zaczął z oburzeniem Ignacy, ale surowy wzrok przyjaciela sprawił, że umilkł.

– Mój przyjaciel – powiedział z naciskiem Koczorowski – dołącza do przeprosin.

Gretchen wyprostowała się, a różowe dotychczas policzki pokryły się purpurą.

– Pan hrabia chyba myśli, że my, bauerzy, jesteśmy głupimi ludźmi i nie potrafimy zrozumieć, co i jak się do nas mówi – odparła ostrym tonem, unosząc wyżej podbródek. – Pana przyjaciel może i jest wzburzony, ale to go nie usprawiedliwia. Nie jesteśmy chłopami żyjącymi w jego majątku,

zdanymi na łaskę i humory jaśnie pana. Daliśmy panu i pana ludziom dach nad głową i opiekę, ale nie potrzebujemy kontaktu z osobami, które odnoszą się do nas bez szacunku i w dodatku obrażają naszego medyka, nazywając go szarlatanem, który nie zna się na nowoczesnym leczeniu. To zupełna nieprawda. Nasi lekarze szkolą się tak samo jak i wasi, ale potrafią łączyć naukę medyczną z wiedzą ludową.

– Oczywiście – potwierdził szybko hrabia. – Doskonale się mną zajął i dzięki niemu oraz waszej trosce jeszcze w ogóle żyję. Raz jeszcze przepraszam za mojego przyjaciela, który nie zawsze potrafi się odpowiednio zachować.

– Dlaczego ty się tłumaczysz tej głupiej wieśniaczce? – zapytał po polsku Ignacy. – Za kogo ona się uważa, że śmie oceniać moje słowa czy zachowanie?

– Zamilknij – odparł ostro hrabia i zaniósł się kaszlem.

Antoni podbiegł do niego, oklepał mu lekko plecy, a następnie podał szklankę z wodą.

– Zostawię pana z jego gośćmi – powiedziała Gretchen, gdy atak kaszlu hrabiego minął. – Mam jednak nadzieję, że długo nie zabawią w naszym domu.

Gdy skończyła, obrzuciła przybyłych przelotnym spojrzeniem i poprawiwszy lekko fartuch, wyszła z pokoju. Zapadło milczenie. Ignacy nie mógł wyjść ze zdumienia, że zwykła chłopka odważyła się mówić do nich w taki sposób. Z kolei Józef próbował opanować kłębiącą się w nim złość. Wiedział, że przyjaciel martwił się o niego, ale jego zachowanie było doprawdy karygodne.

Antoni nie zrozumiał toczącej się rozmowy między przybyłymi a Gretchen, jednak doskonale słyszał słowa barona wypowiedziane po polsku. Nawykł do takiego zachowania państwa, ale było mu przykro, że taki afront spotkał panienkę Gretchen, którą szczerze polubił. Najchętniej poszedłby w jej ślady i po prostu wyszedł z pokoju, lecz nie mógł tego zrobić. Chrząknął więc, a gdy mężczyźni skierowali w jego stronę spojrzenia, wystąpił krok do przodu.

– Hrabio, będę jeszcze potrzebny czy mogę wracać do pracy?

– Pracy? – prychnął Ignacy. – A co stangret robi u bauerów? Wozisz ich na spacery czy może na te ich sekciarskie spotkania?

– Pomagam w gospodarstwie – odparł przyciszonym głosem – przy krowach i koniach. Czasami też przy zbożu. Jestem synem chłopca, więc znam się na takiej robocie.

– Doprawdy, zabawne jest to wszystko, mój drogi Józefie. Zawsze miałeś słabość do wieśniaków, ale to, co się tutaj wyczynia, przechodzi wszelkie pojęcie.

Hrabia poruszył się nerwowo w łóżku i posłał przyjacielowi kpiący uśmiech.

– Tak? Cóż się takiego tu, jak byłeś łaskaw określić, wyczynia?

– Nie widzisz? Zwykła bauerka zachowuje się co najmniej jak jakaś hrabianka. Przepytuje nas, po co i na co przyjechaliśmy, zamiast się cieszyć, że spotkał ją taki zaszczyt i może gościć pod tym marnym dachem szlachetnie urodzone osoby.

Koczorowski spojrzał na pełną oburzenia minę przyjaciela i zaczął się głośno śmiać.

– Cóż cię tak bawi, drogi przyjacielu? – spytał Ignacy.

– Ty – odparł hrabia, ocierając łzy rozbawienia z kącików oczu.

– Dlaczegoż to?

– Po pierwsze, ten dach wcale nie jest marny. Jakbyś zadał sobie trud i się rozejrzył, to zauważyłbyś, że ta izba niewiele się różni od naszych salonów.

Chrzanowski drgnął lekko, ale spojrzenie, mocno urażone, wciąż miał skierowane na Józefa. Nie zamierzał dawać przyjacielowi satysfakcji, więc choć ciągnęło go, żeby obejrzeć pomieszczenie, powstrzymał te zapędy.

– To było po pierwsze – zauważył oschle. – Masz więc pewnie coś jeszcze do dodania.

– Tak – przytaknął hrabia. – Po drugie, dzięki tym bauerom w ogóle możemy rozmawiać. Gdyby nie udzielili mi pomocy, umarłbym na saniach



przysypany śniegiem.

– O, to akurat jest bardzo łatwe do wyjaśnienia. – Ignacy uśmiechnął się cynicznie. – Widzieli twoje drogie sanie i liczyli na szybki zarobek. Nie myśl, że to z dobroci serca.

– Ja jednak tak myślę, bo więcej mają ze mną kłopotu niż zarobku. Poza tym żyją bardzo zasobnie i nie potrzebują zawracać sobie głowy opieką nad obcym mężczyzną.

– Chyba słaba ta opieka, skoro jeszcze leżysz w łóżku – odgryzł się Chrzanowski. – Przestań więc wydziwiać i daj się zbadać doktorowi Wilczyńskiemu, który jest wybitnym specjalistą w chorobach płuc.

– A ty utemperuj swoje snobistyczne zapędy, bo doprawdy coraz gorzej z tobą. I może przepuść doktora, bo nie przystoi, żeby stał i słuchał naszych utarczek.

Starszy, lekko posiwiały mężczyzna, który do tej pory przysłuchiwał się rozmowom w milczeniu, przeszedł do leżącego w łóżku hrabiego, postawił czarną torbę na stojącym obok stoliku i chrząknąwszy głośno, spojrzał najpierw na barona, później na hrabiego, a na końcu na Antoniego.

– Panowie wybaczą, ale i ja zabiorę głos, choć nie powinienem uczestniczyć w tej dyspucie.

– Ależ prosimy – zachęcił Ignacy, licząc na poparcie ze strony doktora.

– Znam mennonitów od bardzo wielu lat i ogromnie ich szanuję. To pracowici, nad wyraz pracowici – podkreślił z naciskiem – skromni i uczciwi ludzie. Nie ma w nich ani krzty chciwości czy cwaniactwa. Przechodząc przez ich ziemie, człowiek może czuć się bezpiecznie. Jeśli coś się zgubi, a oni znajdą, to odwieszą w widocznym miejscu tak, żeby właściciel bez trudu odnalazł. Żyją dostatnio, ale na wszystko ciężko zapracowali. Może i są bardzo oszczędni, niekiedy mówią o nich, że są skąpi i chytry. Opinia ta wynika z tego, że nie żyją rozrzutnie. Zanim wydadzą pieniądze, to dobrze to przemyślą i przekalkulują.

– Właśnie – pochwycił Ignacy – ciebie też przekalkulowali.

– Absolutnie się z tym nie zgodzę – wtrącił stanowczo Wilczyński. – Jeżeli pomogli, to zrobili to z dobroci serca, gdyż nikt z nich nie przejdzie obojętnie obok człowieka wymagającego pomocy. Powiem więcej, w obrębie swojej wspólnoty bardzo się wspierają. Tworzą domy dla schorowanych i starszych, które wspólnie, według zasobności, finansują a ludzi tam umieszczonych otaczają wszelaką opieką.

– U nas też są ochronki – zaperzył się baron. – Pomagamy potrzebującym.

Doktor uśmiechnął się z politowaniem i pokręcił głową.

– Nie. My pozorujemy pomaganie, a oni naprawdę pomagają. Jeśli będzie miał pan kiedyś okazję, to polecam zobaczyć, jak u nich funkcjonuje pomaganie potrzebującym. Można się wiele nauczyć.

Hrabia słuchał słów lekarza z ogromnym zaciekawieniem. Dostrzegł już sporo różnic między ich życiem a mennonitami i nie mógł wyjść z podziwu, jak zwykli przecież chłopci potrafili się tak zorganizować.

– Doktorze – zaczął hrabia, patrząc na Wilczyńskiego – skąd oni to wszystko potrafią? Czy mają tylu wykształconych ludzi? Jest u nich jakaś warstwa, nie wiem, hm, myślicieli, kreatorów, którzy to tworzą? Może mają jakieś władze, struktury, które organizują ich wspólnoty?

– Absolutnie nie – odparł doktor dobrotliwym tonem. – Wręcz przeciwnie.

– To znaczy? – dociekał hrabia. – Jak to możliwe?

– Zamiast wypytywać, lepiej byś dał się zbadać – zauważył baron. – Z tego gadania to aż pot ci na czoło wstąpił.

– Nic mi nie jest, to normalne, ale w istocie – odwrócił się w stronę stangreta – Antoni, mógłbyś mi przynieść świeżych ziół i coś do picia dla doktora i barona?

Mężczyzna przytaknął ochoczo. Towarzystwo tych szlachetnie urodzonych męczyło go, a wyniosły ton barona irytował.

– Oczywiście, już idę.

– Proszę – zakpił Ignacy – stangret, opiekunka, lokaj i chłop w jednym. Udał ci się ten Antoni, nie ma co.

– Przestań już z tymi zgryźliwościami. Naprawdę przechodzisz dzisiaj samego siebie.

– Też byś przechodził, gdyby zwykła chłopka potraktowała cię jak jakiegoś dziada, który pcha się jej do chałupy.

– Nie przesadzaj. – Józef pokręcił głową. – Siadaj i daj doktorowi odpowiedzieć na moje pytanie.

– Widzę, że bardzo cię zainteresowało życie tych bauerów.

– Żebyś wiedział, Ignacy, bardzo mnie interesuje, ale że jestem przykuty do łóżka, to niewiele mogę zobaczyć czy też się dowiedzieć.

– Zaraz hrabiego zbadam i zobaczymy, co da się zrobić – wtrącił doktor i otworzył czarną torbę, z której wyjął przyrząd do osłuchiwania.

Ignacy roześmiał się rubasznie.

– Józek, a może tobie się spodobała ta tłusta mennonitka, co? Przaśna, prosta, inna niż kobiety z naszej sfery i dlatego zdaje ci się interesująca?

– Sam jesteś przaśny – odparł ostro, gdyż obraźliwe słowa na temat Gretchen mocno go ubodły – i prostacki w dodatku.

– Czyżbym trafił w czuły punkt? – Baron popatrzał na przyjaciela podejrzliwie. – Podoba ci się ta bauerka?

– Panowie zaniechają może na chwilę dysput, to zbadam hrabiego.

– Oczywiście, panie doktorze – odparł Józef. – Mój przyjaciel jest dzisiaj wyjątkowo swarliwy, ale nie ma co na to zwracać uwagi.

Chrzanowski wzruszył ramionami i usiadł na krześle przy stole pokrytym bogato zdobionym obrusem. Gdy tylko upewnił się, że mężczyźni zajęci są badaniem, zaczął się dyskretnie rozglądać. Jego uwagę od razu przykuł piec zdobiony flizami oraz zegar Kroegera. To były bardzo drogie rzeczy i niewielu szlachciców mogło sobie na to pozwolić. Meble też były solidne, pięknie rzeźbione. W duchu musiał przyznać przyjacielowi rację. Wyposażenie tej izby niczym się nie różniło od ich szlacheckich salonów.

Ogłędziny przerwało pojawienie się Antoniego, który wrócił z tacą zastawioną filiżankami, dzbankiem z kawą, dzbanuszkami śmietany, cukiernicą, ciastkami oraz ziołowym naparem. Szedł wolno, ostrożnie nie spuszczać wzroku z niesionych naczyń. Widać było, że nie nawykł wykonywać takich czynności.

– Lokaja to z ciebie nie będzie – orzekł baron – ale grunt, że doniosłeś. Nawet jeśli jest to szwabska kawa<sup>[11]</sup>, to śmietanka powinna złagodzić jej okropny smak.

Antoni bez słowa postawił tacę na stole i wyszedł z izby. Na jego twarzy malowało się ogromne poczucie ulgi pomieszane z niechęcią. Na szczęście nikt nie zwrócił na niego uwagi i mógł wrócić do osób, z którymi czuł się zdecydowanie lepiej, mimo iż nie mógł swobodnie z nimi rozmawiać.

– Ohydna, ale da się wypić – stwierdził baron, upiwszy łyk kawy hojnie doprawionej śmietaną.

– Ciesz się, że możesz pić kawę, bo mnie ciągle poją ziołami albo wodą – powiedział z kwaśną miną Józef. – Z chęcią napiłbym się czegoś innego. Panie doktorze, mogę napić się kawy? Ostatnio czuję się zdecydowanie lepiej.

– Widać, że jest pan w dobrej formie, ale na kawę jeszcze przyjdzie czas. Jakie zioła pan pije?

– Nie wiem, parzą w kuchni, a Antoni mi przynosi.

Lekarz podszedł do dzbanka i powąchał napar.

– Czuję lipę, czarny bez, tymianek, miód i coś jeszcze, czego nie rozpoznaję, ale widać, że dobrane ze znanostwem. To dobry napar, proszę go pić.

– Liczyłem na inną odpowiedź – odparł hrabia, wzdychając. – To może chociaż coś konkretnego do jedzenia, a nie ciągle zupy mleczne, buliony, wywary i trochę gotowanego mięsa.

– I tu zaprzeczę, gdyż musi pan jeść lekkostrawne potrawy.

– Jem. Jedyne tłuszczyki, które dostaję, to ten, którym mnie smarują.

– Smarują cię smalcem? – zapytał z niedowierzaniem baron. – Przecież są nowocześniejsze metody. U mnie wciera się alkohol przy przeziębieniu,

a nie smalec.

– Gęsi smalec, bo tym na pewno pana smarują, jest doskonały i przy nim zalecam zostać.

– Czyli co? Żadnych zmian?

– Jest pan w dobrej kondycji. Stan zdrowia się poprawia, więc przy słonecznych dniach zalecam wychodzenie na dwór. Tylko nie na długo – przestrzegł doktor – góra kwadrans. W tym czasie trzeba tu przewietrzyć. Powietrze jest dość suche, więc należy poprosić, żeby rozstawiono ze dwie, trzy duże miski z wodą koło kominka. Poprawi się wilgotność powietrza i lepiej będzie się panu oddychało. A! I widziałem, że Antoni stosuje oklepywanie. To bardzo dobra metoda i proszę ją dalej praktykować.

– Dziękuję, doktorze, i przepraszam, że mój przyjaciel niepotrzebnie pana fatygował.

– Gdy dowiedziałem się, gdzie pan trafił, to tłumaczyłem baronowi, że jest pan w dobrych rękach, ale nie chciał słuchać – odparł medyk, przeczesując wąsa.

– Widzisz, Ignaś? Jednak nie szarlatan mnie badał, a porządny lekarz.

Baron w odpowiedzi ostentacyjnie sięgnął po kolejne ciastko, które choć niepozornie wyglądało, było bardzo smaczne.

– Doktorze, jak pan myśli, kiedy będę mógł jechać w dalszą drogę?

– Nie wcześniej niż za dwa, trzy tygodnie, a i to zależy, czy kaszel całkowicie zejdzie i nie powróci gorączka. Najlepiej, żeby przed podjęciem takiej decyzji zbadał pana lekarz.

– Dobrze, tak zrobię.

– Może chce pan napisać list do rodziny, żeby się nie martwili?

– Nie, zawsze zimą wyjeżdżam na dłuższy czas, więc są przyzwyczajeni. Nie ma co ich niepotrzebnie troskać informacją o chorobie.

– Zapraszam, doktorze, do stołu – powiedział uprzejmie Ignacy. – Kawa kiepska w smaku, ale ciastka całkiem dobre.

Hrabia powiódł tęsknym spojrzeniem w stronę stołu. Też chętnie by się poczęstował, ale nawet nie pytał, bo wiedział, jaka będzie odpowiedź.

Gdy doktor wypił kawę, zagryzając kilkoma ciastkami, Józef ponowił pytanie o mennonitów i ich wyjątkowe zgranie i zarządzanie.

– Wiele o nich słyszałem, a i poznałem kilku osobiście – zaczął doktor, zakładając nogę na nogę. – U nich nie ma warstwy inteligenckiej, choć w sumie wszyscy są dobrze wyedukowani. Niektóre wspólnoty, te większe, zakładają swoje szkoły, w innych dzieci uczęszczają do szkół powszechnych, takich, jakie są dostępne na ich terenie. Wiem jednak, że douczają się w domu. Szczególny nacisk kładą na arytmetykę. Dobrze rachują, logicznie myślą. Nie ma u nich, jak wspomniałem, warstwy inteligenckiej. Nie mają księży, biskupów ani współbraci na jakichś urzędniczych stanowiskach. Nie mogą składać przysięgi, więc wszystkie rządowe posady odpadają. Jednak oni wcale o to nie zabiegają. To prości ludzie zajmujący się rolą. Ci, którzy ziemi nie uprawiają, wyuczają się zawodów rzemieślniczych. Wszystko robią bardzo starannie, więc są specjalistami doskonałymi we wszystkim, czego się podejmą.

– Przedstawił ich doktor jak ludzi idealnych – zauważył baron. – Nie wierzę, że wszystko tak pięknie u nich wygląda.

– Cóż, nie znam żadnych skandali z nimi związanych. Pozostają zamknięci w swoich wspólnotach, pracują, modlą się, robią interesy. Przy tym są naprawdę niezwykle pracowici.

– Mówił już to pan – wtrącił lekko złośliwie Chrzanowski. – Nie mogę jednak pojąć, jak nawet najpracowitszy chłop może się dorobić takich bogactw.

– Widać może. Podatki płacą bardzo wysokie. Za to, że nie służą w wojsku, również płacą. Podobnie, jak i daniny na Kościół katolicki i luterański, które muszą składać.

– Na czym więc polega ich fenomen? – zapytał Józef, analizując usłyszane wiadomości. – Jakże ich na to wszystko stać, skoro w naszych majątkach też chłopci ciężko pracują, ziemi mamy dużo więcej, a, o ile my żyjemy dostatnio, to nasi chłopci nawet porządnego odzienia nie mają?

– Trudne pytanie – odparł lekarz, patrząc w oczy hrabiemu – ale myślę, że zna pan na nie odpowiedź.

Hrabia skinął głową. Tak. Znał odpowiedź, lecz tak przykra mu była, że wolał udawać, iż przyczyna nie tkwi w szlachcie, a w zacofaniu chłopów.

– Skończmy już te dysputy o bauerach, bo za chwilę musimy ruszać – zauważył Chrzanowski, któremu ta rozmowa i wnioski nasuwające się na myśl bardzo były nie na rękę. – Szybko ciemno się robi, a do domu kawał drogi. Ustalmy lepiej, jak się będziemy kontaktowali, bo drugi raz nie zamierzam gościć, o ile można to tak nazwać, pod tym dachem.

Hrabia chętnie podjął zmianę tematu. Choć od lat próbował wprowadzić zmiany w swoim majątku i bardzo współczuł chłopom, to dopiero w zderzeniu z rzeczywistością, w której pracujący na swojej ziemi ludzie żyją dostаточно, w pełni sobie uświadomił skalę problemu. I niesprawiedliwości.

## Rozdział 13



Gretchen była tak oburzona zachowaniem gości hrabiego, że wszystko leciało jej z rąk. Nie mogła na niczym się skupić, bo myśli wciąż uciekały do gburowatego zachowania barona, który odnosił się do niej z taką pogardą, że w pierwszej chwili nie wiedziała, jak zareagować. Nigdy nie miała styczności z takimi ludźmi. We wspólnocie wszyscy zwracali się do siebie z szacunkiem. Czasami trafiał się ktoś z trudniejszym charakterem, mrukliwy i zdystansowany do innych. Rozumiała, że nie każdy lubi rozmawiać. Ludzi spotykały różne tragedie. Przecież nie byli wolni od chorób, nagłych śmierci czy klęsk. O tych ostatnich doskonale świadczy dom dla potrzebujących utworzony koło kościoła. Ludzie stracili cały swój majątek, wszystko, na co ciężko pracowali, i teraz w wyniku różnych zdarzeń byli zdani na pomoc sąsiadów. Żaden jednak z nich nie wybuchał taką złością jak baron, a przecież mieli prawdziwe powody do smutku czy żalu.

Baron. To słowo co i rusz podkreślał w rozmowie z nią. Jakby to miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Człowiek to człowiek. U nich szanowano każdego. Nie było określeń na warstwy społeczne, a przecież i oni mieli zarówno biedniejszych, jak bogatszych. Byli też przewodnicy duchowi, którzy swoją pracę wykonywali społecznie, z pełnym zaangażowaniem i atencją skierowaną na wiernych, a nie na siebie.

Rondel upadł z hukiem, podskakując nieregularnie na drewnianej podłodze.

– Gretchen, co się z tobą dzieje? – zapytała matka z troską w głosie. – Jesteś dzisiaj strasznie nieuważna.

– Wybacz, mamó, nie mogę zebrać myśli.



– Dlaczego?

– Mówiłam ci. To przez tego barona i jego zachowanie. Nie rozumiem, jak można przyjść do czyjegoś domu i się tak zachowywać.

– Usiądź, zrobię nam kawę i porozmawiamy.

– Teraz? Obiad jeszcze niegotowy.

– Obiad poczeka. Taka rozkojarzona i tak nic nie zrobisz. Siadaj, córciu, a ja wszystko przygotuję.

Gretchen zasiadła za stołem z wyrzutami sumienia. To nie był czas na odpoczynek. Czekają na nią jeszcze mnóstwo obowiązków. Wiedziała jednak, że matka ma rację. Jej działania mogą przynieść teraz więcej szkody niż pożytku.

Annchen zaparzyła pachnącą kawę, nalala naparu do kubka, dodała śmietany, cukru i podała córce. Gretchen drżącą ręką sięgnęła po napój.

– Córko – zaczęła po chwili – nie możesz się tak przejmować obcymi ludźmi. Ich świat jest inny niż nasz, mimo że żyjemy na tej samej ziemi i w tych samych czasach.

– Dlaczego?

– Na to nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Mogłabym powiedzieć, że to wynika z naszej wiary, z tego, że ściśle trzymamy się słowa Bożego, wypełniamy jego wolę bez uciekania w blichtr i pozór. I to byłoby prawdziwe, ale – popatrzyła na córkę z troską – należy wziąć pod uwagę również to, że zostali zupełnie inaczej wychowani, żyją w innej kulturze, mają odmienne tradycje i zwyczaje. U nas nigdy nie było niewolnictwa.

– U nich było? – zdziwiła się Gretchen. – Nie słyszałam o tym.

– Jak więc nazwiesz pańszczyznę i wykorzystywanie chłopów? Wymuszanie na nich pracy, za którą nie otrzymywali wynagrodzenia? Pomyśl, ci chłopcy przymierali i przymierają głodem, mimo iż każdego dnia ciężko pracują. Szlachta zaś nie robi w zasadzie nic, a opływa w luksusy, żyje bardziej niż godnie. Z pracy tych właśnie biednych ludzi. Jak więc to nazwać?

– Masz rację, matko, ale ja nadal nie rozumiem, dlaczego tak się u nich dzieje.

– To proste, chociaż dla nas nie do przyjęcia. Szlachcie jest tak wygodnie. Bez skrupułów wykorzystują bliźnich, żerują na ich pracy i na tym, że są od nich zależni. Wsiąkli w taki układ, wychowali się w nim i nie chcą go zmieniać.

– Akurat to, niestety, rozumiem. Wyjaśnij mi jednak, dlaczego ci chłopcy nie opuszczą szlachty i nie pójdą gdzie indziej, tak jak my poszliśmy za wiarą? Na naszym przykładzie widać, że można inaczej.

– Córko, oczywiście, że chętnie by to zrobili. I pewnie niektórzy, jakieś jednostki, tak robią.

– Jednostki – prychnęła ze złością. – Dlaczego nie wszyscy?

– Gdzie pójdzie tak duża grupa ludzi? Ich jest zdecydowanie więcej niż nas. Tych, którzy przybyli na te ziemie.

– To powinni szukać. Nie można tak żyć. My ciężko pracujemy, ale jesteśmy na swoim.

– I jesteśmy zależni od innych.

– Od współbraci? To przecież naturalna zależność. Nie ma nic złego w tym, że sobie pomagamy – zauważyła Gretchen. – Spajamy wspólnotę i łączące nas więzi. Poza tym przecież w większości jesteśmy powiązani rodzinnie.

– Masz rację, ale mi chodziło o inną zależność. Gdy zmienia się władza, musimy zabiegać o odnowienie naszych przywilejów. Płacimy za to słono. Zresztą, jak za wszystko. Za możliwość odmówienia służby wojskowej, za postawienie kościoła wypłacamy się katolikom i luteranom. Za ziemię płacimy dużo więcej niż inni, podobnie jak za domy.

– Prawda, ale stać nas na to. Wypracowujemy zysk, więc można znaleźć sobie inne miejsce do życia. Bardziej godne. Takie, w którym człowieka traktuje się jak człowieka, a nie zwierzę pociągowe.

– Gretchen, tak, teraz nas stać. Jednak gdy nas zaproszono na te ziemie, polskie jeszcze wtedy, nie zrobiono tego, żeby nam pomóc w zachowaniu naszej wiary, a dlatego, że nasi pradziadowie mieli wiedzę dotyczącą wód, ujarzmiania jej, odwadniania terenów i tworzenia sieci melioracyjnej. Wie-

dzę przekazywaną z pokolenia na pokolenie oraz umiejętności. Ziemie, które nam dano, były podmokłymi bagnami, nienadającymi się do uprawiania czegokolwiek. Dzięki tej wiedzy właśnie zagościliśmy tutaj. Zago-spodarowaliśmy nieużytki i odkryliśmy to, co było ukryte pod wodą. Żyzną ziemię, która odpowiednio uprawiana hojnie rodzi, odwdzięczając się za włożony trud.

– Wiem, mamó, że oczekiwano od nas określonych działań, że to nie było za darmo ani z odruchu serca. Jednak może i ci biedni chłopci mogą wykorzystać swoje talenty i gdzie indziej znaleźć godne życie?

– Może, kiedyś – przyznała Annchen. – Zauważ, że jest też ogromna przepaść między nimi a nami. I jest to wykształcenie. U nich od niedawna funkcjonują szkoły, z których mogą korzystać chłopci. My mieliśmy tę możliwość od bardzo dawna. Umiesz czytać, pisać, liczyć. I ja umiem. I moja matka. I jej matka. Oni zaś mierzą się jeszcze z analfabetyzmem, który jest tam dość powszechny.

– Czyli musi upłynąć jeszcze sporo czasu, aż zdadzą sobie sprawę ze swoich możliwości i poszukają innych perspektyw?

– Tak, ale musi najpierw dojrzeć w nich chęć zmiany, rozwoju i uświadomienia sobie, że mogą. Nie jest to jednak łatwa droga, a szlachta bardzo im to utrudnia, celowo hamując rozwój chłopów, odmawiając im praw do nauki i uprawy własnej ziemi.

– Myślisz, że to tylko wina szlachty?

– Głównie ich, ale naleciałości wiekowe, przekazywane z pokolenia na pokolenie w rodzinach chłopskich, bieda i marazm też robią swoje.

– Straszne, naprawdę straszne jest to, jak oni wykorzystują tych ludzi. I to chrześcijanie. My też przecież zatrudniamy ludzi, ale dobrze ich traktujemy i płacimy uczciwie za pracę.

– Widzisz, córko, do tego jedni i drudzy jeszcze muszą dorosnąć. Efektywniej pracuje się na swojej ziemi. Bardziej o nią dba, zabiega o dobry zbiór. Praca pod przymusem nigdy nie przyniesie takich efektów. To, co u siebie i dla siebie człowiek robi dokładnie i z chęcią, tego pod przymusem, chory, zastraszony i głodny nie zrobi.

Gretchen przygryzła wargę i ciężko westchnęła. Współczuła ludziom, którzy byli traktowani w ten sposób. Pragnęła, żeby mogli poczuć i doświadczyć tego, co ona widzi i czuje każdego dnia – piękna świata, którym Bóg tak hojnie ich obdarzył, szczęścia czerpanego z codzienności, satysfakcji, która napełnia serce, gdy widzi się dobrze wykonaną pracę, i radości, że można to szczęście dzielić z bliskimi.

– Córko, nie mamy na to wpływu i nie zmienimy za nich ich życia. Oni sami muszą poukładać swoje sprawy. Nie powinnaś też przejmować się zachowaniem barona. Ten człowiek nigdy nie znalazłby się w kręgu naszych znajomych, w kręgu naszej wspólnoty. Pojawił się u nas chwilowo, w wyniku wypadku hrabiego, i tak jak się pojawił, tak zniknie, a my wrócimy do swojego życia.

– Zniknie, ale się nie zmieni. Szkoda ludzi, którzy muszą na niego pracować.

– Pewnie się nie zmieni, ale to on przed Bogiem odpowie za swoje słowa i czyny.

– Dobrze, że nasz gość jest zupełnie inny – powiedziała, czując, jak na myśl o hrabim na jej policzki wpływa rumieniec. – On dobrze traktuje Antoniego, więc pewnie i w stosunku do chłopów jest uczciwy.

Annchen posłała jej czujne spojrzenie. Gretchen spuściła wzrok, nie chcąc, żeby matka wyczytała z jej oczu zbyt wiele.

– Córko, to zupełnie inne okoliczności. Jest chory, zdany na opiekę innych, więc nie możesz wnioskować po jego zachowaniu, jaki jest na co dzień. Jak się zachowuje i traktuje ludzi, gdy jest zdrowy.

– Wydaje się dobrym człowiekiem – wtrąciła cicho, czując potrzebę stania się w obronie Józefa. – Do mnie też zawsze odnosi się z szacunkiem.

– Mieszka u nas. Pomogliśmy mu. Gdyby Jacob go nie znalazł, różnie mogłoby się to skończyć. Czuje wdzięczność i ma na tyle kultury, żeby mieć to na uwadze w kontaktach z nami. Nie idealizuj go jednak, bo nie wiesz, jakim jest człowiekiem. Wyzdrowieje, oby jak najszybciej, i pójdzie swoją drogą. Wróci do majątku, do służby i chłopów zależnych od niego. Do swo-

jego życia. My zaś dalej będziemy żyli swoim. Z dala od niego i innych szlachciców.

– Oczywiście, mamo.

– Wracajmy do pracy. I nie myśl już o tym, na co nie masz wpływu.

– Dobrze, tak zrobię.

I miała szczerą nadzieję, że jej się to uda. Wymaże z pamięci barona, jego zachowanie, los chłopów i hrabiego. Przede wszystkim hrabiego. Z czarnymi, hipnotyzującymi oczami.

## Rozdział 14



Pierwsze, nieśmiałe jeszcze, symptomy wiosny coraz mocniej zaznaczały swoją obecność w przyrodzie. Śnieg powoli się roztapiał, wsiąkając w ziemię, która stawała się błotnista. Sanie, odpowiednio zakonserwowane, trafiły w przeznaczony na to zakątek stajni. Wyciągnięto wozy i bryczki. Drogi znaczyły głębokie koleiny utrudniające przejazd, więc w podróż udawano się tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Hrabiego ogromnie cieszyły te zmiany w przyrodzie, gdyż doktor pozwolił mu wreszcie na krótkie wyjścia na świeże powietrze. Był to zaledwie kwadrans dziennie. Kilka minut, które urozmaicały monotonię dnia i dawały nadzieję na to, że lada chwila będzie mógł wyruszyć w podróż do domu. Cieszyła go ta myśl. Nie mógł się doczekać, kiedy wróci do pełni sił i będzie mógł robić to, co zechce, bez czekania na pomoc innych. Teraz dopiero docenił, jakim błogosławieństwem jest zdrowie i niezależność płynąca z faktu, że człowiek może poruszać się samodzielnie. Stęsknił się za jazdą konną i spacerami. Miał dość patrzenia w okno i oglądania mebli i sprzętów, które już znał na pamięć. Nie lubił czytać, ale teraz chętnie by sięgnął po jakąś książkę. Niestety, u Dycków poza Biblią i śpiewnikiem nie było nic do czytania.

Radość ze zdrowienia i powrotu do swojego życia zakłócała mu myśl, że więcej nie zobaczy Gretchen. Dziewczyna przykuwała jego uwagę. Fascynowało go jej podejście do życia, szczerzy sposób bycia, którego nie zepsuły żadne bezsensowne zasady dobrego i właściwego zachowania oraz konwersowania, wpajane od dziecka kobietom z jego sfery. Rozmawiając z nią, wiedział, że mówi to, co myśli, nie udaje i nie próbuje z nim flirtować.

W zasadzie miał wrażenie, że w ogóle nie zwraca na niego większej uwagi niż wymagała tego grzeczność.

Przed wizytą Ignacego Chrzanowskiego zachodziła do niego czasami, przynosząc jedzenie, czyste ręczniki czy wyprane ubrania. Mimo całej otwartości i szczerości trzymała dystans, którego nie był w stanie pokonać. Ubolewał nad tym, bo ona wciąż siedziała w jego głowie i był jej ogromnie ciekaw. Chciał poznać ją bliżej, dowiedzieć się, co lubi robić i o czym marzy. Podejmował kilkakrotnie próbę zahaczenia o te tematy, ale zawsze go zbywała. Grzecznie, ale stanowczo.

Do tego też nie był przyzwyczajony. Kobiety, które znał, cieszyły się, jeśli zwrócił na nie uwagę. Trzepotały rzęsami, słały mu wystudiowane uśmiechy, kręciły wdzięcznie głową, bacząc, żeby ufryzowane loki ładnie się układały, i chętnie opowiadały o sobie. Gretchen była ich przeciwieństwem. Prosto ubrana, gładko uczesane włosy schowane pod czepkiem, suknia przepasana fartuchem i ręce ciągle zajęte pracą. Tak, była zupełnie inna i to właśnie go fascynowało.

Po wizycie Chrzanowskiego i doktora Wilczyńskiego Gretchen już się u Józefa nie pojawiła. Jeśli czegoś potrzebował, przynosił to Antoni. Zachowanie przyjaciela, za które hrabia wstydził się ogromnie, było bardzo nieeleganckie i doskonale zdawał sobie sprawę, że dziewczyna poczuła się urażona prostactwem i obcesowością. Nie miał jednak okazji, żeby ją przeprosić, i bardzo nad tym ubolewał, bo brakowało mu jej obecności, nikłych uśmiechów, kojącego głosu oraz zapachu wiatru i mleka, który nieodłącznie mu się z nią kojarzył.

– Panie hrabio – rzekł cicho Antoni, wchodząc do izby – przyniosłem odzienie. Krzesło wyściełane kocami też już czeka.

– Wreszcie. Co ci tak długo zeszło?

– Panienska Gretchen szukała cieplejszych koców, bo wczoraj hrabia skarżył się, że mu zimno.

– Nie skarżyłem się. – Józef pokręcił z dezaprobatą głową. – Mówiłem tylko, że owcze skóry byłyby dużo lepsze niż koce.

– Tak, jaśnie panie – odparł pokornie, pomagając hrabiemu założyć futro. – W okolicy nikt nie hoduje owiec i nie mają skór, a te, które były na sianach, tak przesiąkły śniegiem, że jeszcze są trochę wilgotne.

– Długo schną. Nie można ich gdzieś koło pieca powiesić?

– Panienska Gretchen miała je przewieszane w stajni, żeby powoli schły. Podobno tak najlepiej dla skór, jak same od siebie wyschną. Ale jakżem wczoraj paniencie powiedział, że hrabiemu zimno, to zaraz poszła po jedną i powiesiła w izbie pana Jacoba. Jutro powinna być gotowa chociaż ta jedna – odparł i pospiesznie podał hrabiemu czapę i rękawice. – Za dużo nie można, bo mocno parują, a gdzie indziej nie można, bo suszą pranie. Poza tym tu nie ma jak u hrabiego specjalnych pomieszczeń na pranie. Oni robią tak jak my, w chłopskich chałupach. Rozwieszają na linach na dworze, nawet w czasie mrozu, i jak obciekną, to przynoszą do domu i dosuszają w izbach.

– Widzę, że mocno się zaznajomiłeś z ich obyczajami.

– Tak, panie, to bardzo ciekawe, jak oni żyją. Niby po pańsku, a tak bardzo podobnie do nas, chłopów.

– Dobrze, później mi opowiesz, co jeszcze zauważyłeś. Teraz chodźmy na dwór, dopóki słońce świeci.

Antoni chwycił hrabiego pod ramię, który po kilkunastodniowym leżeniu miał problemy ze swobodnym poruszaniem się. Wolno przeszli przez obszerną sień i minawszy drewniane, bogato rzeźbione drzwi, wyszli przed dom. Czekąco tam na niego wygodne, wyściełane kocami krzesło. Usiadł i opatuliwszy się porządnie, odetchnął pełną piersią, z lubością zaciągając się zapachem rozmokłej ziemi oraz wiatru. Przez kilka minut mrużył oczy, osłaniając je ręką przed słońcem, które po długim przebywaniu w zamkniętym pomieszczeniu mocno go raziło.

Wszystko odbierał znacznie intensywniej. Jakby pozbawione bodźców zmysły chciały nadrobić czas poświęcony na walkę z chorobą. Kolory były niezwykle wyraziste, zapachy wręcz kręciły w nosie, a ucho łowiło dźwięki dotychczas niesłyszalne – szmer rzeki w oddali, szum wiatru przesmykują-



cego się między wierzbami czy też kroki Gretchen, które potrafił bez trudu rozpoznać.

Tym razem też bezbłędnie odczytał znaki zwiastujące jej nadejście. Ciche stąpanie po drewnianej podłodze, delikatne skrzyknięcie drzwi, zapach ziół doprawionych miodem i wreszcie ten, który lubił najbardziej i za którym tęsknił od kilku dni – zapach Gretchen.

– Dzień dobry – przywitała się, stawiając obok niego małe krzesło, na którym umieściła duży kubek z naparem. – Przyniosłam panu coś na rozgrzanie. Antoni mówił, że ostatnio pan zmarzł.

– Dziękuję. Mój stangret bywa niekiedy nadgorliwy. Powiedziałem tylko, że owcze skóry byłyby lepsze do okrywania, a nie że zmarzłem. Jestem jednak pani ogromnie wdzięczny za troskę. Antek mówił, że suszy pani skóry. Przykro mi, że przysporzyłem dodatkowej pracy. To doprawdy nie było moim zamiarem.

Spojrzał przepaszająco na dziewczynę. Nie odpowiedziała, ale na jej białym czole pojawiła się lekka zmarszczka. Posłała mu też bardzo wymowne spojrzenie, które, cóż, było kpiące. Ubodło go to, ale nie miał jej za złe. Po tym wszystkim, co widziała i słyszała przy spotkaniu z Ignacym, miała prawo nie wierzyć w jego słowa.

– Potrzebuje pan jeszcze czegoś? Muszę wracać do pracy.

Była tak blisko, na wyciągnięcie ręki, a dzielił ich niewidzialny mur – urodzenia, pochodzenia, wyznania, poglądów oraz podejścia do życia. Marzył, żeby go zburzyć, ale nie wiedział jak. Nigdy nie był w takiej sytuacji i nie miał pojęcia, jak powinien zareagować. Nigdy też widok kobiety nie wpływał na niego tak paraliżująco. Czuł się jak sztubak, który jest na pierwszym balu i musi zatańczyć z gospodynią spotkania. Niepewność ogarnęła jego ciało i choć kilka razy otwierał usta, żeby ją przeprosić, to nie wydobyło się z nich ani jedno słowo.

– Cóż, pójdę już. Proszę wypić napar, dopóki jest ciepły.

– Panienko Gretchen – wydusił wreszcie z siebie, widząc, że dziewczyna się odwraca i chce odejść. – Proszę poczekać.

- Tak? – Odwróciła się w jego stronę i uniosła lekko brwi.
- Nie wiem, jak zacząć – odparł z uśmiechem.
- Potrzebuje pan czegoś? – ponowiła pytanie. – Proszę śmiało mówić, jeśli coś potrzebne, to przyniosę.
- Nie, nie o to chodzi.
- To o co? Naprawdę muszę już iść do swoich zajęć.
- Chciałem panienkę przeprosić za zachowanie mojego przyjaciela i za tę całą sytuację. Jest mi ogromnie przykro, że spotkały panią z jego strony takie nieprzyjemności. Wiem, że powodował nim lęk o mnie, ale to absolutnie nie usprawiedliwia tak grubiańskiego zachowania.
- Nie pan zachował się niegrzecznie, więc nie ma powodu, żeby przeproszał pan za zachowanie barona Chrzanowskiego.
- Wiem, ale to z mojego powodu w ogóle doszło do tej sytuacji. Gdyby nie ja, nigdy by państwa nie niepokoił.
- Oczywiście, że nie – odparła, a w jej oczach ponownie pojawił się kpiący wyraz. – Nie jesteśmy odpowiednim towarzystwem dla pana barona, więc nasze drogi nigdy by się nie zeszły.
- Panienko Gretchen, naprawdę ogromnie mi wstyd za jego zachowanie i szczerze przepraszam. To w ogóle nie powinno mieć miejsca.
- Czy wszystkich chłopów, których urazi pana przyjaciel, pan przeprosza, czy tylko mnie? Domyślam się bowiem, że to nie lęk, a styl bycia pana barona wziął górę. Ktoś, kto nie ma szacunku do niżej urodzonych, nie będzie go okazywał nawet wtedy, gdy gospodarzami domu, do którego wchodzi, są właśnie chłopci.
- Blade policzki hrabiego się zaczerwieniły. Wiedział, że Gretchen ma rację, ale nie spodziewał się takiej reakcji. Nikt nigdy głośno nie krytykował jego przyjaciela ani nikogo z jego otoczenia. Zawsze znajdowano odpowiednie wytłumaczenie dla gburowatych czy protekcyjnych zachowań. Zresztą, w towarzystwie obowiązywały pewne normy, których wszyscy przestrzegali. Czasami ktoś złamał zasady etykiety, ale najczęściej kwitowano to milczeniem. Inaczej, gdy zachowanie takie było kierowane

w stronę chłopów. Wtedy w ogóle nikt nie zwracał na to uwagi, uznając, że szlachta ma prawo dyscyplinować i musztrować zdanych na ich łaskę robotników. Nikomu przez myśl by nie przyszło, żeby się z tego tłumaczyć czy też przeproszać.

– Tak, to kuriozalne. Musi panienka wiedzieć, że u nas wygląda to zgoła inaczej i dlatego mój przyjaciel nie zmiarkował, jak się należy zachować.

– Najłatwiej, gdy człowiek po prostu zawsze i w stosunku do każdego pamięta o szacunku. Wtedy nie trzeba nic miarkować ani analizować, jak należy się zachować – odparła oschle. – Zostawmy ten temat, bo jak już mówiłam, nie pan powinien przeproszać.

Popatrzył na nią z podziwem. Była niezwykła. Prosta, skromna, a przy tym pewna siebie i tego, co mówi. W jej głosie ani przez chwilę nie słyszał wahania. To, co mówiła, odzwierciedlało jej przekonania oraz sposób bycia. I było szczere. A to rzadko spotykane wśród ludzi. Niezależnie od klasy społecznej, wyznania czy wykształcenia.

Podziw dla tej dziewczyny wzrósł jeszcze bardziej. Fascynowała go niezmiernie. Marzył, by umieć w tak prosty i pewny siebie sposób mówić to, co myśli. Nie bacząc na obowiązujące zasady i konwenanse. Gdyby się na to odważył, na pewno wywołałby niezłą konsternację wśród rodziny i bliskich, a wśród obcych zapewne skandal. Uśmiechnął się do siebie, wyobrażając sobie minę matki czy brata, gdyby na proszonym obiedzie czy balu powiedział głośno o tym, co od dawna chodziło mu po głowie. Tak, to na pewno byłby skandal.

## Rozdział 15



Hrabia czuł się coraz lepiej i na dniach miał opuścić ich dom. Nie potrzebował już pomocy przy chodzeniu. Wybrał się również wraz z Antonim na kilka krótkich spacerów, żeby wzmocnić mięśnie i zahartować się przed podróżą. Czekali, aż drogi podeschną i umożliwią swobodny przejazd. Rozważano, w jaki sposób wytransportować Józefa do Ignacego Chrzanowskiego. W stajni stały sanie hrabiego, lecz przy tej pogodzie nie były na nic przydatne. Miały zostać u Dycków do czasu, aż hrabia przyjedzie je odebrać. Nie ustalono, kiedy to nastąpi, zostawiając rozwój wypadków okolicznościom, z którymi hrabia będzie musiał się zmierzyć po powrocie do domu.

Analizowano różne możliwości, łącznie z odwiezieniem hrabiego i Antoniego przez Jacoba. Do Chrzanowskiego było kilka godzin jazdy, więc dwa dni w zupełności starczyłyby na podróż. Na to jednak nie chciał zgodzić się hrabia. Uznał, że i tak zbyt mocno obciążył gospodarzy swoją obecnością i choć pokrył wszystkie koszty z nawiązką nie chciał przysparzać im dodatkowej pracy. Zdecydowano więc, że stangret pojedzie do barona i stamtąd powróci kareta i zabierze hrabiego.

Wyekwipowany przez Gretchen Antoni ruszył w drogę, a Józef z żalem stwierdził, że nadeszło nieuchronne. Początkowo cieszył się, że wróci do dawnego życia, lecz z każdym upływającym pod mennonickim dachem dniem ta radość znikła, aż wyparowała całkowicie. Doświadczał teraz zupełnie innych emocji i rozterek. Frustrowało go, że będzie musiał opuścić ten gościnny dom, intrygującą go Gretchen i wrócić do życia, które przytłaczało i wysysało wszelką chęć działania.

Najchętniej zostałyby tu na zawsze, wdrażając się w proste życie mennonitów. Praca na roli od małego go pociągała, ale jemu jako pretendentowi do tytułu, a później właśnie hrabiemu nie wypadało pracować w polu. Niekiedy wyjeżdżał w odległe włości i ukradkiem przechadzał się między łanami zbóż, wdychając zapach ziarna. Lubił głaskać chropowate kłosa. Zastanawiał się, jakie to uczucie trzymać kosę i żąć prężące się w słońcu łany. Nigdy nie odważył się spróbować, wiedząc, jaką wywoła to konsternację wśród jego rodziny, ale i u chłopów.

U Dycków pracowali wszyscy. Każdy miał przydzielone zadanie, ale jak było trzeba, to jeden drugiego potrafił zastąpić na każdym stanowisku. Ostatnio, ku jego ogromnemu zdumieniu, miał okazję zobaczyć Gretchen noszącą drewno. Jej ojciec kupił na aukcji prawie pięć funtów grubych desek i desek podłogowych. Gdy je przywieziono, cała rodzina, łącznie z Gretchen i panią Dyck, układała je w zadaszonej, zewnętrznej wiacie. Pracowali zgodnie, sprawnie podając sobie kolejne deski. Dowiedział się później od Antoniego, że konieczne było zaangażowanie wszystkich domowników do tej czynności, bo nadciągał deszcz i drewno mogłoby zmoknąć. Uzasadnienie było logiczne, ale jemu właśnie ta ich logika i współdziałanie nie mieściły się w głowie.

Dzisiaj także pracowali wszyscy na zewnątrz. Tym razem jednak nie od strony frontowej, która graniczyła z drogą, lecz od podwórza, które było ich właściwym zapleczem gospodarskim. Pogoda była wietrzna, ale świeciło słońce, więc bez obaw mógł wyjść na dwór, żeby im się poprzyglądać. Futro było zbyt grube jak na tę pogodę, ale nie miał innego odzienia wierzchniego, więc zarzuciwszy je na plecy, udał się na obserwację.

Tył podwórza różnił się znacznie od części reprezentacyjnej. W rogu, za stajnią mieścił się kompostownik, na którym składowano obornik oraz zieleninę zbieraną w czasie odchwaszczania pól i przygotowywania posiłków. To była dla niego pewna nowość, bo selekcionowano tutaj nawet odpadki. Lepsze, odżywcze części trafiały do świń lub kur, zdrewniałe zaś czy wchodzące w proces fermentacji przerzucano na kompostownik. Spodobał mu się ten pomysł i zamierzał go wykorzystać u siebie w majątku. Zresztą,

czepał tu tak wiele inspiracji, że w głowie wręcz huczało od różnych pomysłów i rozwiązań, które zamierzał wprowadzić w Mroczy.

Z radością stwierdził, że na dworze jest tylko Gretchen. Energicznymi ruchami grabi rozgarniała mokrą ziemię, wyrównując bruzdy i usuwając zeschnięte kępy.

– Dzień dobry.

Gretchen odwróciła się w jego stronę, wyprostowała grabie i oparłszy na nich dłonie, uśmiechnęła się do Józefa. Fala radości zalała jego ciało, a w sercu zagościło błogie ciepło.

– Dzień dobry. Jak się pan dzisiaj czuje?

– Doskonale – odparł, podchodząc do niej żywym krokiem, nie patrząc na koleiny, w których zapadały mu się buty. – Panienska dzisiaj sama pracuje?

– Nie, oczywiście, że nie. Ojciec z Jacobem czyszczą koniczynę, a matka robi obiad. Będzie pyszna zupa gulaszowa. Dość szybko się ją przygotowuje, więc uznałam, że w tym czasie pograbie podwórko. Zima odpuszcza, więc trzeba wzruszyć i oczyścić ziemię z zeszłorocznych traw, żeby młodym źdźbłom było łatwiej wzejść.

– Chętnie paniencie pomogę. Przyda mi się trochę ruchu, żeby mięśnie się wzmocniły.

– Grabił hrabia już kiedyś?

Uśmiechnął się pod nosem, słysząc bezpośrednie pytanie. Doprawdy, Gretchen i jej otwartość w jego otoczeniu uznana zostałaby za zbyt śmiałą i prostacką. Jemu natomiast bardzo się to podobało.

– Nie, nigdy dotychczas nie miałem okazji.

– Zima każdego roku przychodzi i każdego odchodzi, zostawiając po sobie mnóstwo pracy do wykonania, więc okazji hrabia miał sporo.

W odpowiedzi roześmiał się głośno.

– Fakt, okazji miałem dużo, ale nigdy nie przyszło mi to do głowy. Ma panienska łatwość trafnego opiniowania i wyciągania wniosków.

– Dziękuję – odparła z błyskiem w oku. – Skoro więc hrabia nigdy nie grabił, to może niech lepiej usiądzie na krześle i pooddycha świeżym powietrzem.

– Nie, z chęcią nauczę się czegoś nowego.

– Cóż – odparła, patrząc wymownie na jego ubłocone buty. – To nie jest najlepszy pomysł. Będę miała później więcej pracy z czyszczeniem pana rzeczy niż pożytku z hrabiowskiego grabienia.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Buty rzeczywiście miał mocno ubrudzone. Tak mu było do niej śpieszno, że szedł, nie patrząc pod nogi. Z lekkim wyrzutem sumienia stwierdził, że na to też nigdy nie zwracał uwagi. Od utrzymywania jego rzeczy w czystości byli kamerdyner, lokaj i pokojówka. Nigdy nie musiał sobie tym zawracać głowy.

– Obiecuję, że sam wyczyszczę swoje buty. Proszę mi pozwolić nauczyć się czegoś przydatnego.

Zmierzyła go sceptycznym spojrzeniem, podumała chwilę i wreszcie po kilku sekundach, które mu się niemiłosiernie dłużyły, skinęła głową.

– Dobrze. Proszę potrzymać. – Wręczyła mu trzymane grabki. – Przyniosę drugie, mają dłuższy trzonek, to będzie panu wygodniej zagrabiać.

Chwycił grabie, muskając delikatnie jej rękę. Nie zwróciła jednak na to uwagi, bo gdy tylko je złapał, odwróciła się i poszła w stronę stajni. Obserwował, z jaką gracją omija błotne rozpadliny. I chociaż ubrana była w robocze buty oraz schludną, ale bezkształtną kapotę, wydawała mu się najzgrabniejszą kobietą ze wszystkich, które znał. Nawet śnieżnobiały czepek, który skrywał ciemne włosy, nie ujmował jej urody. Wprost przeciwnie, podkreślał sładką, ogorzałą od słońca cerę.

Gdy znikła we wnętrzu stodoły, po jego twarzy przemknął cień. Antoni już wyruszył do Ignacego, więc jutro, najdalej pojutrze wróci po niego i będzie musiał pożegnać się z tym gościnnym miejscem. I z Gretchen. Tak mocno przywykł do jej obecności, ciemnych oczu rzucających cyniczne spojrzenia oraz bezpośrednich, szczerych uwag, że nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie bez niej funkcjonował.

Wychodząc ze stajni, pomachała do niego długimi, solidnymi grabiami. Na jej twarzy gościł uśmiech, a ciemne oczy błyszczały. Była niezwykle piękna. Pięknem surowym, twardym. Jej ostre rysy odbiegały od obowiązujących kanonów urody i dlatego chyba tak bardzo go zachwycały. Po głowie krążyła mu pewna myśl. Cicha, nieśmiała, ale obecna. Próbował ją chwycić, zwerbalizować, ale wciąż mu umykała. I nie wiedział, czy dlatego, że jest zbyt śmiała, czy też dlatego, że nie jest gotowy, aby podjąć takie wyzwanie.

– Proszę, te będą dla pana odpowiednie.

– Skoro panienka tak twierdzi, to biorę się do pracy.

Chwycił oburącz trzonek i ścisnąwszy go mocno w dłoniach, zaczął przecinać ziemię cienkimi bruzdami. Kosztowało go to sporo wysiłku, ale wbił je raz za razem, z zapalem ciągnąc mocno wplątujące się w zęby kłęby trawy.

Wtem dobiegł go głośny śmiech Gretchen. Pierwszy raz słyszał ją tak się śmiejącą, zazwyczaj tylko uśmiechała się delikatnie, więc z wrażenia przystanął i wpatrywał się w rozbawioną dziewczynę, której z kącików oczu płynęły łzy.

– Co panienkę tak bawi?

– Pan – odparła, próbując opanować śmiech.

– Ja? Dlaczego?

– Tak orze pan tymi grabiami ziemię, jakby ją bronował, a nie grabił. Dzisiaj nie będziemy nic sadzili – wyjaśniła, wciąż się śmiejąc. – W ogóle w tym miejscu nic nie sadzimy, więc nie ma sensu jej rozorywać.

Wykrzywił usta w grymasie i spojrzał na poczynione bruzdy. Rzeczywiście, jego dzieło znacznie się różniło od miejsc, w których grabiła Gretchen. Jej były lekko muśnięte i rozgarnięte. Wyglądały gładko niczym rozczesane i ułożone włosy. Pod jego nogami natomiast utworzyły się dość mocne koleiny, które teraz zaczęły podsiąkać wodą.

– To prawda, nie wyszło to zbyt dobrze. Przepraszam. Wcale się nie dziwię, że się panienka ze mnie śmieje. Takie rzeczy nawet dzieci pewnie u was potrafią, a ja proszę, kompletnie nie wiem, jak zacząć.



– Proszę się nie frasować, każdy kiedyś zaczynał. Widać, że hrabia absolutnie się na tym nie zna, ale to nic, zaraz pokażę hrabiemu, jak to należy zrobić prawidłowo.

Tym razem to on się uśmiechnął. Doprawdy niespotykane. Chłopka poucająca hrabiego i wytykająca mu błędy. I to w tak naturalny sposób, bez żadnego zwracania uwagi na jego tytuł czy pozycję. Gretchen z każdym wypowiedzianym zdaniem coraz mocniej mu się podobała.

– Po pierwsze, proszę nie trzymać tak mocno drążka. – Wsunęła chłodne palce pod jego dłoń i odczepiła ją od kija. Hrabia odruchowo zacisnął rękę na jej dłoni, ale uśmiechnęła się i pokręciła głową. – Nie mnie hrabia ma trzymać, tylko grabie. Proszę złapać delikatnie, tak jak ja, i rozgrabiać ziemię do siebie bez wbijania zębów w podłoże.

Józef poprawił uchwyt na trzonku, stanął obok niej i zaczął delikatnie przesuwać narzędziem po bruzdach, które wcześniej zrobił.

– Dobrze? – zapytał, patrząc w jej czekoladowe, błyszczące rozbawieniem oczy. – Tak to powinno być?

– Tak. I teraz płynnymi, szybkimi ruchami, kawałek przy kawałku zgrabiamy, a jak się pojawi kępka, to wrywamy.

Pochyliła się ku rosnącej przy nodze trawie i wyrwała ją zwinnym ruchem.

– Otrzepujemy i wrzucamy do kosza. Później to wyniosę na kompostownik.

Machnęła trzymaną trawą, a na jej policzku wylądowała grudka ziemi. Postanowił ją zdjąć. Pod palcami poczuł chłodną, gładką skórę dziewczyny. Przesunął palcem wzdłuż kości policzkowych, usuwając pozostałe drobinki błota. Gretchen drgnęła lekko i spuściła wzrok. Widział, jak rumieniec wpełza na jej policzki, zahaczając o dekollet. Uwielbiał, gdy się rumieniła. Wyglądała wtedy niezwykle słodko i ponętnie. Wiedział, że nie powinien jej dotykać, ale nie mógł się powstrzymać.

– Gretchen! – Ostry głos pani Dyck sprawił, że oboje drgnęli przestraszeni. – Skończ grabienie. Musisz mi pomóc przy obiedzie.

– Już idę, matko – odparła zdławionym głosem. – Odłóż pan grabie do stajni?

– Tak, dokończę tu i odniosę wszystko.

Unikając jego spojrzenia, czym prędzej poszła do domu. Starał się nie patrzeć w jej stronę. W głosie matki było słycać złość i był pewien, że zrugą córkę za rozmowę z nim sam na sam. Nie przystoi bowiem, żeby młoda dziewczyna pozostawała sama w towarzystwie mężczyzny. Było to absolutnie niedopuszczalne. Przynajmniej w ich sferze. Nie wiedział, jak to wygląda u mennonitów, ale ton pani Dyck nie zwiastował nic dobrego. Rozważał nawet przez chwilę, czy nie powinien pójść za Gretchen i wytłumaczyć, że wyszedł na podwórko przekonany, że wszyscy tutaj pracują. Zraz jednak w jego głowie pojawił się kpiący głos, który dosadnie wytykał mu, że owszem, idąc, nie wiedział, ale gdy ją zobaczył samą, powinien odejść, a nie się naprzykrzać z pomocą. „Jaką pomocą, chyba szkoda” – prychnął do siebie, patrząc na wciąż niezagrabione koleiny. „Będzie lepiej dla Gretchen, jeśli nic nie będę mówił. Zostanę tutaj, zgrabię, co trzeba, a później wyniosę zielsko. Nie wygląda to na trudną pracę, więc powinienem dać radę” – dywagował, rozglądając się po obszernym podwórku. „A później wyczyszczę swoje buty. Chyba pierwszy raz w życiu”.

Zabrał się ochoczo do pracy, mając nadzieję, że w ten sposób złagodzi chociaż trochę złość gospodyni. Uznał, że jeśli ma to pomóc, a przecież mennonici bardzo cenili pracę i ludzi ją wykonujących, to cena nie jest wysoka.

W swej nieświadomości i braku doświadczenia nie miał nawet pojęcia, na jak trudne zadanie się porwał. O tym miał jednak przekonać się dopiero wieczorem oraz dnia następnego, gdy nadwyrężone, nienawykłe do pracy mięśnie będą piekły żywym ogniem.

## Rozdział 16



Szła w stronę domu z duszą na ramieniu. Stojąca w progu matka miała surową minę. Rzadko się złościła, ale gdy już do tego doszło, można było spodziewać się wszystkiego. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powinna spędzać czasu z hrabią ani tak bezpośrednio z nim rozmawiać, jednak coś ją do niego ciągnęło i było silniejsze niż zakazy i nakazy. Niż głos rozsądku, który głośno protestował przed zbliżaniem się do innowiercy. Pragnęła przebywać w jego towarzystwie, widzieć jego uśmiech, czarne oczy obserwujące ją z uwagą, wyraz konsternacji przemykający po twarzy, gdy dzieliła się z nim swoimi przemyśleniami, oraz ten cień, który rzucały na jego policzki gęste rzęsy. Wszystko to mocno wryło się w jej pamięć i sprawiało, że na samą myśl o Józefie Koczorowskim serce biło szybciej. Dużo szybciej.

– Do kuchni.

Krótką, ostrą komendą, zupełnie nie w stylu matki sprawiła, że tym razem też serce jej zabiło szybciej. Jednak nie z ekscytacji, a ze strachu.

– Co ty wyczyniasz, Gretchen? – zapytała Annchen, gdy tylko dziewczyna przekroczyła próg kuchni. – Dlaczego spoufalasz się z tym obcym mężczyzną?

– Przyszedł, gdy grabiłam podwórko, i zaoferował pomoc. Przyniosłam więc grabie i pokazałam mu, jak należy to robić.

– Czyś ty oszalała, córko? Hrabia i prace fizyczne? Wiesz przecież, że oni sami nic nie robią. We wszystkim wyręczają się chłopami i sługami.

– Tak, słyszałam o tym, ale skoro chciał się nauczyć, zdobyć nowe umiejętności, to dlaczego nie miałam mu pokazać, jak to się robi?

– Dlatego, Gretchen, że on na pewno nie czynił tego z chęci nauczenia się. Nie wiem, co siedzi w jego głowie, bo nigdy dotychczas nie miałam styczności ze szlachtą, ale oczywiste jest, że to ciebie chciał bliżej poznać, a nie technikę grabienia. Z tego zaś nic dobrego nie wyniknie. To są zupełnie inni ludzie niż my, mają inną wiarę, inne wartości i inne zasady moralne. Nie przystoi, żebyś w ogóle rozmawiała z tym człowiekiem więcej niż wymaga tego kultura.

– Mamo, sama przed chwilą powiedziałaś, że nie znasz szlachty i nie wiesz, co w ich głowach siedzi, więc dlaczego zakładasz, że hrabia ma złe intencje?

Annchen przez chwilę milczała. Wreszcie podeszła do córki, pogładziła ją po policzku, a następnie położyła rękę na jej ramieniu, co jak na jej sposób bycia było bardzo wylewnym gestem.

– Córko, nie znasz świata – zaczęła, patrząc jej w oczy. – A może inaczej, nie znasz świata poza naszą wspólnotą. Tu panują określone, odwieczne zasady i ściśle przestrzegane normy zachowania. Wiesz, że każdy występki wobec naszej wiary grozi wydaleniem z kręgu mennonitów. Nie tolerujemy kradzieży, oszustwa, cudzołóstwa ani występowania przeciw bliźniemu. Nikt z nas nie nosi broni i nie ważyłby się zaatakować drugiego człowieka. Nie krzywdzimy i nie zabijamy. U nich, w świecie zewnętrznym, jest dużo plugastwa.

– Przecież nie każdy jest zły. Jest tam też na pewno wielu dobrych ludzi.

– Tak, masz rację. Nie jesteśmy jednak przyzwyczajeni do ich norm zachowania, a oni do naszych. I to, co nam wydaje się naturalne, oni mogą odbierać dwuznacznie.

– Co masz na myśli? Nie rozumiem?

– Gretchen, w ich kulturze niedopuszczalne jest, żeby młoda, niezamężna kobieta przebywała sama w towarzystwie mężczyzny, który nie jest z nią spokrewniony.

– Przecież nie byliśmy sami. Tata i Jacob są w stajni, a ty byłaś w domu.

– Gdyby to był ktoś od nas, to nie byłoby problemu. Tutaj zaś... córko, dla niego jesteś zwykłą chłopką, a sama wiesz, że chłopów oni nie szanują. Poza tym – zawahała się, patrząc w zdumione oczy córki – zresztą, nieważne. Jutro rano Jacob zawiezie cię do Hammów. Helene już dawno prosiła, żebyś przyjechała pouczyć Hermanna arytmetyki, więc czas zadośćuczynić jej prośbie.

Ton głosu matki był pełen troski, ale stanowczy. Jeśli Annchen zdecydowała, że córka ma wyjechać, to nic jej nie było w stanie odwieść od podjętej decyzji. Gretchen doskonale o tym wiedziała.

– Dobrze. Na jak długo mam jechać?

– Teraz jest jeszcze mało pracy, ale obiecałaś Leonore pomóc w przygotowaniach do ślubu, więc myślę, że tydzień, góra dziesięć dni pobędziesz u siostry. Poduczysz Hermanna i odciążysz ją przy pozostałej gromadce. Wiesz, że bardzo cię kocha i ogromnie ucieszy się na twój widok.

– Naturalnie, ja także raduję się na wyjazd – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Po obiedzie spakuję rzeczy na podróż.

– Teraz to zrób. Po obiedzie zajmiesz się cerowaniem.

Gretchen z chęcią przyjęła polecenie matki. W głowie kłębiło się jej sporo myśli i chciała je w spokoju uporządkować.

Wychodząc z kuchni, rzuciła tęskne spojrzenie w stronę izby hrabiego. Jutro pewnie opuści ich dom i ruszy w podróż do przyjaciela, a później do swojego majątku. Nigdy więcej go nie zobaczy. Myśl ta była jej bardzo przykra. Przywykła do jego obecności.

Po wejściu do swojej izby zamknęła drzwi i na palcach, chociaż przecież i tak nikt by nie zwrócił uwagi na kroki rozlegające się w jej pokoju, podeszła do okna, żeby zza firanki poobserwować Józefa. Widziała, jak szarpie się z grabiami, wciąż wkładając w to więcej siły, niż było konieczne. Pokręciła z uśmiechem głową. Cóż, hrabia zdecydowanie nie miał wprawy w pracach gospodarskich. Podziwiała jednak jego samozaparcie. Nie rzucił narzędzi, nie zrezygnował, tylko z zapalem oczyszczał kawałek podwórka po kawałku.

Gdy napełnił taczkę, była przekonana, że zakończy grabienie. Ale nie. Rozejrzał się za kompostownikami, odwiózł tam zebrane ziele, wypakował i wrócił do pracy. Robiąc tę tak oczywistą dla Gretchen czynność, sporo zyskał w jej oczach. Powzięła pewien zamiar i wbrew temu, co matka jej nakazała, zdecydowała wcielić go w życie.

Sporo jednak czyszczenia mu zostało, więc postanowiła w tym czasie spakować się na wyjazd do siostry. Robiła to z uśmiechem na ustach, co i rusz podchodząc do okna, żeby zobaczyć, ile jeszcze Józefowi zostało do zrobienia.

Skończyła pakowanie, uporządkowała izbę i z niepokojem czekała, aż Koczorowski wróci do budynku. Wiele mu nie zostało, ale z każdą chwilą pracował wolniej. Było widać, że jest zmęczony. Brak umiejętności to jedno, a osłabienie po chorobie drugie. Nie powinien się tak forsować. Miała ochotę otworzyć okno i krzyknąć, żeby odstawił już narzędzia. Bała się jednak, że matka znowu ją obsztorcuje. Poza tym hrabia mógłby poczuć się urażony.

Westchnęła ciężko i odeszła od firanki. Naprawdę powinna iść już pomóc matce. To jednak zaprzepaściłoby szansę na rozmowę z Józefem, a musiała z nim porozmawiać przed odjazdem. Pożegnać się. Nigdy już się nie zobaczą, więc pragnęła dobrze utrwalić w pamięci jego uśmiech, ton głosu i rysy twarzy.

Po niemiłosiernie dłużej się chwili usłyszała chrzęst taczki przesuwanej po wysypanym drobnym kamieniem trakcie prowadzącym do obory. To był znak, na który czekała. Hrabia zakończył wreszcie pracę i zaraz wędził do domu.

Zastanawiała się chwilę, gdzie powinna się ustawić, żeby zamienić z nim kilka słów. Ona wracając z tylnego podwórka wchodziła przez czarną kuchnię lub oborę. Hrabia widział te wejścia, ale sam zawsze korzystał z głównego. Miała nadzieję, że i tym razem tak zrobi.

Wyszła na palcach z pokoju, uważając, żeby nie nadepnąć na żadną skrzypiącą deskę ani o nic nie zahaczyć. Dla kamuflażu trzymała w ręku dużą chustę. Gdyby matka ją spotkała po drodze, zawsze mogłaby się wy-

tłumaczyć chęcią przewietrzenia chusty przed drogą. Trochę to naciągane, bo systematycznie wietrzyły pościel i ubrania rzadziej używane, ale zawsze lepiej mieć chociażby słabą wymówkę niż żadną.

Odetchnęła z ulgą, kiedy minęła wejście do kuchni i niezauważona wyszła na dwór.

Z niecierpliwością trzepała energicznie chustą, poganiając w myślach hrabiego. Gdy wreszcie wyszedł z za winkła, uśmiechnęła się do niego szeroko. Zarumieniona od wysiłku twarz oraz spocone, wymykające się spod czapy kosmyki włosów potwierdzały, że solidnie się napracował.

– Panienska Gretchen. Panienska wciąż coś robi – zagadnął, podchodząc bliżej. – Kiedy czas na odpoczynek?

– Odpoczywam podczas posiłków i w nocy. To w zupełności wystarczy – odparła, starając się nie okazywać ekscytacji, która ją ogarnęła na jego widok. – A pan to dzisiaj zdecydowanie przesadził z pracą. Nie można tak forsować ciała świeżo po chorobie. Jeszcze nawrót nastąpi i co wtedy?

– Wiem, może trochę przesadziłem, ale chciałem skończyć, co zacząłem. Poza tym w razie nawrotu mam nadzieję, że udzielicie mi dalszego schronienia.

– Na pewno, ale nie ma co kusić losu. Z zapaleniem oskrzeli nie ma żartów. Niech pan idzie czym prędzej do izby i zdejmie te prze poczone ubrania. Antoni przed wyjazdem zaniósł uprane i wyprasowane rzeczy, więc proszę je założyć.

– Dobrze, panienko. Dziękuję, że mogłem się czegoś nowego od panienki nauczyć. Żałuję wielce, że już jutro wyjeżdżam, bo pobyt u was otworzył mi oczy na wiele spraw.

– Raz otworzone będą inaczej patrzyły. Poza tym i ja jutro z samego rana wyjeżdżam, więc i tak już niczego bym nie nauczyła.

– Wyjeżdża panienska?

– Tak. Muszę jechać do siostry na jakiś czas.

– Czy – zawahał się – czy to może przeze mnie? Pani Dyck chyba nie była zadowolona, że rozmawialiśmy na podwórku. Najmocniej przepraszam,

jeśli czymś uraziłem. Nie miałem takiego zamiaru.

Stała zmieszana, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Powinna zaprzeczyć, ale nie umiała kłamać i nigdy tego nie robiła. Prawdy też powiedzieć nie chciała, bo to mogłoby sprawić mu przykrość. Postanowiła więc zmienić temat.

– Hrabia nie stoi tu taki spocony, tylko idzie się przebrać.

– Mam wrażenie, że panienka zmienia temat. I jest mi przykro, że naraziłem panienkę na nieprzyjemności.

– To nic takiego – odparła, spuszcżając wzrok. – Już dawno miałam jechać.

Józef podszedł do Gretchen i złapał ją za dłonie. Czuła, jak ogarnia ją fala ciepła, a serce zdecydowanie przyspiesza.

– Jestem ogromnie wdzięczny za okazaną mi pomoc i troskę. Mimo choroby spędziłem u państwa bardzo ciekawie czas. Wiele zobaczyłem, sporo się nauczyłem. Jednak najważniejsze z tego całego pobytu jest to, że poznałem panienkę. Dotychczas nie było mi dane poznać osoby tak szczerzej, otwartej i jasno wyrażającej swoje zdanie.

„I pięknej” – to dodał już w myślach, gdyż nie chciał jej spłoszyć nadmiarem wyznań.

Milczała. Bał się, że znowu strzelił gafę i ją uraził. Nie mógł jednak zmarnować tej być może jedynej szansy na zadanie jej pytania, które od dawna zaprzętało mu myśli.

– Gretchen – wyszeptał żarliwie, rezygnując z oficjalnej formy. – Czy mogę cię jeszcze kiedyś odwiedzić? Trapi mnie myśl, że już nigdy się nie spotkamy.

Podniosła na niego spojrzenie, patrząc z pewną dozą nieśmiałości w czarne, pełne pasji oczy, które wpatrywały się w nią z napięciem. Dojrzała w nich uczucia, których nie śmiała zdefiniować.

– Chciałby pan się jeszcze ze mną spotkać?

– Tak, Gretchen, bardzo bym chciał. Będzie mi bardzo brakowało rozmów z tobą, twojej obecności, uśmiechu. Byłem tu zaledwie kilkanaście



dni, a mam wrażenie, że moje życie przed pobytem u was to jakiś sen, fikcja. Proszę powiedz, że też chcesz, żebym jeszcze przyjechał.

– Chcę.

Podniósł jej dłonie do ust i ucałował.

– W takim razie przyjadę. Jak tylko wiosna na dobre się rozgości, a drzewa się zazielenią, powrócę.

– Dobrze – odparła, a twarz rozjaśnił jej szeroki uśmiech. – Teraz jednak naprawdę niech pan już idzie, bo się znowu rozchoruje.

Ucałował raz jeszcze dłonie dziewczyny i posyłając jej przeciągłe spojrzenie, wszedł do domu.

Serce Gretchen biło jak szalone, a ręce drżały z nadmiaru emocji. Przycisnęła je do ust. Dokładnie w tym miejscu, w którym on odcisnął swoje. To było coś tak niesamowitego, wspaniałego, że miała ochotę tańczyć i śpiewać. Nie uczyniła jednak tego, bo z wrażenia zupełnie opadła z sił. Oparła się o ścianę domu i wciąż przyciskając swoje dłonie do ust, bacznie przyglądała się drzewom, próbując oszacować, ile czasu potrzebuje wiosna, żeby zazielenić liście na suchych jeszcze gałęziach.

## Rozdział 17



Przez całą noc przewracał się z boku na bok. I tym razem przyczyną nie było niewygodne łóżko, a męczące go nieustannie myśli. Gretchen najpierw rozgościła się w jego myślach, a później niepostrzeżenie wdarła się do serca. Nie rozumiał tej fascynacji. Znał mnóstwo pięknych i mądrych kobiet, ale żadna nie była taka jak ona. Ni to chłopka, ni szlachcianka. Prostolinijna, szczerza, z lotnym umysłem i bardzo racjonalnym podejściem do życia. Podobała mu się zarówno w zwykłej prostej sukience przepasanej fartuchem, jak i w niedzielnym odzieniu, które choć skromne i zabudowane, wspaniale podkreślało jej figurę.

Gdy leżenie stało się nie do zniesienia, wstał jeszcze przed świtem i zaczął pakować swoje rzeczy. Słyszał krzątanie na korytarzu i w kuchni. Bacznie nasłuchiwał, łowiąc głos Gretchen. Gdy wraz z bratem wyszli na dwór, podszedł do okna, żeby ją zobaczyć po raz ostatni przed długim rozstaniem. Stał w bezpiecznej odległości. Nie chciał być zauważony, gdyż Jacob mógłby opacznie to zrozumieć.

Odjechali witani promieniami wschodzącego słońca, a on długo jeszcze wpatrywał się w ślady, które zostawili na podwórku. Niebawem i on odjedzie tą samą drogą, lecz w zupełnie innym kierunku. Ponure myśli rozjaśniało mu wspomnienie wczorajszej rozmowy z Gretchen. Jej krótkie „chcę” brzmiało mu w sercu i dodawało nadziei.

Zostawiał tu sanie, więc wymówkę miał doskonałą, żeby wrócić. I to już za kilka tygodni. Wzmocni się u Ignacego, wróci do domu sprawdzić, jak się sprawy mają, i przyjedzie na Żuławy. Do Gretchen.

Z zapalem wrzucal rzeczy do torby. Chcial jak najszybciej stad wyjechać, aby móc czym prędzej powrócić. Stangret wczoraj późnym wieczorem zajechał kareta barona, więc nic nie stało na przeszkodzie, żeby ruszyć w drogę.

Uśmiechnął się pod nosem na myśl o karecie. Dobrze, że jego przyjaciel nie wpadł na pomysł wysłania po niego wozu, żeby mógł zabrać sanie. Trochę się tego obawiał, ale jak widać, zupełnie niepotrzebnie. Ignacy nigdy nie zawracał sobie głowy takimi drobiazgami, więc i teraz pominął taki szczegół jak sanie. Doskonale. To idealnie komponowało się z jego planem.

Zanim do izby wszedł Antoni ze śniadaniem, Józef był ubrany i spakowany.

– Panie? Hrabia się spakował? Toż ja bym to raz dwa zrobił.

– Owszem, spakowałem się. Trudne to nie było, więc nie patrz na mnie z takim zdziwieniem.

– Przepraszam.

– Nie masz za co mnie przeproszać. Postaw tacę, zjemy i ruszamy w drogę.

– Jadłem, panie – odparł, wybałuszając oczy na Józefa. – Koń też już zaprzęgnięty do karety. Zniosę tylko rzeczy hrabiego i możemy ruszać.

– Dobrze, bardzo dobrze. Nieś więc, a ja szybko coś przekąszę.

Antoni nie skomentował, ale podejrzliwie spoglądał co i raz na hrabiego. Jego zachowanie zdecydowanie odbiegało od normy. Zaczął nawet podejrzewać nawrót choroby, ale Koczorowski wręcz tryskał zdrowiem. Do prawdy, wszystko to było dziwne i nie mieściło się w głowie chłopu nawykłego do zupełnie innego stylu bycia szlachty.

Gdy wszystko zostało spakowane, do sieni wyszli Dyczkowie, życząc im dobrej podróży.

– Raz jeszcze dziękuję państwu za schronienie i opiekę. Do końca życia nie odpłacę się za waszą dobroć.

– Choremu trzeba pomóc, więc nie zrobiliśmy nic nadzwyczajnego, a poniesione koszty pan pokrył, więc nie ma o czym mówić – odparł spokojnie

pan Dyck. – Jedźcie ostrożnie, a jak się okazja nadarzy, wróćcie po sanie, będą tu na was czekały.

Twarz hrabiego rozjaśniła się jeszcze bardziej i w odruchu radości chwycił dłoń pani Dyck i ją ucałował. Zmieszana kobieta stanowczo wyciągnęła rękę z jego dłoni i schowała do kieszeni fartucha.

Koczorowski nie przejął się popełnionym faux pas i z rozmachem uściśkał wyciągniętą dłoń pana Dycka. Mężczyzna dość powściągliwie zareagował na wylewność hrabiego. Nie lubił się spoufalać z obcym, a o polskiej szlachcie nie miał dobrego zdania. Życzliwiej pożegnał się natomiast z Antonim, który swą pracowitością zyskał jego szacunek i sympatię.

Gdy opuszczali dom, uważny obserwator zauważyłby wyraz ulgi malujący się na twarzach gospodarzy. Jednak ani Antoni, ani Józef nie oglądali się za siebie. Szli ramię przy ramieniu, z każdym krokiem zwalniając. Nawet hrabiego opuścił rezon, który jeszcze przed chwilą go rozpierał i dodawał energii. Kończył się pewien etap w ich życiu. Krótki, ale ważny i obaj mocno to odczuwali. Przy karecie wymienili się spojrzeniami. W oczach obu mężczyzn malował się smutek. Żal im było opuszczać to miejsce, choć każdy z nich miał inne ku temu powody.

Ponownie wcielili się w swoje role. Antoni usłużnie przytrzymał drzwi karety, a hrabia dumnie wkroczył do środka. Przyjemnie było usiąść na wygodnych, wyściełanych siedzeniach. Zaledwie kilka tygodni dzieliło go od podróży spędzonej w saniach, a zmiana nastąpiła ogromna. I w przyrodzie, i w nim.

Zatopiony w myślach, nawet nie zauważył, kiedy pokonali drogę. Pałac barona był okazały, zbyt okazały. Nigdy mu się nie podobało to zamiłowanie przyjaciela do przepychu i podkreślania swojego statusu majątkowego. W środku również wszystko wręcz epatowało bogactwem, niekiedy zahaczającym o kicz i tandetę. Wolał miejsca urządzone z klasą, ze smakiem i dlatego stanowczo ograniczał zapędy matki i brata, którzy podobnie jak Chrzanowski lubowali się w gromadzeniu wszelakich dóbr mocno rzucających się w oczy.

Antoni zatrzymał powóz. Czekał, aż stangret otworzy mu drzwi, nie wypadało bowiem, żeby robił to sam. Po chwili drzwi skrzypnęły, a jego oczom ukazała się dostojnie odziana sylwetka barona.

– Ależ trafiłem z powrotem, mój drogi przyjacielu! Właśnie wracam od Idyrowskich, ale nie zostawałem na obiad, bo spodziewałem się twojego przyjazdu – oznajmił wesoło, zamykając go w niedźwiedzim uścisku. – Jak dobrze cię widzieć zdrowym.

– Też się cieszę, że cię widzę.

– Chodźmy czym prędzej do domu, zjemy coś porządnego.

– Z chęcią coś przekąszę. Trochę minęło od śniadania.

– Zaraz cię podtuczymy, bo coś mizernie wyglądasz. Ci mennonici to skąpo jeść dają. I ta ich paskudna kawa! Ohyda. Ale nic się nie martw. Zjesz smacznie. Agata, jak tylko Antoni przyjechał po karete, od razu wzięła się do szykowania kurcząt. Moja kucharka ma chyba słabość do ciebie.

– Głupoty opowiadasz. Ona zawsze pysznie gotuje. Co zaś się tyczy mennonitów, to oni też dobre jedzenie mają, tylko mnie lekarz dietę zalecał, więc dopiero w ostatnich dniach mogłem coś lepszego skosztować.

– Już ty mi nie wmówisz, że oni dobrze gotują. Byłem i widziałem, co postawili nam na stole. Ale chodźmy do środka, bo stoimy, a chłód po policzkach igra.

– Prawda, coś dzisiaj chłodno – przytaknął Józef.

Ignacy klepnął go serdecznie w ramię, ale tak niespodziewanie to uczynił, że hrabia lekko się zachwiał, wywołując salwę śmiechu u Chrzanowskiego.

– Tak karmili, że byle klepięcie zwała cię z nóg – skomentował z ironią.

Zaśmiał się i hrabia, zestawiając w myślach wylewne powitanie przez przyjaciela z powściągliwym pożegnaniem, którego doświadczył u Dyczków. I choć tu czuł się wyczekiwany i z radością przyjęty, to chętnie by powrócił pod mennonicki dach.

Ledwo weszli do salonu, a już służba zaczęła znosić przystawki.

– Widzisz? Agata swoim kucharskim zmysłem wyczuła, kiedy zjemy.

– Kucharki to ci zazdrozczę. Moja też dobrze gotuje, ale nie piecze takich ciast jak Agata – odparł hrabia, z przyjemnością nakładając sobie fikuśne paszteciki z dziczyzny posypane kruszonymi orzechami.

– Ma się oko do ludzi – odparł z zadowoleniem Ignacy. – I do koni! Wiesz, oglądałem pięknego ogiera u Idyrowskich. Same mięśnie! Sylwetka zacna, a i rodowód bardzo dobry.

– Kupiłeś?

– Jeszcze nie – odparł z błyskiem w oku. – Sporo za niego chcą, ale spuszcza z ceny, jak ich trochę przetrzymam. Mają sporo długów i będą się wyprzedawali. Pilno im, a mnie się nie spieszy, więc sporo na tym zyskam.

– Ignacy. – Józef pokręcił głową. – Warto tak na czyimś nieszczęściu się dorabiać?

– Biznes jest biznes, a ja im długów nie kazałem zaciągać. Tak to jest, jak się chce po pańsku żyć, ale swoich interesów się nie pilnuje. Rozbisurmanili chłopów, nowości wprowadzać zaczęli, ulgi dali, to teraz mają. Długów narosło, majątek pójdzie w perzynę, a myślisz, że ci ich chłopci jeden z drugim im współczuć będą, docenią? Nie! Będą się cieszyć, że głupi szlachcic stracił majątek. Skoro więc im się nowatorstwa i dobrodziejstwa zachciało, to niech teraz ponoszą konsekwencje.

– Nie znam ich za dobrze, ale wydawali się życzliwi.

– Życzliwi – prychnął z pogardą Ignacy. – Naiwni. Te wszystkie nowatorstwa na nas się tylko odbijają. My stracimy, a chłopci nie zyskają, bo gospodarzyć w ogóle nie potrafią. Na niczym się nie znają i nawet kosa to dla nich zbyt duża nowość. Uwierzysz, że mam jeszcze chłopów, co sierpem wolać żąć? I to w dziewiętnastym wieku! Tacy zacofani!

– Mennonici też chłopci, a świetnie sobie radzą – zauważył Józef. – Ich gospodarstwa doskonale funkcjonują.

– Widzisz, bo to nie polscy chłopci, a holenderscy. Zupełnie inaczej podchodzą do ziemi, a i przywilejów dostali tyle w podatkach i ziemi, że my możemy o tym jedynie pomarzyć. Do tego skąpi i chytry, każdy grosz ciułają, to i coś tam mają.

– Są oszczędni i gospodarni, ale nie chytrzy. Poza tym ziemia, którą dostali, przedtem wodą była zalana, oni sami ją odwodnili. Sam mi zresztą o tym kiedyś mówiłeś.

– Właśnie, odwodnili, bo umieli. Z tej swojej Holandii to przywieźli, a ci nasi – machnął z lekceważeniem ręką – nic nie potrafią, tłuki jedne.

– To akurat nasza, szlachty, wina, że ich edukację zaniedbaliśmy.

– Szaleju się najadłeś? Nasza? To jeszcze nauki mieliśmy im sponsorować? Zresztą, teraz są szkoły i co? Chodzą? Nie chodzą. Może zimą jedynie, żeby przy szkolnym piecu się ogrzać.

Józef uznał, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Jak bowiem miał wytłumaczyć przyjacielowi, że tylko zimą chodzą, bo w pozostałe pory roku dzieci pracują w polu. Jak nie na swoich skrawkach pola, to się najmują, gdzie się da. Toć baron widział to doskonale, ale i tak wiedzieć o tym nie chciał, bo tak wygodniej było. Wszystkim im wygodnie było nie wiedzieć, nie widzieć i nie słyszeć, co się wokół nich dzieje. Sam też nie był bez winy, więc nie mógł mieć pretensji do przyjaciela.

Przysunął talerz z jedzeniem, ale taka gorycz go naszła, że stracił apetyt.

– Nie smakuje ci? – zapytał z troską Ignacy. – Zaraz przyniosą coś lepszego.

– Pyszne, ale nie mam apetytu.

– O, czyliś jeszcze nie wyzdrowiał. Nie martw się, wykurujemy cię szybko.

– Za kilka dni ruszam do Mroczy. Czas, żebym powrócił, bo będą się martwili.

– Napiszemy list. – Ignacy wzruszył ramionami. – Wiosną u mnie jest pięknie i miło będzie cię gościć w inny czas niż zima.

– Dziękuję, ale czas siewów się zbliża, muszę doglądać majątku.

– Od tego masz zarządcę i brata, ale widzę, że pobyt u tych odmieńców mocno na ciebie wpłynął. Może powrót do domu rzeczywiście pozwoli ci szybciej dojść do siebie.

Hrabia skinął, nie drążąc dalej tematu. Powrót do domu miał być tylko przystankiem w drodze do celu, który zamierzał wdrożyć w swoje życie. I z każdą chwilą coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że tak właśnie powinien postąpić.



## Rozdział 18



Jeszcze nigdy tak wolno nie płynął jej czas. Nie siedziała ani przez chwilę, co i rusz wyszukując sobie zajęcia, a tych przy sporej gromadce Helene nie brakowało. Najwięcej czasu spędzała z Hermannem, którego uczyła arytmetyki. Był to pilny i pracowity chłopiec, ale do liczb niestety nie miał głowy. Zdecydowanie bardziej wolał przyglądać się pracom w wytwórni octu czy też pomagać w domu. Arthur Hamm, mąż siostry Gretchen, strasznie nad tym ubolewał i wciąż wierzył, że syn wreszcie pojmie zawiłości arytmetyczne. Mieli spory majątek i wiele dzieci, ale tylko jednego syna, Hermanna właśnie, który miał później przejąć prowadzenie wytwórni i browaru.

Pomna próśb siostry i szwagra oraz roli, jaką miał w przyszłości pełnić Hermann, Gretchen wymyślała wciąż nowe metody nauczania siostrzeńca. Chłopak bardzo martwił się tym, że zawiódł oczekiwania rodziców, ale mimo starań nie był w stanie przyswoić sobie omawianego materiału.

– Ciociu, czy ja jestem ociężały? – zapytał, patrząc smutno w oczy Gretchen. – Czy to dlatego nie mogę nic pojąć?

– Skąd ci to przyszło do głowy? Absolutnie nie jesteś ociężały. Wręcz przeciwnie, jesteś nad wyraz bystrym chłopcem.

– Gdyby tak było, to bym to wreszcie pojął, a nie mogę, choć bardzo się staram.

Po pulchnych policzkach popłynęły dwie grube łzy. Gretchen objęła go ramieniem i czule pogłaskała po głowie.

– Nie przejmuj się tak. Bóg każdemu z nas dał inny talent. Wspaniale radzisz sobie z pracami na podwórku. Widać, że zajęcia gospodarskie są ci

bliższe niż cyfry i wytwórstwo. I nie ma w tym nic złego. Nasza rodzina od zawsze zajmowała się rolą.

– Ale... tata tak liczy na mnie i ciągle pyta, czy już się wszystkiego nauczyłem i ja bardzo bym chciał być inny, taki, wiesz, ciociu, bardziej liczbowy niż robotny.

– Hermannie, jesteś taki, jak miałeś być. Przykładaj się, ucz, ale nie zamartwiaj się niepotrzebnie. Z czasem wyklaruje się dokładnie, do czego masz zdolności.

– Dobrze, ciociu, tak zrobię.

Drzwi izby otworzyły się z rozmachem i do środka weszła mocno zaafektowana Helene.

– Skończyliście? – zapytała, patrząc na syna. – Udało ci się opanować materiał?

– Jeszcze nie, mam – przyznał ze wstydem, spuszczać wzrok.

– Jest dużo lepiej – wtrąciła Gretchen. – Naturalnie musimy jeszcze poćwiczyć, ale Hermann z każdym dniem przyswaja coraz więcej materiału.

– Dobrze, bardzo dobrze – odparła, kładąc dłoń na głowie chłopca. – Idź, synu, trochę na dwór, a ja porozmawiam z ciocią.

Chłopiec z ulgą zebrał swoje rzeczy i czym prędzej opuścił izbę.

– Stało się coś? Wyglądasz na zdenerwowaną.

– Bo jestem – odparła Helene, zajmując miejsce, na którym dotychczas siedział jej syn. – Słyszałam kiedyś o podobnej sytuacji, ale to było wiele lat temu. Jeszcze nas nie było na świecie.

– Mów, proszę, bo zaczynam się denerwować. Co się stało?

– Pamiętasz Corneliusa Pennera z Tiegenhagen<sup>[12]</sup> i jego żonę Elisę?

– Oczywiście, widziałam ich kilka razy w Freienhuben. Raz nawet byli u nas w domu, bo pan Cornelius zboże kupował od taty. Coś mu się przytrafiło? Jakieś nieszczęście?

– Tak – odparła, przyciszając głos i upewniając się, że drzwi od izby są zamknięte. – Odszedł od żony i zamieszkał z Justyną Paarmann. Ona

mieszka niedaleko nich!

– Niemożliwe. Nie, to nie może być! Tak się nie godzi. Nikt z naszych tak nie robi.

– Niekiedy robią, bardzo rzadko, ale zdarza się, siostró.

– Nie rozumiem. Przecież ma żonę. Elise, to bardzo pracowita i serdeczna kobieta. Dlaczego od niej odszedł?

– Jacob mi mówił, że on od dawna pomagał tej wdowie. Tak jak jest przyjęte, po sąsiedzku jej radził, czasami coś w polu zrobił, bo ona sama z synem gospodarzy, a on młody chłopak jeszcze, więc nie wszystko potrafi. I tak bywał u niej coraz częściej i częściej, aż spakował swoje rzeczy, zabrał część majątku i zamieszkał u Justiny.

– Helene! To straszne. Jak ta biedna Elise musi się czuć?! Nie mogę tego zrozumieć. Tyle lat byli razem i co teraz? Tak po prostu odszedł?

– Z tego, co mówią, to się zakochał. Ja zaś myślę, że tam o co innego chodzi.

– O co?

– Wiesz, że Bóg im nie pobłogosławił dziećmi. Może on liczy na to, że Justina urodzi mu dzieci?

– Co ty opowiadasz! – Gretchen gwałtownie pokręciła głową. – To już prędzej uwierzę, że się zakochał i dlatego odszedł od żony, ale... może przemówią mu do rozsądku?

– Rozmawiali z nim. I rodzina, i starszyzna. Nic to nie dało. Zaparł się, że zostaje u Justiny i do żony nie wróci.

– Biedna Elise. Musi się strasznie czuć.

– To, co ci powiem, jest jeszcze dziwniejsze. Podobno Elise mu wybaczyła. Nie chce jednak mieszkać z nimi przez miedzę. Jak tylko uporządkuje sprawy z gospodarstwem i sprzeda należną jej część ziemi, to chce się przenieść do swojej siostry Friederike z Freienhuben.

– Do Fredy? To chyba jej starsza siostra, tak?

– Zgadza się, najstarsza.

– I co dalej z nią?

– Nie wiem. Pewnie za jakiś czas ponownie wyjdzie za mąż. Jest przecież młoda i bardzo pracowita.

– Tylko czy będzie chciała? Ja po takim czymś chyba bałabym się wyjść ponownie za mąż – wyraziła swoje obawy Gretchen.

– Wiesz, lepiej wyjść za mąż niż mieszkać przez całe życie u siostry.

– Racja, ale nie będzie jej łatwo.

– Jemu i Justinie też nie – powiedziała z nutą mściwości w głosie Helene. – Rozmowy nie przyniosły efektu, więc postanowiono go wydalic z wspólnoty. Od teraz nie istnieje dla nas ani Cornelius Penner, ani Justina Paarmann. Nikt z naszych nigdy im w niczym nie pomoże, nie będzie z nimi rozmawiał ani robił interesów. Absolutnie nikt, nawet członkowie ich rodzin.

– To straszne. Będą żyli we wsi, ale jakby poza wsią.

– Tak wybrali – odparła surowo Helene. – Muszą radzić sobie sami.

– Helene, to okrutne. Cała ta sytuacja jest straszna, ale to, że zostali wydaleni ze wspólnoty, również.

– Takie są zasady. Gdybyśmy się ich nie trzymali, coraz częściej dochodziłoby do takich bezceństw, aż całkiem ogarnęłaby nas demoralizacja.

– Naturalnie, że trzeba trzymać się zasad, ale skoro żona mu wybaczyła, że ją zostawił, to może tam było coś nie tak w tym małżeństwie? Nie wszystkie pary są dobrze dobrane, wiesz przecież o tym.

– Jakkolwiek było, nic nie usprawiedliwia takiego czynu. – Stanowczo pokręciła głową. – Gretchen, w miastach coraz częściej dzieją się straszne rzeczy. Dochodzi do różnych bezceństw. Nawet nie będę ci opowiadała, bo mi przez gardło to nie przejdzie. Wiedz jednak, że mieszkając na wsi, jesteś osobą bardzo szczęśliwą, chronioną przed tymi wszystkimi okropnymi zmianami zachodzącymi we współczesnym świecie.

– Jest tak źle? Czy znowu będziemy musieli emigrować?

– Jest źle, ale nie ma chyba na świecie miejsca, w którym moglibyśmy się schronić przed zmianami, które zachodzą w ludziach, zwyczajach i kultu-

rze.

– Może w Kanadzie?

– Obawiam się, że i w Kanadzie to nastąpiło. Taki teraz jest świat i nie unikniemy tych zmian. Musimy jednak zrobić wszystko, żeby nie wpływały na nasze życie.

– Helene, skoro tak, to dlaczego nie wrócisz na wieś? Macie wytwórnię octu, browar. Tego nasi przodkowie też nie robili. Żyli z ziemi.

– Gretchen, ludzi jest coraz więcej, a ziemi nie przybywa. Trzeba szukać innych rozwiązań i korzystać z tego, co możliwe. Nie każdy może mieszać na wsi, bo byśmy się nie zmieścili. Poza tym – urwała, przetykając głośno ślinę – w rodzinie Hammów już prawie nie ma rolników. Wszyscy prowadzą jakieś interesy. Jacob zna się na wytwórstwie. Nigdy by się nie zgodził, żeby to zostawić. On... on, wiesz, też się zmienia. Przebywa z innymi ludźmi, robi z nimi interesy i powoli też nabiera ich nawyków.

Gretchen popatrzyła uważnie na siostrę. Na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Kąciki mocno zaciśniętych ust opadały w dół, a ręce nerwowo miętoły rąbek fartucha.

– Hela? Boisz się, że i Arthur odejdzie? Czy podejrzewasz go o coś?

Helene splotła ręce, po czym je nerwowo wykręciła.

– Nie podejrzewam go o nic. Nie mam podstaw do obaw, a mimo to boję się, że kiedyś przejmie nawyki mieszczan, którzy żyją dość frywolnie. Dla nich liczy się dobra zabawa. Często prowadzą hulaszczcze życie. Nawet gdy ich na to nie stać. Więcej myślą o przyjemnościach niż o pracy. Nie chcę, żeby to rzutowało w jakikolwiek sposób na naszą rodzinę, a jednocześnie mam świadomość, że gdzieś szczelinami ta zgnilizna się do nas wdziera.

– Widocznie musimy nauczyć się żyć w nowych warunkach – stwierdziła po chwili namysłu Gretchen. – Sama przed chwilą mówiłaś, że nie ma ucieczki przed zmianami, one następują wszędzie.

– Co masz na myśli? Odstąpienie od naszej wiary? Zasad? – wyrzucała z siebie Helene.

– Absolutnie! Może po prostu w tych zmianach są też przebłyśki dobra i na nich trzeba się skupić? Wszędzie są dobrzy i źli ludzie. Ważne, żebyśmy nie zagubili istoty naszej wiary, a reszta się ułoży.

– Myślisz? Nie zainfekuje nas zło?

– Nie. Zobacz, tyle lat mieszkasz w mieście, a nadal żyjesz zgodnie z naukami Menno Simonsa. To świadczy o tym, że się da, tylko trzeba być wiernym jego naukom.

– Mądrze mówisz. Czasami jest trudno i obawa ściska za serce, a jednak przez tyle dziesiątków lat nasza wspólnota przetrwała wszelkie burze i zmiany, to i może z tą nowoczesnością sobie poradzimy.

– Naturalnie. Będziemy się wspierać i poradzimy sobie.

– Kiedy ty tak dorostaś, Gretchen? Niedawno byłaś małą dziewczynką, a teraz rozmawiamy o takich poważnych sprawach.

– Nie miałam wyboru – odparła z uśmiechem. – Wszystkie z domu poszłyście, zostałam tylko ja, więc czas było zmądrzeć.

Helene wyciągnęła rękę i ucisnęła dłoń siostry.

– Dobrze, moja duża, mądra siostrze, powiedz lepiej, jak poradziliście sobie z obecnością hrabiego – zapytała z ciekawością. – Nie miałyśmy dotąd okazji o nim porozmawiać, a na pewno wiele się u was działo w czasie jego pobytu.

– Właściwie to w ogóle nie był kłopotliwy. Na początku sporo było przy nim zajęć, bo mocno chorował, ale gdy wyzdrowiał pan Antoni, to przejął opiekę nad nim. A i nam często pomagał w pracy, kiedy nie musiał zajmować się Koczorowskim.

– Jaki on jest? Taki wyniosły, jak o nich mówią?

– Nie. Rzadko z nim rozmawiałam, ale był bardzo grzeczny i normalnie się do mnie odnosił.

– Nie mówią zbyt dobrze o szlachcie. Wykorzystują chłopów, a sami tylko myślą o balach i rozrywkach. Mało kto z ich grona zajmuje się swoim majątkiem.

– Nie wiem, jak jest u hrabiego w majątku – odparła, lekko się rumiejąc. – U nas był bardzo kulturalny i do Antoniego odnosił się też raczej życzliwie. Próbował nawet nauczyć się prac gospodarskich. Widać było, że go to ciekawi.

– Naprawdę? – zapytała z niedowierzaniem Helene. – Zupełnie inaczej słyszałam o szlachcie.

– Józef Koczorowski na pewno taki nie jest – zaprzeczyła żarliwie. – Stangret słabo mówił w naszym języku, ale z tego, co Jacob tłumaczył, to dobrze o hrabim się wyrażał.

– Gretchen? Czy mi się wydaje, czy hrabia zagościł w twoich myślach?

Popatrzyła siostrze w oczy. Zawsze miały ze sobą dobry kontakt i kochała ją najbardziej z całego rodzeństwa. Obawiała się jednak, że tym razem Helene nie zrozumie jej uczuć i tego, co zagościło w jej głowie i sercu. Podobnie jak Leonore, z którą nie miała odwagi porozmawiać o Józefie.

Właściwie, to nawet przed sobą wstydziała się przyznać, jakie nadzieje żywiła.

– Polubiłaś go, Gretchen?

– Tak – przytaknęła po chwili wahania. – To dobry człowiek.

– Gretchen, może dobry, nie przeczę, ale wiesz, że on jest innego wyznania – odparła z troską Helene. – Lepiej, żebyś o nim zapomniała. I to jak najszybciej.

Milczała. Też wolałaby o nim zapomnieć, ale zbyt mocno wrył się w jej serce. Poza tym wciąż pamiętała o jego obietnicy i z zapalem wypatrywała oznak wiosny.

– Wiem, siostrze, doskonale o tym wiem.

– Dobrze, wracajmy więc do naszych obowiązków. Jak mawia mama, praca jest najlepszym lekarstwem na wszystko.

– Zgadza się. – Gretchen przytaknęła i żwawo wstała od stołu. – Pójdę zobaczyć, co robią dzieci, a później może upieczemy jabłecznik? Taki jak zawsze robiłyśmy w domu.

Helene przytaknęła, a Gretchen czym prędzej wyszła z pokoju. Siostra znacznie się zmieniła. Zawsze była otwarta na nowości, a pomysł męża o otworzeniu wytwórni octu, a później browaru potraktowała z entuzjazmem. Z tego, co zauważyła, to entuzjazm przygasł, a na jego miejscu pojawiły się wątpliwości i obawy.

Czy ona też za jakiś czas inaczej będzie myślała o Józefie? Zapomni i przestanie go wypatrywać? „Nie” – odpowiedziała sobie na zadane w głowie pytanie. „Na pewno nie. To się nigdy nie zdarzy. Zresztą przecież obiecał, że przyjedzie”. A ona mu wierzyła.



## Rozdział 19



Podróż do domu, mimo nostalgii i tęsknoty za Gretchen, upłynęła dość przyjemnie. Kareta barona była nowoczesna i wygodna. Antoni z Maciejem siedzieli na koźle, z rzadka się odzywając. Miał więc doskonałe warunki do rozmyślenia. I wspomnienia pięknej mennonitki.

Gdy wjechali na teren wsi Izabela, kazał Antoniemu skrócić do dworu zamieszkiwanego przez babcię, od której imienia nazwano tę miejscowość. Była jedyną osobą w rodzinie, z którą rozumiał się doskonale. W ogóle miał wrażenie, że poglądami i charakterem jest bliższy swoim dziadkom niż rodzicom.

Dziadka wspominał z ogromnym rozrzewnieniem i lekkim ukłuciem w sercu. To właśnie on, Adolf Koczorowski, w tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku założył w Witosławiu pierwszą w okolicy szkołę. Miał niezwykle nowatorskie podejście nie tylko do spraw gospodarskich, ale i edukacyjnych. Uważał, że chłopów trzeba edukować, a będzie to możliwe tylko wtedy, gdy każdy szlachcic założy na terenie swojego majątku szkołę dostępną dla wszystkich. Ich znajomi pukali się w czoło i krytykowali działania Adolfa, twierdząc, że to utopia. Chłopi mają pracować, a nie się edukować. Dziadek jednak nie zważał na ich krytykę i słowa wcielił w życie.

Skłamałby, gdyby powiedział, że miało to diametralny wpływ na funkcjonowanie ludzi. Nie. Z tego, co wiedział od babci, to początkowo mało kto korzystał z możliwości edukacji. Podchodzono do tego projektu bardzo nieufnie. Większość chłopów uważała podobnie jak szlachta, że chłopci mają pracować, a nie tracić czas na naukę. Dla większości bowiem była to właśnie strata czasu. Woleli widzieć swoje dzieci w polu, bo choć praco-

wały wolniej i mniej wydajnie niż dorośli, to jednak odciążały ich w obowiązkach, a niekiedy i coś zarobiły.

Długo trwało, zanim doceniono w okolicy rolę, jaką odgrywała szkoła. Teraz więcej chłopskich dzieci chodziło na zajęcia, ale wciąż czynili to w okresie niekolidującym z pracami w polu. Wszak praca zapewniała przetrwanie, była więc dla nich najważniejsza.

Babcia wspierała dziadka w działaniach. Poza tym darzyła ogromnym szacunkiem ludzi mieszkających w czworakach i starała się im pomagać na wszelkie sposoby. Jej możliwości zostały jednak ograniczone, gdy zmarł Adolf, a jego miejsce zajął jej syn Kazimierz. Miał on zupełnie inne podejście do życia niż rodzice i choć dobrze traktował chłopów, to zachęcał ich raczej do pracy, a nie do nauki. Z czasem, gdy poświęcił się polityce, opiekę nad majątkiem scedował na zarządcę, który szybko obrócił wniwecz działania Adolfa i Izabeli. Rosnące koszty utrzymania dworów, powiększająca się rodzina oraz chęć prowadzenia wystawnego życia sprawiły, że nałożone na chłopów wymagania i rosnący wyzysk zabiły w nich chęć nauki. Dzieci wiejskie nie miały ani sił, ani czasu, żeby chodzić do szkoły, bo wciąż przybywało im obowiązków. Józef próbował powrócić do praktyk stosowanych przez dziadków, ale zadanie miał znacznie utrudnione, bowiem ani matka, ani brat nie zgadzali się z jego poglądami i skutecznie wpływali na każdego zarządcę, którego powołał. A było ich w jego krótkim okresie rządzenia już trzech i z żadnym nie udało mu się nawiązać dobrej współpracy.

Nieprzyjemne rozmyślania przerwał chrzęst kamieni, które rozbryzgiwały się na boki pod ciężarem kół karety. Po chwili w alei lipowej wyłonił się mały, ale niezwykle urokliwy dworek, w którym Józef spędził większość dzieciństwa. Myśląc o domu, zawsze wędrował wspomnieniem do Izabeli, a nie do Witosławia.

Antoni podjechał pod okazałe schody. Hrabia wyszedł, zaciągając się tak dobrze mu znanym zapachem dworu, zieleni oraz drewna. Spojrzał na zamknięte drzwi ozdobione misternym wzorem i czym prędzej ruszył ku nim. Nie mógł jednak powstrzymać się przed rzuceniem spojrzenia na po-

ręce spowite bluszczem, które nawet o tej porze roku wyglądały baśniowo. I tak się czuł, wchodząc po schodach – jakby wkraczał do magicznego świata pełnego dobrych wróżek.

– Józiu! Jak dawno cię u mnie nie było – zawołała z radością babcia spiesząca go przywitać. – Strasznie za tobą tęskniłam.

Chwycił drobną kobietę w objęcia i mocno uściskał. Pachniała lawendą, którą wkładała we wszystkie szafy i szuflady. Wytwarzała z niej nawet specjalny macerat zastępujący jej wszelkie kosmetyki.

– Ja za tobą też, babuniu – wyszeptał w ciasno związany kok. – I tylko za tobą.

– Nie mów tak – skarciła go, odsuwając się i bacznie lustrując go wzrokiem. – Matka też cię wyglądała i była zatroskana, bo długo nie wracałeś.

– Za to Karol na pewno był zadowolony. Mógł wreszcie rządzić po swojemu, nie martwiąc się, że pokrzyżuję mu plany.

– Nie zaprzeczę, twój brat nigdy nie ukrywał, że ci zazdrości i chętnie widziałby się na twoim miejscu. Należy jednak docenić jego zaangażowanie. Sprawy majątku bardzo mu leżą na sercu i choć robi to topornie, to jednak są efekty jego działań.

– Za jaką cenę? Wyzysku chłopów?

– Wiem, Józiu, wiem i też nad tym ubolewam. Na szczęście ty myślisz inaczej i starasz się poprawić byt tych nieszczęśników.

– Słabo mi to wychodzi. Zupełnie nie nadaję się do tej roli.

– Och! Nie opowiadaj głupot! – Babcia pogroziła mu palcem. – Nie stójmy jednak tu w holu. Andzia upiekła pyszne ciasteczka maślane. Wypijemy herbatę i pochrupiemy, zanim obiad będzie gotowy.

– Z przyjemnością. Andzinych ciasteczek to ja nigdy nie odmówię.

Izabela uśmiechnęła się promiennie i chwyciwszy wnuka pod ramię, zaprowadziła go do swojego ulubionego, kameralnego saloniku. Tu spędzała większość dnia, z rzadka zapraszając do niego najbliższych. I to tylko tych ulubionych. Resztę, w tym synową i drugiego wnuka, jak i dalszą rodzinę oraz znajomych gościła w okazałym, wystawnie urządzonym pokoju.

Rozsiedli się w wygodnych, obszernych fotelach. Ich podłokietniki były lekko wytarte, ale zupełnie nie przeszkadzało to w użytkowaniu.

– Co mi się babcia tak przygląda? – zapytał Józef, sięgając po ciastko.

– Wyglądasz inaczej. Schudłeś, jesteś blady, a mimo to oczy jaśniejają ci radością.

– Jak zawsze spostrzegawcza – stwierdził z uśmiechem. – Trochę chorowałem, ale w sumie obróciło się to dla mnie na dobre.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz niepokoju. Jeszcze baczniej przyjrzała się wnukowi, ale widocznie oględziny nie przyniosły odpowiedzi na nurtujące ją pytania, więc postanowiła zapytać wprost.

– Na co chorowałeś i dlaczego nie dostałam żadnej wiadomości?

– Nie było sensu pisać. Wiesz, jak długo listy idą. Tylko niepotrzebnie byście się martwili.

– Opowiedz mi wszystko – zażądała, mrużąc powieki. – Tylko niczego nie zatajaj!

– Jakbym śmiał – odparł ze śmiechem Józef. – Chętnie wszystko opowiem, ale wie babcia, w sekrecie. Nie zamierzam nikomu więcej o tym mówić.

– Dobrze. Mów, zamieniam się w słuch.

I opowiedział. O wizycie u Ignacego, wypadku, pomocy udzielonej przez mennonitów, odmienności ich zwyczajów oraz powrocie do przyjaciela. Izabela Koczorowska słuchała uważnie, bacznie obserwując wnuka. Kilka razy mimowolnie przyspieszył podczas opowiadania, innym razem nieznacznie się zawahał. Nic nie uszło jej uwadze.

– Chyba czegoś mi nie powiedziałeś. – Wnikliwe spojrzenie przeszło Józefa na wskroś. – Prawda?

– Cóż, niezwykle zafascynowała mnie prostota ich życia. Spodobała mi się dużo bardziej niż nasze pozorowane, prowadzone na pokaz ustawki i wystawki. Ciężko pracują, ale widzę sens tych czynności. Gdybym próbował tak funkcjonować u nas, to mnie uznaliby za dziwaka, a całą rodzinę obsmarowali w bliższej i dalszej okolicy.

– Zapewne – przytaknęła z uśmiechem Izabela. – Nasi nie lubią odmienności. Mnie również uważają za dziwaczkę. Zresztą, zawsze uważali. O twoim dziadku nie ośmielili się tak mówić. Głośno oczywiście, bo w kularach nie szczędzili mu krytycznych słów. Jednak wspieraliśmy się i podążaliśmy ścieżką, którą uważaliśmy za słuszną.

– Chyba nie mam takiej odwagi jak wy – zauważył cierpko Józef.

– Nie? Spróbuj, to się przekonasz, ile człowiek jest gotów znieść dla swoich celów czy też marzeń.

– Może się odważę – odparł, myślami krążąc wokół Gretchen. – A może nawet pójdę o krok dalej.

– To znaczy?

– Na razie nic nie znaczy. Taka luźna myśl, która gdzieś kołacze w głowie, ale jeszcze musi dojrzeć.

– Józefie, a ta dziewczyna, Gretchen, tak?

– Tak, tak ma na imię.

– Powiesz mi coś więcej o niej?

– Jest nietuzinkowa. Nie znam takiej drugiej osoby – odparł z błyskiem w oku. – Mówi, co myśli, nie bacząc na schematy oraz konwenanse i bardzo racjonalnie podchodzi do życia. Przy tym jest, hm, taka ciesząca się życiem. Nawet gdy pracuje, a pracuje bardzo dużo, robi to z gracją i niewymuszoną radością, jakby wykonywane zajęcie naprawdę sprawiało jej satysfakcję.

– Widzę, że cię zafascynowała.

– Tak, jest niezwykła.

– Ciekawe.

– Co jest ciekawe?

– Mężczyźni, mówiąc o kobietach, najczęściej zaczynają od ich wyglądu i na nim, niestety, zazwyczaj kończą. Ty zaś ani słowem nie napomknąłeś o jej aparycji, więc wnioskuję z tego, że to jej osobowość, charakter zwróciły twoją uwagę.

– Owszem, ale nie myśl, że jest szpetna – zaprzeczył gorliwie. – Wręcz przeciwnie, jest piękna. Innym pięknem niż powszechnie uznawane, ale jest. Ma czekoladowe oczy, ciemne włosy i urokliwy uśmiech. Nie jest filigranową kobietką, gdyż pracuje fizycznie, jednak jej figura przykuwa wzrok.

– Zamierzasz podjąć jakieś działania? Będziesz się o nią starał?

– To nie takie proste, babciu. Ona jest innego wyznania. Mówiłem ci, to mennonici. Załóżmy jednak, że będzie mnie chciała i jakimś cudem pozwoli jej wyjść za mnie. Nie wiem, jak u nich to funkcjonuje, czy to wystarczy? A może potrzebuje jakiejś zgody starszyzny?

– Trzeba sprawdzić. Adam Sacki dobrze zna mennonitów i jest do nich życzliwie nastawiony. Na pewno z chęcią opowie ci, jak to u nich wygląda.

– Dziękuję, babciu. Tylko jeszcze jest jeden problem.

– Jaki?

– Jak ona się tu odnajdzie? Jest przyzwyczajona do innego życia, do pracy. Tu musiałaby się dostosować do konwenansów, które są jej zupełnie obce. Wszelka inność jest mocno krytykowana, a ona jest inna. Boję się, że nasi znajomi, nasza rodzina sprawią jej przykrość. Nie chciałbym jej unieszczęśliwiać, a naprawdę wątpię, żeby się odnalazła w naszym środowisku.

– A ty?

– Ja? – Zmarszczył brwi, nie do końca rozumiejąc, co ma na myśli. – Oczywiście wspierałbym ją i pomagał, a jakby trzeba było, to odciąlibyśmy się od towarzystwa, tylko to z kolei rzutowałoby na nasze ewentualne dzieci.

– Nie to miałam na myśli.

– Cóż więc?

– Czy ty byś się odnalazł wśród mennonitów? Umiałbyś wdrożyć się w ich rytm życia?

Sposepniał. Podziwiał ich pracowitość i odpowiadała mu prostota ich codzienności, przywiązanie do ziemi, szanowanie darów natury oraz pro-

stolinijność będąca ich naturalną cechą. Jednak czy potrafiliby żyć tak jak oni? Pracować od świtu do zmierzchu?

– Pomyśl nad tym, Józefie. To może być idealne wyjście dla ciebie.

– A co z matką? Z rodziną? I tytułem?

– Na to pytanie musisz już sam sobie odpowiedzieć.

Przemknęła mu kiedyś przez głowę taka myśl, ale szybko ją odrzucił jako nierealną do spełnienia. Może jednak to było wyjście? Droga, którą powinien podążać? Może...

## Rozdział 20



Powrót po kilku dniach nieobecności wywołał w niej mieszane uczucia. Z jednej strony cieszyła się, że opuszcza dom Hammów, bo choć kochała siostrzeńców i siostrzenice, szczególnie zaś uroczego Hermanna, który zmagał się nieustannie z arytmetyką, to napięta atmosfera wyraźnie wyczuwalna między Helene a jej mężem mocno ją męczyła. Nie nawykła do takich relacji. Lubiła proste, jasne sytuacje. U nich w domu wszystko wydawało się logiczne i dopasowane. Rodzice szanowali się i wspierali. Hammowie zaś ewidentnie zmagali się z wewnętrznymi problemami i choć próbowali ukrywać to przed najbliższym otoczeniem, to wszyscy doskonale widzieli pobladłą, zmartwioną twarz Helene oraz nerwowe, czasami wręcz wybuchowe reakcje Arthura.

Z drugiej zaś strony, pobyt w Tiegenhof dawał jej możliwość pozostawania w strefie marzeń. Dopóki była u siostry, mogła sobie wyobrazić, że Józef wciąż jest w jej rodzinnym domu i czeka na nią. To była przyjemna myśl, choć zupełnie nieprawdziwa. Wiedziała bowiem, że Koczorowski miał wyjechać tego samego ranka co ona. Gdyby zachorował i musiał u nich zostać dłużej, matka nie wysłałaby po nią Jacoba. Negatywnie patrzyła na ich spoufalone relacje i zrobiłaby wszystko, żeby została u siostry tak długo, jak długo przebywałby u nich hrabia.

Brat jednak się zjawił i właśnie przekraczała próg swojego domu. Uderzyła ją ogromna pustka. Nie było w nim tego, który samą obecnością nastrojał ją pozytywnie. Nie mogła mieć nadziei, że go usłyszy lub zobaczy. Brakowało jej również Antoniego, który osobowością bardzo do nich pasował. Małomówny, spokojny i pracowity. Gdyby nie bariera językowa, to na



pewno zawiązałyby się między nimi naprawdę ciekawa znajomość. Choć i tak, mimo że niewiele rozumiała z tego, co mówił, to darzyła go sympatią.

A czy lubiła hrabiego? Na to pytanie nie знаła odpowiedzi. Intrygował ją. Uwielbiała na niego patrzeć, słuchać jego głosu, dotykać. Jej palce wciąż pamiętały jego delikatną skórę, którą ukradkiem gładziła, gdy leżał w malinie. Pocałunek, który złożył na jej dłoni, był wspomnieniem, do którego wracała najczęściej. Tęskniła też za rozmową z nim, za uśmiechem wyłaniającym się spod wąsa i spojrzeniem czarnych oczu, sprawiających, że serce biło jej zdecydowanie szybciej. Czy to wyraz sympatii? Raczej nie. Tak więc objaw czego? Fascynacji, zauroczenia czy miłości?

Serce podpowiadało, że to miłość. Rozum, że fascynacja. Niezależnie jednak od tego, czym naprawdę były emocje, które żywiła do hrabiego, pilnie wypatrywała wszystkich oznak wiosny, która z każdym dniem coraz mocniej zaznaczała swą obecność.

– Dobrze, że już jesteście – zawołała na widok dzieci pani Dyck. – Przed chwilą był pan Wiebe z zapytaniem, czy możesz już dzisiaj do nich przyjechać. Mariechen, kuzynka Leonore, która miała pomóc jej w przygotowaniach, rozchorowała się i przez najbliższe kilka dni musi zostać w łóżku.

– Naturalnie, że pomogę. O ile oczywiście nie ma nic pilnego w domu.

– Nie, wszystko jest na bieżąco zrobione.

– Dobrze, spakuję więc moje fartuchy i za chwilę będę gotowa.

– Spokojnie, najpierw zjecie obiad. Na pewno was wyziębiło w czasie jazdy. Dzisiaj taki nieprzyjemny wiatr, a i na deszcz się zanosi. Ciepła stawa rozgrzeje was przed podróżą.

– O tak – wtrącił Jacob. – Tym bardziej że czuję zapach skwarek.

– To źle czujesz – odparła matka z uśmiechem. – Na obiad są klopsy z ziemniakami i pieczonymi jabłkami. Skwarki przesmażałam do smalcu.

– Smalec ze skwarkami na kolację, a klopsy na obiad. Po takim posiłku będzie się zdecydowanie lepiej jechało w tym wietrze. Jeszcze jakby kawałek placka był, to już zupełnie byłbym zadowolony.

– Jest i placek, łasuchu. Idź zawołaj ojca, a ty, Gretchen, chodź, pomożesz mi rozstawić wszystko.

Ruszyła w kierunku kuchni, przyspieszając na dźwięk bulgotania rozchodzącego się z kociołka. Szybkimi, zwinnymi ruchami przemieszała gotującą się zawartość, po czym odsunęła naczynie i na jego miejscu postawiła ceber z wodą, którą później zamierzała użyć do umycia naczyń.

– Gretchen, przynieś trochę kapusty kiszonej i podsmaż ojcu do klopsów. Wiesz, że on do każdego dania musi mieć kiszonkę, inaczej nic mu nie smakuje.

– Chętnie. Helene praktycznie nie dopuszczała mnie do kuchni, więc się stęskniłam za gotowaniem.

Przepasała się wiszącym w kuchni, zapasowym fartuchem i po chwili zniknęła w spizarce, skąd oprócz kapusty przyniosła jeszcze kilka cebul.

– Podsmażę ojcu z cebulą. Będzie lepiej smakowało, a ja trochę rozruszam stawy.

– U Leonore się nagimnastykujesz. Wiem, że szykują bardzo wystawny obiad. Będzie też sporo gości, więc pracy czeka was dużo.

– Dobrze, bezczynność jest bardziej męcząca.

– Tak? To zupełnie nic nie robiłaś u Helene?

– Głównie uczyłam Hermanna i pozostałą gromadkę. Czasami sprzątałam, ale do tego, co lubię najbardziej, czyli do gotowania, mnie nie dopuszczała.

– Cóż, ona też lubi gotować. I najchętniej robi to sama. Pamiętasz? W domu też starała się zawsze, żeby nikt jej się po kuchni nie plątał. Specjalnie wstawiała wcześniej, żeby samodzielnie przygotować śniadanie. – Annchen uśmiechnęła się do wspomnień. – A i w porze innych posiłków starała się prędko skończyć przydzieloną pracę, żeby choć chwilę porządkować w kuchni po swoim.

– Pamiętam doskonale. Również to, że starałaś się jej ułatwiać te manewry i nas odsyłałaś do obory albo w pole, a ją zostawiałaś w kuchni.

– Owszem, bo najlepiej jest, jak człowiek robi to, co lubi. Gotowanie sprawia ci radość, ale wiem, że bardziej od pichcenia wolisz robić sery i masz do tego prawdziwy talent.

– Masz rację, mamó. Sery wymagają logiki, precyzji, a jednocześnie fantazji. Taka trochę arytmetyka ze sztuką.

– Ja tam sztuki w tym nie widzę, ale to właśnie nas różni – odparła matka, sięgając po gar z kartoflami, żeby je odlać. – Powiedz, co u Helene? Kiedy ostatnio u nich byliśmy, zauważyłam, że jest nieswoja, taka podenerwowana. Nie było jednak okazji porozmawiać, bo ciągle nam ktoś towarzyszył. Martwię się o nią. Zawsze była radosna i uśmiechnięta, a tu, mimo jej starań, było widać, że coś ją trapi.

Gretchen przygryzła lekko policzek, zastanawiając się, co właściwie powinna powiedzieć. Ona też to zauważyła. Miała nawet swoje podejrzenia co do przyczyn takiego stanu rzeczy, ale były to tylko domysły. Czy warto więc o nich mówić? Jeśli się myli, to niepotrzebnie tylko zdenerwuje matkę, a i szwagra nieopatrzonym stwierdzeniem może skrzywdzić.

– Mów, córko.

– Właściwie nie wiem, co powiedzieć.

– Prawdę. Zawsze prawdę.

– To prawda jest taka, że nie wiem, co się dzieje z Helene. Owszem, jest nieswoja. Przygaszona, a jednocześnie podenerwowana. Nie znam jednak przyczyny tego stanu.

– Może coś zaobserwowałaś? Chora jest? Ma jakieś objawy? Jak apetyt?

– Schudła trochę, ale nie sądzę, żeby była chora. Tak fizycznie, bo ewidentnie coś ją trapi.

– Arthur Hamm mocno się zmienił – zaczęła po namyśle matka. – Zawsze był bardzo zaradny i pracowity, jednak ostatnio przedsiębiorczość i chęć rozwijania wytwórni i browaru zdominowała jego życie. Całkowicie zatracił granicę między zarabianiem a nadmiernym gromadzeniem bogactw. Trzeba pracować, oczywiście że trzeba, ale u niego to już nie o pracę

i umiłowanie Boga przez wykonywane czynności chodzi, a o zyski. Pieniądze zaczynają być dla niego najważniejsze. Ważniejsze niż rodzina.

– Helene tęskni za wsią – wtrąciła Gretchen, mając żywo w pamięci rozmowę z siostrą. – Ta nowoczesność i bogactwo chyba nie do końca jej odpowiadają.

– Też tak sędzę. Mówiłam jej to nawet przed ślubem. Ostrzegałam, żeby dobrze przemyślała, czy odnajdzie się w mieście. Tam się żyje zupełnie inaczej, a ona bardzo kochała wieś. Twierdziła jednak, że razem z Arthurem stworzą tam ostoję, która ochroni ich przed czynnikami zewnętrznymi. Nie do końca chyba jej się to udało. Nowatorstwo myśli i działań jest tam bardzo mocno rozwinięte, a i sam Arthur zrobił się nadmiernie nowoczesny. Boję się, że to wpłynie na ich małżeństwo, a także na ich dzieci, które z czasem ztratą nasze wartości, zasady.

– Nie sędzę, żeby do tego doszło. Hermann bardziej kocha wieś niż miasto i jestem przekonana, że jak tylko dorośnie, będzie chciał wrócić tutaj.

– On może tak, ale co z resztą dzieci? Muszę koniecznie pojechać do Helene i ją wesprzeć, zanim to wszystko zajdzie za daleko. Może uda się znaleźć jakieś rozwiązanie, żeby tej sytuacji zaradzić.

– Tak, to chyba dobre wyjście – odparła Gretchen przerzucając kapustę do miski. – Pójdę zawołać ojca i Jacoba na obiad.

– Poczekaj chwilę. – Matka podeszła do niej i kładąc jej ręce na ramionach, spojrzała uważnie w oczy. – A co z tobą? Przestałaś zaprzętać sobie głowę naszym byłym gościem?

Gretchen spuściła wzrok i lekko pobladła. Obawiała się tego pytania, ale nie sądziła, że matka zada je tak wprost. I tak szybko. Nie miała przygotowanej odpowiedzi, a to, co kłębiło się w jej głowie i sercu, na pewno strapiłoby Annchen.

– Córkó, on wyjechał. Wrócił do swojego świata ludzi mu podobnych. My jesteśmy inni i żyjemy zupełnie inaczej. Spójrz chociażby na Helene, o której przed chwilą rozmawialiśmy. I ona, i Arthur są urodzeni i wychowani w naszej wspólnotie, wyznają naszą wiarę i żyją zgodnie z zasadami, a i tak jest im trudno funkcjonować wśród ewangelików i luteranów. Hra-

bia nie dość, że żyje zupełnie inaczej, to jeszcze jest katolikiem. Musisz o nim zapomnieć, Gretchen. Im szybciej, tym lepiej.

– Wiem, ale...

– Nie, córko. To jest jedyne wyjście. Nie zaprzataj sobie nim głowy, bo pewnie nigdy więcej go nie zobaczysz. Zresztą, nawet jeśli wasze drogi jeszcze kiedyś się przetną, to nic z tego nie wyjdzie. Jesteście z innych światów i nic tego nie zmieni.

Do oczu dziewczyny napłynęły łzy. Wiele racji było w tym, co powiedziała matka. Nie chciała jednak tego słuchać. Serce mówiło jej coś zupełnie innego. Wierzyła, że Józef wróci i ich światy, różne światy, scala się w jeden. Wspólny. Zbudowany z miłości i na miłości.

## Rozdział 21



Matka miała rację. Po dwóch dniach spędzonych w kuchni na szykowaniu obiadu dla ponad pięćdziesięciu osób była wykończona. Państwo Wiebe miało bardzo liczną rodzinę i był nie lada kłopot, żeby przygotować dla wszystkich miejsca w wielkiej izbie. Pożyczono stoły i krzesła od sąsiadów i po kilku próbach udało się wszystko zsynchronizować.

Kończyła właśnie zmywać, gdy do kuchni weszła pani Wiebe.

– Gretchen, matka podała dla ciebie odświętne ubranie na jutro. Uznałyśmy, że lepiej, jeśli i tę noc spędzisz u nas, niż gnać konie w tę i nazad. Rano spokojnie dokończymy to, co zostało, i udamy się do kościoła. Chyba że wolisz wrócić, to mój mąż zaprzęgnie konie i cię odwiezie.

– Nie, nie ma potrzeby, to dobre rozwiązanie.

– Tak właśnie myślałyśmy. Jesteś prawdziwą przyjaciółką Leonore i jesteśmy ci wdzięczne za pomoc. Oczywiście, gdy przyjdzie pora na twoje wesele, również pomożemy.

– Drobiazg. Z przyjemnością spędziłam z wami ten czas.

– Dobrze, pochowajcie te naczynia i idźcie odpocząć, ja dokończę dekorowanie wielkiej izby. – Pani Wiebe skierowała się do drzwi. – Jutro ważny dzień, więc musicie być wyspane.

Dziewczęta machinalnie przytaknęły i z ulgą włożyły ostatnie garnki do szaf.

– To był naprawdę ciężki dzień – stwierdziła Leonore, wstawiając na piec cebrzyki z wodą do kąpieli. – Marzę tylko o tym, żeby się wykapać i iść spać. Mam tak poobcierane dłonie, że jutro na pewno będą czerwone i spuchnięte.

– Nie będą. Po kąpieli wetrzesz w nie gęsi smalec i będą jak nowe.

– Myślisz, że to pomoże?

– Naturalnie – przytaknęła Gretchen. – Zawsze tak robię i pomaga. Siedaj, trochę czasu minie, zanim woda się zagrzeje, to ci zaparzę ziół. Widziałam, że macie rumianek.

– Daj spokój, ty też jesteś zmęczona. Usiądź i obie odpoczniemy.

– Chwilę mi to zajmie, a tobie pomoże pozbyć się znużenia. Niepotrzebnie forsowałaś się w kuchni. Powinnaś nas posłuchać i już dawno byłabyś w łóżku.

– Nie, nie mogłabym was zostawić. Przecież to moja uroczystość. – Leonore wygodniej usadowiła się na drewnianym krześle. – Zresztą dzięki temu szybciej leciał mi czas i nie rozmyślałam ciągle o tym, jak bardzo zmieni się moje życie od jutra. Przestaną być panną. Mało tego, od razu stanę się żoną, gospodynią i matką trójki dzieci. Próbowałam sobie to wszystko jakoś poukładać w głowie, ale kiepsko mi to wychodzi.

– Wiem, Leo, wiem. Poradzisz sobie doskonale – odparła Gretchen, krusząc rumianek do dzbanka. – Mówiłam ci już, żebyś się tak nie denerwowała. Będziesz miała mnie za płotem, a ja chętnie pomogę. Poza tym świetnie gotujesz i znasz się na pracach gospodarskich. Dojdą obowiązki z dziećmi i tu będzie najtrudniej, nie przeczę. Szybko jednak poznasz ich rytm dnia i będziesz wiedziała, jak wszystko poukładać, żeby nadażyć.

– Właśnie – rzuciła z westchnieniem Leonore. – Praca, obowiązki, dzieci. Kiedy będę miała czas na poznanie Isaaka?

– Znasz go od lat, a ostatnio miałaś okazję spędzić z nim sporo czasu. Reszta ułoży się z czasem.

– Oby.

– Daj spokój. Niepotrzebnie snujesz czarne wizje. Isaak to porządny mężczyzna i będziesz z nim szczęśliwa.

Zalała rumianek gorącą wodą i przykryła dzbanek pokrywką, żeby dobrze naciągnął wywar. Sięgnęła po dwa kubki i ustawivszy je na stole, z lekkim westchnieniem zajęła miejsce na przeciwległym krześle.

– Wiem, że masz rację, ale i tak ciągle o tym myślę – odparła Leonore. – Opowiedz mi lepiej wreszcie o tym hrabim, bo ciągle unikasz tego tematu. Rozumiem, że nie chciałaś mówić przy mojej matce i siostrach, ale teraz jesteśmy same i się nie wymigasz.

Gretchen męczyło skrywanie tego, co czuła do Józefa. Wiedziała, że może liczyć u Leonore na większe zrozumienie niż u matki, ale nie miała pewności, jaka będzie reakcja przyjaciółki, gdy wyzna jej wszystko. Postanowiła więc podzielić się tylko niektórymi spostrzeżeniami.

– Wciąż o nim myślę.

– Wiedziałam! – zawołała Leonore, w jednej chwili zapominając o zmęczeniu i nękających ją wątpliwościach. – Unikałaś tematu, a każda wzmianka o nim wywoływała u ciebie zmieszanie. Pewnie się zakochałaś w jaśnie panu, tak?

W jej głosie słychać było podekscytowanie, a oczy aż rozbłyły z emocji.

– Nie – zaprzeczyła Gretchen. – Nie nazwałabym tego miłością. Po prostu mnie zaintrygował.

– To na pewno. Przecież jest zupełnie inny niż my – przytaknęła żarliwie Leonore. – Często z nim rozmawiałaś? Długo przecież u was mieszkał.

– Kilkanaście dni, z czego część przespał w gorączce. Nie mieliśmy więc zbyt wielu okazji do rozmowy.

– Ale rozmawialiście.

– Tak. Ciekawy z niego człowiek – potwierdziła Gretchen. – Taki trochę oderwany od rzeczywistości.

– Oderwany? Co masz na myśli.

– On niewiele wie o życiu. Wiesz, takim normalnym, jakie my prowadzimy.

– Pewnie, że nie wie. Przecież jest hrabią, a z tego, co słyszałam, to oni czas spędzają na, yy, no konwersowaniu i zabawach. Pracę za nich wykonuje służba i chłopci.

– Chyba tak właśnie jest, bo nic nie potrafił. Nawet grabić nie umiał.



Uśmiechnęła się bezwiednie na wspomnienie prób oczyszczenia podwórka z pozimowej trawy przez Józefa.

– Gretchen, skoro inni wszystko za niego robią, to skąd miał umieć?

– Wiem przecież. Tylko to naprawdę niezrozumiałe dla mnie, jak można się tak uzależnić od innych. Co by zrobił, gdyby nagle musiał sam wydoić krowę, zebrać czy zmłócić zboże? Nieporadny jak dziecko. Chociaż nie, bo przecież nasze dzieci potrafią zadbać o siebie.

– Jesteś dla niego zbyt surowa. On został przyuczony do innych zadań. Pewnie zarządza dużym majątkiem, nadzoruje prace albo dba o inwestowanie środków. Tak do końca nie chce mi się wierzyć w te opowieści, że oni zupełnie nie pracują. To przecież totalna nuda nic nie robić cały dzień.

Słowa Leonore sprawiły jej przyjemność. I ona żywiła bowiem nadzieję, że hrabia ma talenty, inne niż oni, ale ma. Przecież każdy człowiek jest użyteczny na swój sposób. Miła jej była myśl, że przyjaciółka też tak to spostrzega.

– Ciekawie byłoby zobaczyć, jak żyją – przyznała po chwili. – Tak wiesz, żeby oni nas nie widzieli i nie mieli pojęcia, że są obserwowani.

– O tak! Z chęcią bym się też rozejrzała po ich domach i sprawdziła, czy naprawdę są tak bogato urządzone, jak mówią.

– Nie wiem, co mogliby mieć, czego my nie mamy. Przecież i u nas są piękne meble, w wielu domach są pianina, cenne bibeloty i obrazy.

– I zegary Kroegera – dodała z zapalem Leonore. – To unikatowe i niezwykle cenne przedmioty i nie każdy może je kupić.

– Właśnie, więc cóż takiego mogą mieć oprócz ogromnych domów, które musi sprzątać cała gromada ludzi?

– Nie wiem, ale naprawdę chętnie bym się dowiedziała – odparła lekko rozmarzonym tonem Leonore. – Ale tego nie mamy jak się dowiedzieć, to chociaż opowiedz mi o hrabim. Jak wygląda i czy był wyniosły, jak z tobą rozmawiał?

– Nie, absolutnie nie. Mało mieliśmy okazji do rozmawiania, lecz jak już się trafiła, to zachowywał się całkiem normalnie. Nie wywyższał się ani nic

z tych rzeczy.

– O czym rozmawialiście?

– W sumie to były tylko takie bieżące tematy. Głównie dziękował za udzieloną pomoc czy przyniesione jedzenie – odparła, próbując zapanować nad drzeniem powieki. – Nic ciekawego.

– Szkoda. Tak bym chciała go wypytać o ich życie. Może będzie jeszcze okazja?

– Nie sądzę.

– Ojciec mówił, że zostały u was jego sanie, to pewnie po nie wróci.

– Możliwe.

– To jeszcze powiedz mi szybko jak wyglądał, bo już woda zaczyna bulgotać.

„I całe szczęście” – przemknęło Gretchen przez myśl. „Niech bulgocze”.

– Wysoki. Wyższy niż nasi mężczyźni, ale mniej rosły, drobny wręcz.

– Nie pracuje fizycznie, więc pewnie dlatego.

– Zapewne.

– Przystojny? Jakie ma oczy?

– Co ty taka ciekawa? Oczy jak oczy.

– Przestań, przecież widzę, że co chwilę się rumienisz. Spodobał ci się!

– Owszem, jest przystojny – odparła zniecierpliwionym tonem. – I ma piękne, czarne jak ziemia oczy. Cóż jednak z tego? On żyje tam, ja tu i tyle.

– Nie mów tak! Wierzę, że hrabia jeszcze do nas wróci. A raczej do ciebie.

– Nie sądzę. Po co miałby do mnie wracać?

– Jesteś piękna i na pewno wpadłaś mu w oko. Coś mi mówi, że to nie koniec tej historii. Wróci po ciebie, weźmiecie ślub i wyjedziesz stąd jako hrabianka.

– Przestań bajać – odparła dość oschle Gretchen. – Nie zamierzam stąd wyjeżdżać, ani tym bardziej zostawać hrabianką. Lepiej wstań i pomóż mi

z balią, zanim woda wyparuje. Jutro ważny dzień i to na tym trzeba się teraz skupić.

Leonore posłała jej łobuzerskie spojrzenie i nic już nie mówiąc, wstała, żeby pomóc. Swoje jednak myślała i była wręcz przekonana, że to wszystko się urzeczywistni. Im bardziej bowiem Gretchen unikała tematu i przybierała surową minę, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że przyjaciółka próbuje oszukać albo ją, albo siebie. Nigdy nie widziała jej tak zaafektowanej żadnym mężczyzną. Nerwowe gesty, drganie powieki, rumieniec i to zbywanie mówiły samo za siebie.

## Rozdział 22



Dwór w Witosławiu był niezwykle okazały oraz dopracowany architektonicznie. Mnogość okien sprawiała, że duże, przestronne salony były jasne i przyjemne. Wszystkie pomieszczenia urządzone kunsztownie, ze smakiem. I byłoby idealnie, gdyby nie pustka, która go ogarniała, kiedy kroczył wśród cennych mebli i wyszukanych z niezwykłą pieczołowitością bibelotów. Zupełne przeciwieństwo przytulnego dworku babci czy też pełnego ciepła domu Gretchen.

Na myśl o dziewczynie zostawionej wśród żuławskich pól serce ścisnął mu żal. Rozmowa z babcią wszystko skomplikowała. Marzył po cichu, że wyrwie ukochaną z gospodarskich okowów i zaprowadzi na salony Witosławia. Chciał jej podarować wszystko, co miał, uczynić życie wygodnym i szczęśliwym. Coraz mocniej zdawał sobie jednak sprawę, że byłoby wprost przeciwnie. Gretchen nie odnalazłaby szczęścia w tych pięknych, ale nieprzyjaznych jej murach.

Deszczowy dzień nastrajał go bardzo pesymistycznie, więc podszedł do kominka, na którym żywo płonął ogień, roztaczając przyjemne ciepło.

– Synu, jak dobrze, że już wróciłeś. W tym roku wyjątkowo długo zabiłeś poza domem – powiedziała z wyrzutem w głosie matka. – I jeszcze zamiast wrócić prosto do Witosławia, pojechałeś najpierw do Izabeli. Nie sądzisz, że to matce, a nie babce należy się pierwszeństwo?

– Izabelę miałem po drodze, więc nie wypadało minąć dworu babci bez przywitania.

– Nie czaruj, synu. Powiedz mi lepiej, co cię tak długo zatrzymało u Ignacego. Czyżbyś spotkał jakąś pannę wartą uwagi? – zapytała z na-

dzieją w głosie. – Jesteś w wieku idealnym do ożenku, więc czas pomyśleć o dziedzicach.

– O dziedzicach jeszcze nie myślałem – odparł, wkładając ręce do kieszeni. – Zresztą w małżeństwie chodzi chyba o coś więcej niż tylko przedłużenie rodu?

– To jest najważniejsze, synu, i czas, żebyś pomyślał o potomkach.

– Myślałem, że najważniejsza jest miłość. – Zaśmiał się nieszczerze. – Czy nie tak opisują to ci wszyscy poeci?

– Poeci? Wiem, że niektóre z panien na wydaniu bajają o wzniosłych uczuciach i wielkiej miłości niczym z utworów Byrona czy Goethego – prychnęła pogardliwie. – To bardzo szkodliwe myślenie i nigdy nie pozwoliłam Annie zaprzętać sobie głowy tymi dyrdymałami.

– Tak, Anna jest do bólu pragmatyczna.

– I słusznie. Dobrze na tym wyszła – przytaknęła z zadowoleniem matka. – Ma bogatego, utytułowanego męża, dwoje dzieci i piękny dwór. Żyje w dostatku i spokoju.

– Z mężem o dwadzieścia lat starszym, zapomniałaś dodać.

– To nie jest istotne. Ma dobre, dostatnie życie, a dzieci zapewnią przyszłość i pozycję.

– Tak, to zdecydowanie proza życia, w której to, co materialne, jest najważniejsze.

– Synu, a czymże jest poezja w zetknięciu z prawdziwym życiem? Czcze fraszki, które nic dobrego do życia nie wnoszą. Nasz naród jest zdecydowanie zbyt rozmarzony, a w obecnych czasach trzeba twardo stąpać po ziemi, a nie bujać w obłokach. I mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Staram się.

– Ty zawsze byłeś inny. Oderwany od rzeczywistości. Chyba niepotrzebnie pozwalałam ci spędzać tyle czasu w dzieciństwie u Izabeli. Napchała ci do głowy tych swoich utopijnych wizji.

– Nie są utopijne, a przyszłościowe. To, co wprowadzali dziadkowie w majątku, miało poprawić byt chłopów, a w konsekwencji przełożyć się na

funkcjonowanie gospodarstwa.

– Tak? Teść założył szkołę i co dobrego z tego wyszło? Nic. Zmarnowany kawałek ziemi i pieniądze na budowę szkoły i utrzymanie nauczyciela. Chłopi niewiele na tym skorzystali, a my na pewno nic, poza wymądrzającymi się niekiedy uparciuchami, którzy zamiast pracować jak należy, to zaczęli mieć roszczenia.

– Później majątkiem zarządzał tata, więc mogliście zlikwidować szkołę, skoro ci tak przeszkadza – wytknął jej Józef. – Nie zrobiliście tego.

– Nie. I dobrze wiesz, że to dlatego, iż twój ojciec nie śmiał sprzeciwić się matce, która tych chłopów zdecydowanie przecenia. Poza tym, skoro już jest, to niech będzie. Zamknięcie mogłoby podburzyć ludzi, którzy i tak zbyt wiele sobie wyobrażają. Te ich wieczne utyskiwania i roszczenia doprowadzają mnie niekiedy do szału. Żądają coraz więcej i więcej.

– Chcą po prostu żyć, mieć co jeść i czym napalić w piecu. Nie sądzę, żeby ich prośby były zbyt wygórowane.

– Prośby – zakpiła. – Oni tylko udają ustępliwych, a w ich oczach czai się taka nienawiść, że aż strach człowieka bierze. Ojciec też to wiedział, ale umiał z nimi postępować. Ty im za bardzo popuszczasz.

– Powiedz mi, mamó, byłaś szczęśliwa z ojcem? – zapytał, puszczając jej ostatnią wypowiedź mimo uszu. – Tak prawdziwie szczęśliwa?

Zdumienie malujące się na jej twarzy jasno wskazywało, że nie spodziewała się takiego pytania. Drgnęła nerwowo i przesunęła się w stronę stolika, na którym stała karafka z wodą. Wyjęła kurek z karafki, obróciła go kilka razy w rękach, po czym odłożyła na miejsce.

– Nie rozumiem. Wiesz, że byliśmy zgodnym małżeństwem. Nie kłóciliśmy się. Wspierałam ojca w jego staraniach politycznych, jak również wtedy, gdy został posłem na sejm pruski, co w okręgu Buk-Kościan nie było łatwe, a jednak mu się udało. Zawsze uparcie dążył do obranego celu i go osiągał. Dodam, że z moją pomocą. Zawsze mógł na mnie liczyć.

Pokręcił głową.

– Mamó, pytam, czy byłaś szczęśliwa z ojcem. Przecież to proste pytanie.

– Proste? Dla ciebie wszystko jest albo czarne, albo białe. Tak, nie, a w życiu tak nie jest. Są różne rodzaje radości.

– Jakie więc to były rodzaje?

– Byłam szczęśliwa, że mam dobrego i zaradnego męża. Urodziłam zdrowe dzieci, którym zapewniłam doskonałe warunki do rozwoju. Mieliście guwernerów i guwernantki, znacie języki, jesteście obyci w świecie. Anna dobrze wyszła za mąż i uczyniła mnie babcią. Stać mnie na suknie, powozy i podróże. Poza tym nigdy nie marzyłam, że mój mąż zostanie hrabią! Był zamożnym szlachcicem, ale dopiero wiele lat po ślubie, zresztą pamiętasz, Pius IX nadał mu tytuł hrabiowski, który ty zresztą odziedziczyłeś na zasadzie primogenitury.

– Tak – wskazał na wiszące nad kominkiem herby – dwudziestego pierwszego kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku zmieniliśmy herb Rogala na herb Koczorowski, nasz własny.

– Właśnie! Nasz. Przysługujący tylko potomkom i o tych potomków trzeba się postarać – podchwyciła i z entuzjazmem podeszła do syna. – Zobacz zamiast pięciu pałek szlacheckich nad koroną herbową pojawiło się dziewięć! Takie wyróżnienie! Taki zaszczyt. Do dzisiaj, gdy tylko na nie spojrzę, rozpiera mnie duma i radość. Hrabina Koczorowska. Brzmi wspaniale, prawda?

– Owszem i bardzo do ciebie pasuje, mamó – przyznał, patrząc na jej rozpromienioną twarz. – Widzę, że znalazłaś swoje szczęście. Ja jednak postrzegam je inaczej i czego innego szukam.

– To przestań. *Crux mihi vera salus*<sup>[13]</sup> – zacytowała dewizę rodu umieszczoną pod herbem. – Modlitwa, wiara i życie w zgodzie z Bogiem oraz przynależnymi nam przywilejami i obowiązkami dają szczęście. I tym trzeba się kierować, a nie mrzonkami. One nic do życia nie wnoszą poza zgubnym podążaniem za ułudą.

– To nie dla mnie – odparł zrezygnowanym głosem. – Ty, Anna i Karol odnajdujecie w tym szczęście. W tytułach, majątku, zajmowanej pozycji, tych wszystkich zaproszeniach, które do nas przychodzą, w emblematkach, które tak starannie wszędzie umieszczacie, organizowaniu balów, polo-

wań i odwiedzinach u sąsiadów. Mnie to nuży. Chciałbym żyć zupełnie inaczej.

– Inaczej, czyli jak? Chcesz być chłopem, wyrobnikiem czy może jakimś przedsiębiorcą? Męczą cię dostatki, wygodne salony i pyszne jedzenie?

– Może? Co złego jest w byciu rolnikiem czy przedsiębiorcą?

– Synu, ten wyjazd źle na ciebie wpłynął. Zawsze byłeś inny, ale teraz jesteś wręcz dziwny. Hrabia, któremu marzy się inne życie – prychnęła, kręcąc głową. – Doprawdy, dostatek chyba ci zaszkodził, skoro marzy ci się praca i bieda. Idź do tych wiejskich chałup. Posiedź w zimnie, z myszami i insektami, to szybko zmądrzejesz.

– Życie na wsi nie musi tak wyglądać. Dostrzegasz tylko dwie skrajności: biedę i bogactwo, a jest przecież jeszcze coś pośrodku. Zupełnie, jak ze szczęściem i jego różnymi odcieniami – wytknął jej cynicznym tonem. – Czyż nie sama tak przed chwilą powiedziałaś?

– To zupełnie coś innego. – Machnęła lekceważąco ręką. – Zresztą pomyśl, cóż ty miałbyś robić, skoro, wybaczone, ale nic nie potrafisz poza zarządzaniem majątkiem, a i to właściwie wykonują zarządca oraz Karol? Byłeś wychowywany tak, jak na dziecko szlachty przystało. Umiesz konwersować, bywać, znasz języki, tańczysz doskonale, rachujesz tyle, ile trzeba, żeby nikt cię nie oszukał. Od pozostałych prac masz ludzi. Chłopów, rzemieślników, służących, zarządzających, doradców finansowych. Odkąd zaś mamy tytuł, to i twoje obowiązki zostały inaczej ukierunkowane. I na tym się skup.

– Na znalezieniu odpowiedniej żony i spłodzeniu dziedziców?

– Tak – przytaknęła matka.

– Co z misją szlachty? Naszą rolą w społeczeństwie? Przecież powinniśmy oddziaływać na postawionych niżej od nas i dbać o ich rozwój.

– Znowu głośisz te wywrotowe hasła, które wciskają we wszystkie książki i gazety. To mrzonki biedaków bez perspektyw na zdobycie majątku i tytułu. Te ich głoszone tezy mają na celu ogłupienie i złupienie bogatych, żeby naszym kosztem wzbogacili się biedni.



– Mamo, widzę to inaczej i czego innego od życia oczekuję.

– Józefie, doprawdy, nie wiem, co w ciebie wstąpiło. Z wiekiem jesteś coraz gorszy. Na szczęście Karol ma głowę na karku i trzyma wszystko w garści. Gdyby nie on, to chłopci już dawno by się rozbisurmanili, a ty nasz majątek byś rozdał na lewo i prawo.

– Mylisz się. Nie zamierzam niczego rozdawać. Chciałbym jednak stworzyć im godne warunki do życia i pracy.

– Pójdę już, bo nie mogę dłużej słuchać twoich bająć. Przyszło kilka zaproszeń. Przejrzę je i wybiorę te najciekawsze. U Sokołowskich są dwie córki na wydaniu. Myślę, że warto się nimi zainteresować. Pochodzą z dobrej rodziny, mają spore koneksje i okazałe posagi.

– Cóż, jak sama mówiłaś chwilę temu, jesteśmy majątni. Nie muszę więc chyba patrzeć na posag i koneksje?

– Wręcz przeciwnie! Majątek trzeba mnożyć, a nie trwonić. Ty jednak zupełnie tego nie rozumiesz. Sama więc wyszukam ci odpowiednią pannę. Nie kłopotz się tym.

Zamierzał coś jeszcze powiedzieć, ale nie dała mu szansy. Szeleszcząc jedwabną suknią, czym prędzej opuściła salon, a on został z jeszcze większym mętlikiem w głowie. Wszystko to, co mówiła, słyszał wiele razy. Wciąż powtarzane, było jak mantra, która znanym rytmem wtłacza na odpowiednie koleje losu.

Tylko on coraz mocniej rozumiał, że to nie jest jego droga, że wytyczony mu już za dziecka szlak nie przyniesie szczęścia. Nie chciał trwać w okowach konwenansów i frazesów, w które nie wierzył. Puste słowa i sztuczne pozy mierziły go niezmiernie.

Skoro on tak się dławił w świecie, który znał od dziecka, co działałoby się z Gretchen, gdyby zdobył jej rękę? Może rzeczywiście powinien się odważyć i zrobić to, co coraz głośniejsze huczało mu w głowie?

## Rozdział 23



W dniu zaślubin w domu państwa Wiebe panował ogromny rwetes. Leonore kilkanaście razy sprawdzała, czy suknia jest odpowiednio przygotowana, czepek idealnie wyprasowany, a wyprawa dobrze spakowana. Biegała wielce zaaferowana od pomieszczenia do pomieszczenia, a jej twarz znaczyły czerwone wypieki. Tak z emocji, jak i nadmiernego ruchu.

Gretchen podeszła do niej, gdy kolejny raz sprawdzała kufer posagowy.

– Leonore, wszystko już sprawdzałaś wiele razy. Jest idealnie i naprawdę nic nie trzeba poprawiać.

– Tak, wiem, wiem – odparła rozemocjonowanym tonem. – Ale boję się, że czegoś zapomnę spakować.

– Wątpię, ale nawet jeśli, to przecież odbierzesz przy okazji. Nie wyjeżdżasz na drugi koniec świata, tylko do wsi oddalonej o kilka kilometrów.

– Racja. Zostawię tak jak jest i więcej nie zajrzę do tej skrzyni, choć co chwilę w myślach pojawiają mi się pytania, czy na pewno wzięłam to lub tamto.

– Rozumiem, ale czas na śniadanie. Wszyscy już są i czekamy tylko na ciebie.

– Przepraszam! – zawołała, przytykając dłonie do gorejących policzków. – Chodźmy.

Śniadanie, z racji tego, że wielka izba była już przygotowana na przyjęcie gości, spożywano w białej kuchni. Wszyscy byli wciąż w codziennych strojach, bo czekało na nich jeszcze sporo pracy, ale ich pełne radości miny oraz podniosły nastrój jasno wskazywały na radość czerpaną z dzisiejszego wydarzenia.

– Chodź, córko – powiedział z dumą w głosie ojciec. – Dzisiaj zjesz śniadanie jeszcze jako Leonore Wiebe, a już za kilka godzin staniesz się Leonore Friesen.

Dziewczyna, wzruszona słowami ojca, chlipnęła cicho i czym prędzej otarła płynącą po policzku łzę. Jednak w ślad za tą pierwszą pojawiła się następna i kolejna. Pan Wiebe miał dość skonfundowaną minę, ale po chwili się zreflektował, przygarnął córkę do piersi i ucałował w czubek głowy.

– Nie płacz, dziecko – powiedział łamiącym się głosem. – Dziś trzeba się radować, a nie smucić.

– Właśnie – wtrąciła pani Wiebe. – Będziesz blisko nas. I choć rozpoczniesz swoje dorosłe życie, to wciąż jesteśmy rodziną i nic tego nie zmieni.

Oczy Leonore wciąż błyszczały od łez, ale na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Przytuliła raz jeszcze ojca, następnie matkę, po czym zajęła miejsce przy stole.

Pan Wiebe złożył ręce, pochylił głowę i przymknąwszy oczy, wypowiedział słowa modlitwy, które rozbrzmiewały w każdym mennonickim domu w czasie śniadania.

*Jestem nikim,  
Moje serce jest czyste,  
Nikt w nim nie może żyć,  
Tylko Jezus.  
Amen<sup>[14]</sup>.*

Gdy skończył, zasiedli do posiłku, który upływał już w dużo weselszej atmosferze. Później wszystko nabrało tempa i Gretchen miała wrażenie, że wpadła w jakiś szalony wir. Pracy, którą trzeba było wykonać, nieustannie przybywało i zanim się obejrzała, przyszła pora na szykowanie się do kościoła.

Zauważyła jednak, że po rozmowie przy śniadaniu stres opuścił jej przyjaciółkę. Panna młoda założyła bardzo elegancką sukienkę, a szczęście malujące się na jej twarzy sprawiło, że wyglądała przepięknie. Zniknęły nękające ją do późnych godzin nocnych rozterki, które po wielokroć omawiały i rozważały. Była zmęczona odpowiadaniem na powtarzające się pytania przyjaciółki, ale cierpliwie towarzyszyła jej w tym czasie niepewności i trwogi. Miała nadzieję, że gdy przyjdzie pora na jej ślub nie będzie tego tak przeżywała jak Leonore.

– Gotowe – szepnęła, poprawiając kosmyki włosów przyjaciółce. – Wyglądasz cudownie.

– Ty też, Gretchen. Dziękuję ci za pomoc i za to, że ze mną byłaś.

– Nie ma o czym mówić. Z przyjemnością pomogłam.

– Idziemy? Chyba już czas?

– Tak – odparła, podając przyjaciółce kozuch ozdobiony szerokim kapturem. – Z tego, co słyszę, to inni też już gotowi.

Rodzina Wiebe rzeczywiście szykowała się do wyjścia. Do kościoła było zaledwie paręset metrów, ale Leonore miała pojechać z rodzicami powozem. Ona zaś i reszta rodziny zdecydowali się na spacer. Pogoda sprzyjała, więc nie było sensu brać drugiego pojazdu na tak krótki odcinek drogi.

Dzień był dość chłodny. Z zadowoleniem powitała jednak delikatny wiatr, który przyjemnie orzeźwiał zmęczone wytężoną pracą ciało. Nawykła do wysiłku fizycznego, ale pęd ostatnich dni sprawił, że barki były napięte, ręce szorstkie w dotyku, a stopy piekły od wielogodzinnego stania przy kuchennym stole.

– Zobacz, chyba cała wspólnota przyszła na zaślubiny – stwierdziła z zadowoleniem starsza siostra Leonore. – Widzę nawet tych z odległych wiosek. Bardzo miło z ich strony.

– Ludzie darzą szacunkiem i waszą rodzinę, i rodzinę Isaaka. Poza tym zaślubiny są niezwykle wzruszające i ważne dla naszej wspólnoty.

– Właśnie. Mam nadzieję, Gretchen, że i na twoje niedługo będę mogła przyjechać.

– Cóż, tak prędko to nie nastąpi.

– Dlaczegoż? Jesteś już w odpowiednim, a nawet bardziej niż odpowiednim wieku do zamążpójścia. Nie chcesz mieć swojej rodziny? Dzieci?

– Oczywiście, że chcę – odparła dziewczyna z lekką irytacją. – Każda z nas przecież tego chce.

– Dlaczego więc zwlekasz? Kawalerów nie brakuje. Starszy zboru na pewno by ci wyswatał kogoś odpowiedniego.

– Przyjdzie na to odpowiednia pora. Zobacz, Leonore jest już przy wejściu – powiedziała zmieniając temat. – Podejdę do moich rodziców. Widzę, że czekają na mnie, a i ty chyba powinnaś udać się do siostry.

– Racja, trochę się zagadałyśmy, a tu przecież czas nagli. Zobaczymy się później.

Gretchen skinęła głową, ale w myślach zanotowała, że koniecznie musi zająć miejsce z dala od Ingrid. Nie lubiła rozmawiać o swoich prywatnych sprawach, a siostra Leonore była wyjątkowo dociekliwa.

Przywitała się z rodzicami, którzy wystrojeni w najlepsze ciuchy prezentowali się niezwykle godnie. Również Jacob, który zazwyczaj nie dbał o swój wygląd, dzisiaj się postarał i nawet przyciął swoje rozwichrzone bokobrody.

– Jak przygotowania? – zapytała matka, łapiąc ją pod ramię i kierując się w stronę kościoła. – Udało się tak, jak pani Wiebe zaplanowała?

– Naturalnie. Wszystko dopilnowane i przyszykowane.

– Cieszę się. Ogromnie lubię całą ich rodzinę. Dobrze, że im pomogłaś. Na pewno się napracowałaś, ale jestem przekonana, że efekt zachwyci wszystkich gości.

– Jedzenie jest pyszne, a i dom bardzo ładnie ustrojony.

– Leonore też wygląda cudownie. Bije od niej niezwykle przyjemna aura.

– Zgadza się. Jest szczęśliwa – przytaknęła, pomijając rozterki, które nękały przyjaciółkę. Nie było potrzeby mówić o nich matce. – To będzie dobre, zgodne małżeństwo.

Matka przycisnęła lekko jej ramię i uśmiechnęła się.

– Ojciec niedługo zacznie rozglądać się za kimś odpowiednim dla ciebie – powiedziała, nachylając się bliżej do córki. – Trzeba się wreszcie zdecydować, zanim wszyscy najlepsi kawalerowie znajdą sobie żony.

Mina Gretchen zrzędała. Bardzo nie lubiła, gdy wspomniano, że czas, aby wyszła za mąż. Zawsze jednak tak było na wszelkich spotkaniach i uroczystościach rodzinnych. Na ślubach zaś szczególnie nagminnie. Dzisiaj już dwie osoby o tym napomknęły, w tym, o zgrozo, jej matka, a dzień tak właściwie dopiero się zaczął. Westchnęła i zacisnęła zęby, postanawiając, że nie będzie podejmowała tego wątku. Najlepiej ignorować takie przytyki.

– Pora wchodzić, mammo.

Annchen puściła jej ramię i weszła do środka, kierując się na ich stałe miejsce. Ojciec z Jacobem poszli do części przeznaczony dla mężczyzn.

Gdy członkowie wspólnoty zajęli miejsca, Leonore i Isaak weszli do kościoła. Usiedli na postawionych przed pulpitem krzesłach i skierowali wzrok w stronę starszego zboru, który uśmiechnął się do nich dobrotliwie.

Jeden z ministrantów zaintonował hymn ze śpiewnika. Gretchen uwielbiała śpiewać, więc czym prędzej dołączyła do chóru głosów wypełniających przestrzeń wewnątrz. Słowa odbijały się od drewnianych ścian, napędzając serca zgromadzonych nadzieją i radością.

Po śpiewie wygłosił krótką mowę, w której odwoływał się do Pisma Świętego. Mówił bardzo ciekawie i choć Gretchen знаła doskonale fragmenty, do których nawiązywał, to słuchała z przyjemnością. Gdy skończył, za oknami lunął deszcz ze śniegiem, a we wnętrzu zapadł półmrok. Leonore drgnęła nerwowo, a na jej twarzy pojawiło się napięcie. Gottlieb Foth, starszy zboru, posłał wymowne spojrzenie ministrantowi, który skinął głową i sięgnął do szafki stojącej za pulpitem. Marcowa pogoda była nieprzewidywalna, więc na podorędziu były dodatkowe świece, po które szybko sięgnęli ministranci i je zapalili. Zrobiło się jasno i przytulnie, a grymas, który pojawił się na twarzy Leonore, ponownie został zastąpiony pełnym radości uśmiechem.

Gottlieb zwrócił się w stronę młodych i przystąpił do błogosławieństwa. W oczach Gretchen zalśniły łzy wzruszenia. Obraz stał się rozmazany i zu-

pełnie nieadekwatny do tego, co działo się na wprost niej. Wiedziała, że stoją tam Leonore i Isaak, a widziała tam siebie i Józefa. Było to tak realne, że czuła jego zapach oraz dotyk delikatnej skóry rąk. Musiała mocno zamrugać, żeby odegnać imaginację oraz łzy, które wzbierały coraz mocniej. Łzy żalu, tęsknoty i braku nadziei na to, że to, co sobie wyobraziła, stanie się kiedykolwiek rzeczywistością.

## Rozdział 24



Józef miał wrażenie, że wszystkim zawadza. Matka nieustannie rozpyływała się w zachwytach nad jego młodszym bratem, który według niej był ideałem szlachcica i powinien otrzymać co najmniej tytuł hrabiego, a najlepiej księcia. Wszystko, co robił, było zgodne z jej poglądami oraz wyobrażeniem tego, jak hrabia powinien zarządzać majątkiem. Nie omieszkała przy tym zawsze dodać, że powinien uczyć się od Karola, bo choć to młodszy syn ma predyspozycje do rządzenia, to tytuł i majątek otrzymał on, Józef.

Brat zawsze słuchał tego z roziskrzonymi dumą oczami. Mocno wczuwał się w rolę włodarza i sprawiało mu to niekłamaną satysfakcję. Józef miał nieodparte wrażenie, że brat tylko czeka, aż on gdzieś wyjedzie, bodaj na kilka godzin, żeby znowu mógł się poczuć niepodzielnym władcą.

Trochę go to irytowało, lecz częściej śmieszyło. Nie był to jednak śmiech pełen radości. Nie. Była w nim gorycz, bo i on uważał, że los z nich zakpił. Nie chciał być hrabią. Wolałby mieć mały majątek ziemski, którym mógłby zarządzać według swoich przekonań i upodobań. Bez tego całego balastu złożonego z oczekiwań matki, brata, ale i ich klasy społecznej, która wnikliwie przyglądała się jego poczynaniom. Nie szczędząc przy tym słów krytyki, gdy zbyt życzliwie, a według nich pobłażliwie, podchodził do spraw chłopskich.

Dzisiaj zamierzał uszczęśliwić brata i spędzić cały dzień u babki. Miał się spotkać u niej z Adamem Sackim, bliskim znajomym rodziny, który dość dobrze znał mennonitów. Był ogromnie ciekaw, czego się dowie, więc szybko zjadł śniadanie i nie czekając na matkę, ruszył ku stajni.



Ledwo wszedł na dziedziniec, gdy dobiegły go hałasy. Ze zmarszczonymi brwiami rozejrzał się po budynkach, próbując zlokalizować, skąd dobiegają krzyki. Najpierw skierował kroki ku części zamieszkiwanej przez służbę, gdyż myślał, że to jakaś awantura w służbówkach. Gdy jednak podszedł bliżej, okazało się, że zmyliło go echo. Awantura toczyła się w stajni. „Czyżby Arabika przedwcześnie się żrebiła? – pomyślał z obawą i przyspieszył.

– Żadnych lekarzy! Co to za wymysły – grzmiał Karol. – Wiecznie tylko symulujecie!

Józef z rozmachem otworzył boczne drzwi prowadzące do izdebek zajmowanych przez stajennych. Na przejściu łączącym stajnię z wydzielonymi kanciapami stał jego wydzierający się brat. Tak przy tym gestykutował, że jego zazwyczaj niezwykle schludnie uczesane włosy były rozczapierzone. Obok stał Antoni próbujący coś wytłumaczyć.

Zdezorientowany zachowaniem brata dopiero po chwili dostrzegł leżącego na pryczy Macieja. Jego niezwykle bladą twarz wykrzywiały grymas bólu.

– Co się dzieje? – zapytał Józef, patrząc na brata. – Dlaczego tak wrzeszczysz?

– Całkiem im się pomieszało w głowie po wyjeździe z tobą! Rozpasani, leniwi i roszczeniowi. Zamiast wziąć się do roboty, wymyślają jakieś choroby.

Józef zignorował przytyki brata i obrócił się w stronę stangreta.

– O co chodzi, Antoni?

– Nie wystarczy ci to, co ja powiedziałem? – zapytał z oburzeniem Karol. – Czyżbyś podważał prawdziwość mych słów?

– Nie dramatyzuj – ofuknął go Józef. – Chcę się dowiedzieć, o co dokładnie chodzi.

– Przecież! Słowa tych twoich zleniwiających chłopków ważniejsze niż moje. Doprawdy, bracie, zawsze byłeś dziwaczny, ale po powrocie przechodzisz samego siebie.

– Ty również. Czy przystoi szlachetnie urodzonemu wydzierać się jak pierwszy lepszy fernal? Czy takie karczemne awantury wpisują się w etykietę?

Oczy Karola ciskały gromy, a nerwowo drgający wąsik zwiastował kolejny wybuch.

– Od kiedy się interesujesz etykietą, hrabio? – Słowo to wręcz wypluł z siebie. – Wolisz się bratać z pospólstwem niż zająć należną ci pozycję.

– Na którą ty masz ogromny apetyt, prawda?

– Prawda. Nie nadajesz się do zarządzania majątkiem, a odziedziczysz go, podobnie, jak i tytuł, tylko dlatego, że jesteś starszy. Tak naprawdę ja powinienem być na twoim miejscu. Wszyscy tak myślą. Doskonale zresztą o tym wiesz.

– Wiem – przytaknął spokojnie Józef. – I może wkrótce twoje marzenie się ziści.

– Co to znaczy? – W jego oczach pojawił się błysk. – Planujesz umrzeć w młodym wieku? Chory jesteś?

– Dowiesz się w swoim czasie.

– Uważasz, że to śmieszne? Taka zabawa, tak? Wiem, ale nie powiem. Sekrecik, jak u pensjonarek. – Zgrzytnął zębami i obróciwszy się na pięcie, wyszedł ze stajni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Józef pokiwał z politowaniem głową i zwrócił się ponownie w stronę Antoniego.

– Mówże, o co chodzi. Czemu Maciej leży na pryczy zamiast pracować?

– Jużem wstaję, panie – powiedział z zapalem poblady, trzęsący się parobek.

– Leż! – rozkazał Antoni, zaskakując tym i hrabiego, i Macieja. – Jak ci życie miłe, to się nie ruszaj.

– Wyjaśnisz mi wreszcie, o co chodzi?

W głosie hrabiego słyhać było zniecierpliwienie. Antoni skinął głową i podszedł do legowiska parobka, po czym delikatnie podniósł poprzecie-

rany pled, którym przykryty był mężczyzna. Maciej próbował stłumić wyrywający się z jego piersi okrzyk bólu. Bezskutecznie.

– Podejdzie hrabia bliżej i spojrz na jego stopę.

Józef podszedł do stangreta. Antoni pochylił się nad nogą Macieja i delikatnie rozchylił opatrunek, ukazując zaropiałą, śmierdzącą miazgę, która kiedyś była stopą. Świeża krew mieszała się z zaschniętą, a wszystko spowijały żółte smugi ropy. Ten widok, połączony z okrutnym odorem, wywołał w Koczorowskim odruch wymiotny.

– Dobry Boże! Macieju, co ci się przytrafiło?

– Ten nowy ogier pana Karola – odparł, z trudem wymawiając słowa – to bestia, panie hrabio. Bestia szalona!

– Harend zmiądzzył mu nogę. Dobrze, że Maciek upadł, bo koń chciał go jeszcze kopnąć. Wpadł w istny szal. W czterech mieliśmy co zrobić, żeby go okiełznać.

– Co też naszło mojego brata, żeby takiego dzikusa kupować?

– Stefan mówił, że ma dobry rodowód i był w dobrej cenie.

– To już wiemy, skąd ta cena. – Józef pokręcił głową z niesmakiem. – Trzeba o to zadbać, oczyścić i opatrzyć, bo zaraz wda się gangrena. O ile już się nie wdała. Dlaczego zawijacie to w brudne szmaty?

– Właśnie, panie – przytaknął gorliwie Antoni. – Prosiłem pana Karola, żeby wezwać doktora, bo była tu baba ze wsi, co się zna na ziołach, ale powiedziała, że to trzeba obciąć i z takim czymś to ona sobie nie poradzi. Pana brat jednak stwierdził, że to wymówki, i kazał Maciejowi wrócić do pracy.

– Słucham?! – W głosie Józefa słyhać było oburzenie, a oczy zapłonęły złością. – Natychmiast jedź po Terlickiego. Weź konia i pędź, ile sił. Powiedz, że to pilne, i bardzo proszę, żeby przyjechał. Zawołaj tu też Stefana. Niech przy nim czuwa, jak ciebie nie będzie, i daje mu pić czy co tam będzie potrzebował.

– Dobrze, panie hrabio. Już pędzę – powiedział uradowany Antoni, kierując się w stronę boksów z końmi, żeby osiodłać jakiegoś rączego konia.

– Nie trzeba nikogo kłopotać, panie – zaczął nieśmiało Maciej, ale Koczorowski uciszył go machnięciem ręki.

– Tylko doktor tu pomoże. Leż i się nie forsuj. Stefan się tobą zaopiekuje, a później Antoni tu będzie przy tobie czuwał. Ma wprawę, więc sobie poradzi.

– Dziękuję, jaśnie panie.

Józef spojrział na wymęczonego bólem, spracowanego mężczyznę, który służył w majątku, odkąd sięgał pamięcią. I ogarnął go ogromny wstyd, że mennonici, całkowicie obcy im ludzie, bez wahania wezwali doktora do całej trójki. Nie szczędzili pieniędzy na diagnozę i leki. Zapewnili opiekę i przez wiele dni się o nich troszczyli, nie wiedząc, czy ktoś im zwróci poniesione koszty. A oni? Koczorowscy? Za wieloletnią służbę odpłacają Maciejowi obojętnością.

Podszedł do mężczyzny i choć żołądek skręcał się od mdłości, położył mu rękę na ramieniu.

– Tyle lat ciężko i uczciwie u nas pracujesz, Macieju. Przez durne pomysły mojego brata masz uszkodzoną nogę. Wstyd mi, że Karol zamiast posłać po Terlickiego jeszcze tu awantury urządzał. Wybacz, jego zachowanie jest karygodne, a i moje nie lepsze.

– Tożem chyba kopnął w kalendarz i trafił do jakiego nieba. Boć możliwe, że hrabia mnie o wybaczenie prosi? Juści! Majaki mam albo żem zdechł.

– Nie, Macieju, całkiem żywy jesteś i jeszcze długo pożyjesz.

– Ino co to za życie będzie? Bez giry jak robić? Można kulasa jakiego przymocować, ale to przecie tak czy siak kaleka. Na chleb się nie wysłużę, więc przyjdzie dziadowski tobołek na grzbiet zarzucić i iść na żebry.

– Tym się nie przejmuj. Znajdziemy ci takie zajęcie, które będziesz mógł wykonywać.

– Hrabia to po prawdzie inszy niż wszyscy – odparł Maciej, a w oczach błysnęły mu łzy.

– Dziwak. Tak mnie określają – odparł, z nikłym uśmiechem próbując ukryć wzruszenie. – Teraz już nie gadaj, bo widzę, że słaby jesteś. Poszukam Stefana, bo coś nie idzie, i przyślę do ciebie, a ty odpocznij. Trudna przeprawa czeka cię z tą stopą, więc zbieraj siły.

Maciej zamknął oczy, a na brudnym, wymęczonym policzku błysnęła łza.

Widok ten wprowadził Józefa w zakłopotanie, więc poprawiwszy płaszcz, udał się na poszukiwanie parobka. Znalazł go na zewnątrz, gdzie przerzucał obornik na przyzbie.

– Stefan! Nie mówił ci Antoni, że masz iść posiedzieć przy Macieju?

– Coś tam mówił – odparł rosły mężczyzna, ocierając pot z czoła. – Hrabio, toć ja nie niańka, a Maciej nie pyzdrek, z którym trza się cackać. Leży sobie, odpoczywa, to co mu tam jeszcze więcej trza?

– Prawda, na niańkę to się nie nadajesz.

– Panie, my nawyklim do roboty, a nie do cackania. Co ja tam bym miał robić, to ja nie wiem.

W głosie mężczyzny brzmiała szczerść. Józef uznał, że Stefan rzeczywiście nie wiedziałby, jak pomóc choremu. Machnął więc zrezygnowany ręką i wrócił do dworu, gdzie nakazał kucharce przygotowanie ziół i wysłanie podkuchennej do opieki nad parobkiem. Kobieta mocno była zdziwiona tym zaleceniem, ale nawykła do słuchania rozkazów jaśnie państwa. Te bywały różne, niekiedy bardzo dziwaczne, więc uznała, że to jedna z fanaberii hrabiego i skoro tak sobie życzy, to tak będzie.

Zadowolony, że wreszcie udało mu się znaleźć kogoś, kto zajmie się Maciejem, ruszył do stajni, gdzie osiodławszy konia, z ulgą wskoczył na jego grzbiet i pocwałował do babki.

Przybył trochę spóźniony, bo przed dworem Izabeli stał już powóz Sackiego. Miał nadzieję, że znajomy babki nie poczyta tego za afront i mimo wszystko udzieli mu odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Od progu dobiegły go wesołe śmiechy, które przegnały wszelkie obawy. Babcia, jak widać, doskonale się bawiła w towarzystwie znajomego. Józef oddał służącemu płaszcz i nie czekając, aż go zaanonsują, wszedł do salo-

niku. Szybko jednak pożałował tego pośpiechu, bo jego obecność wprawiła rozmawiających w lekką konsternację. Babcia gwałtownie wyszarpnęła dłoń, którą trzymał Sacki. Nie umknęło jednak uwadze Józefa, iż łączą ich relacje silniejsze niż przyjacielskie. Ucieszyło go, że babcia po latach żałoby zainteresowała się innym mężczyzną.

– Dzień dobry – odparł, uśmiechając się łobuzersko do Izabeli. – Najmocniej przepraszam za spóźnienie. Miałem drobny problem z parobkiem.

– Nic nie szkodzi. Siadaj. Pana Adama dobrze znasz, więc nie muszę was sobie przedstawiać.

– Oczywiście – odparł, wyciągając rękę do starszego mężczyzny. – Mieliśmy już przyjemność kilka razy ze sobą rozmawiać.

– Owszem, ale niezmiennie zaskakuje mnie pana podobieństwo do babci. Jesteście niemal identyczni.

– Teraz to nie wiem, Adamie, czy schlebiasz mi, czy mojemu wnukowi – zapytała rozbawiona. – Muszę bowiem przyznać, że jest całkiem przystojny i przyjemnie się na niego patrzy.

– Obojgu, moja droga – wybrnął zgrabnie Sacki. – Mam taką słabość, że lubię otaczać się urodziwymi ludźmi.

– Wprawiasz mojego wnuka w zakłopotanie. Zobacz, biedny nie wie, jak zareagować.

– Wcale nie czuję się zakłopotany – zaprotestował Józef. – Cieszy mnie, że masz tak zacnego towarzysza. Jak wyjadę, to nie będę musiał się martwić, że siedzisz tu samotna.

– Planujesz więc wyjechać? Do Gretchen?

– Tak – odparł, siadając w swoim ulubionym fotelu. – I mam nadzieję, że uzyskam dzisiaj informacje, które pomogą mi skutecznie zrealizować plany, które powziąłem.

– Nie będę pytał o plany – wtrącił Adam – ale chętnie podzielę się swoją wiedzą. Proszę więc śmiało pytać o wszystko, co pana interesuje.

Babcia wstała i naleła mu herbatę do filiżanki. Bardzo cenił w niej tę bezpretensjonalność i brak nadęcia. Czuł się tu jak w domu, takim prawdzi-

wym domu, pełnym ciepła i życzliwości, gdzie nie musi uważać na każdy gest i słowa, które mogłyby uchybić uwielbianej przez matkę i brata etykiety.

Podziękował, odbierając od niej parujący napor, i upiwszy łyk, zastanawiał się chwilę od czego powinien zacząć. Interesowało go właściwie wszystko, ale było to jedno, najważniejsze, najmocniej nurtujące go pytanie, które właśnie jako pierwsze postanowił zadać.

– Czy możliwe jest małżeństwo mennonitki z katolikiem?

Adam zacisnął lekko usta i chwycił dłonią swoją brodę, gładząc ją przez chwilę.

– Mennonici niekiedy poślubiają baptystów lub luteranów. Znam nawet taką parę osobiście. Religie anabaptystów są bardzo podobne. Mennonitów dodatkowo wyróżnia pacyfizm. Ich przywódca Menno Simons był zwolennikiem pokoju. Mennonici nie biorą więc udziału w żadnych wojnach. Nie noszą też broni. To bardzo pokojowi, pracowici ludzie o demokratycznych poglądach.

Na twarzy Józefa pojawił się pełen zadowolenia uśmiech, który natychmiast zgasł, gdy usłyszał kolejne zdanie.

– Nigdy natomiast nie słyszałem o małżeństwie mennonity z katoliczką. Tu różnice są dość znaczne, więc nie jest to prosty proces.

– Ale możliwy?

– Jak mówiłem, nie znam takiego przypadku. Poza tym, gdyby mennonitka zdecydowała się poślubić katolika i opuścić swoją wspólnotę, musiałaby wyrzec się swojej wiary, a to z kolei jest dla mnie nieprawdopodobne. Ci ludzie w imię wiary potrafią porzucić swoje miejsce zamieszkania i dobytek. I to właśnie po to, żeby znaleźć miejsce, gdzie będą mogli żyć według swoich zasad. Ich dzieci są wychowywane w umiłowaniu pracy i oddaniu Bogu, więc to stawiają na pierwszym miejscu. Nie sądzę więc, żeby taka opcja była możliwa – zakończył dobitnie.

– Panie Adamie, a gdyby odwrócić sytuację?

– Co masz na myśli?

– Gdyby to mężczyzna zmienił wyznanie z katolickiego na mennonickie? Czy wtedy taki ślub byłby możliwy?

Sacki zerknął na Izabelę, która nieznacznie skinęła głową.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Nie słyszałem o takiej historii.

– Gdyby jednak rozważyć to hipotetycznie? Zna pan tych ludzi, wie, jacy są, jak się zachowują. Czy wyraziliby zgodę na przyjęcie do swojego grona katolika?

Mężczyzna westchnął głęboko i ponownie chwycił za brodę, którą nerwowo pocierał.

– Właśnie, Adamie – pospieszyła w sukurs Izabela. – Załóżmy, że katolik chce poślubić mennonitkę. Co by musiał zrobić?

– Nie sądzę, żeby było to możliwe. Zapewne musiałby zmienić wyznanie. Przyjąć ich wiarę oraz zasady, według których żyją. Nie jest to jednak łatwa droga. Zanim podjęto by jakiegokolwiek działania w tym kierunku, starszy zboru musiałby wyrazić zgodę. I na przyjęcie nowego członka do wspólnoty, i na ślub.

– Teoretycznie więc jest to możliwe – zauważył Józef. – Po spełnieniu określonych warunków.

– Owszem. Jednak istotne jest, na jaki odłam mennonitów trafisz. Teraz co prawda się połączyli, Fryzowie i Flamandowie, ale wciąż widać różnice w ich podejściu do zasad życia we wspólnocie.

– Myślałem, że to jedność – mruknął Józef. – Czymże się więc różnią?

– Fryzowie są bardziej konserwatywni. Surowo przestrzegają wszystkich zasad. Stronią od nowoczesności, a ich ubiór jest niezwykle skromny. Flamandowie są bardziej liberalni. Przekłada się to na ich zachowanie, ubiór i mentalność. Mając jednak na myśli liberalny odłam, trzeba mieć nieustannie w pamięci, że to zamknięta społeczność, żyjąca w sposób zupełnie inny niż my.

– Zgadza się. Zauważyłem, że pracują tak ciężko jak chłopci, ale jedzą i mieszkają jak szlachta.



– To tylko jeden z aspektów. Oni mają inne struktury niż my. Zupełnie inaczej jest u nich wszystko poukładane. Począwszy od pracy, przez edukację, do form samopomocy.

– Rozumiem. Musiałbym się dowiedzieć, z jakiego odłamu się wywodzą ci konkretni mennonici i dopiero wtedy podjąć ewentualne działania.

– Proces na pewno będzie długi i złożony. Zanim jednak się w ogóle rozpocznie, trzeba będzie zyskać akceptację rodziców, co oczywiste, ale i starszego zboru, co dużo bardziej istotne i trudniejsze do osiągnięcia. Oni rzadko przyjmują obcych w swoje szeregi. Boją się, że to zagrozi zasadom i jedności wspólnoty. Niełatwa więc droga przed panem, Józefie.

Hrabia zamyślił się. Słowa wypowiedziane przez Sackiego rozbrzmiewały mu w głowie. Zauważył wiele różnic. Przebywał tam jednak krótko i tak naprawdę niewiele widział. Czy był gotów nie tylko na zmianę wiary, ale i na zmianę sposobu życia?

## Rozdział 25



Wiosnę nie tylko było czuć w powietrzu. Jej oznaki rozpanoszyły się na drzewach, polach i w ogrodach. A jego wciąż nie było. Tego wyczekiwanego i wypatrywanego. Gretchen każdy dzień witała z radością i nadzieją w sercu. Żegnała z rozczarowaniem i łzami w oczach.

Dopadło ją zwątpienie. Ogarnęły niechciane myśli, które psuły każdą przyjemność. „Pewnie to wszystko sobie wymyśliłam. Jak bowiem można coś obiecywać i słowa nie dotrzymać?” „Hrabia pewnie ze mnie zakpił, a ja naiwnie wciąż na niego czekam”. „Może coś mu się stało? Miał wypadek albo zapalenie oskrzeli wróciło? Nie, nie. Tego bym nie chciała. Lepiej już, żeby okazało się, że zażartował ze mnie, a nie, że jest chory”.

Matka baczenie jej się przyglądała, więc Gretchen starała się na każdym kroku pilnować. Wiedziała, że Annchen doskonale wie, co jej doskwiera, ale dopóki nie musiała konfrontować swoich uczuć w rozmowie z nią, dopóty mogła udawać, że problem został rozwiązany.

Niedzielne popołudnie zapowiadało się intensywnie, więc liczyła, że obfitość wydarzeń pozwoli jej chociaż na chwilę zapomnieć o Józefie Koczorskim. Matka z ojcem pojechali do państwa Wiebe i tam mieli zostać aż do wieczora. Planowali zagrać kilka partyjek skata<sup>[15]</sup>, więc oczywiste było, że na wieczorny obrządek nie wrócą. Jacob z kolei pojechał z samego rana do Danzig odwiedzić swojego przyjaciela Conrada. Gretchen miała do wyboru jechać z rodzicami lub bratem, ale zdecydowała, że ten dzień spędzi z Leonore. Minęło już kilka dni od zaślubin i dotychczas nie miała okazji jej odwiedzić. Była bardzo ciekawa, jak przyjaciółka radzi sobie w nowej roli.

Poczekala, az czlonkowie rodziny sie rozjadą, i wypełniwszy koszyk plackiem śliwkowym oraz serami, przy których ostatnio eksperymentowała z dodatkami, ruszyła do domu Friesenów. Mieszkali kilkaset metrów dalej, więc po kilkuminutowym spacerze była na miejscu.

Zauważyła, że przyjaciółka przez te kilka dni swoich rządów w nowym domostwie zdążyła uporządkować podwórko. Wszystko było idealnie wygrabione, a ścieżka prowadząca do domu świeżo wysypana kamykami. Isaak nie miał czasu zajmować się takimi drobiazgami, a jego matka koncentrowała się głównie na dzieciach oraz przygotowywaniu posiłków, więc ostatnimi czasy podwórce nie było zbyt starannie wypielegnowane. Choć oczywiście nie można powiedzieć, że panował tam chaos czy bałagan. Nie, po prostu brakowało kobiecej ręki, która by wszystko odpowiednio dopieściła.

Zanim zapukała, drzwi otworzyły się na oścież. Rozpromieniona Leonore ubrana w elegancką popielatą suknię ozdobioną delikatnym koronkowym kołnierzykiem powitała ją szerokim uśmiechem.

– Gretchen! Jak się cieszę, że mnie wreszcie odwiedziłaś. Od rana o tobie myślałam i chyba tymi myślami cię ściągnęłam.

– Pięknie wyglądasz, Leonore – powiedziała z nieukrywanym podziwem Gretchen. – Małżeństwo ci służy.

Dziewczyna lekko się zarumieniła, ale uśmiech, który stał się jeszcze szerszy niż przed chwilą, potwierdził, że przyjaciółka odnalazła szczęście u boku Isaaka.

– Wchodź, moja droga. Zrobię nam pyszną kawę i o wszystkim porozmawiamy. Pójdziemy chyba do wielkiej izby, jak myślisz? Dopiero kilka dni tu gospodarzę i jesteś moim pierwszym gościem. Matka zawsze gości zapraszała do pokoju paradnego, ale nie wiem, czy wolisz tam, czy może do białej kuchni? – wyrzucała z siebie raz po raz, nie dając Gretchen dojść do słowa. – Wiesz, dawniej cię zapraszałam do mojego pokoju, ale tu dzielę go z Isaakiem, więc rozumiesz.

– Naturalnie, rozu...

– Poza tym – Leonore nie dała jej dokończyć zdania – tu jestem gospodynią, więc chyba jednak usiądziemy w wielkiej izbie? Zobaczysz, jaka jest piękna. Trochę ją ozdobiłam serwetkami i obrusami z mojej wyprawy, ale jeszcze parę zmian chcę wprowadzić. Wiesz, przez ostatni czas była mało używana. Matka Isaaka miała tyle pracy z dziećmi, że na upiększanie domu jej nie starczało czasu. I ja powoli się w to wszystko wdrażam...

– Z chęcią zobaczę.

– Och, rozgadałyśmy się i stoimy w wejściu. Zapraszam do środka.

Gretchen na końcu języka miała uwagę, kto się rozgadał, ale powstrzymała się przed jej wypowiedzeniem. Przyjaciółka tak się wszystkim ekscytowała, że nie chciała jej psuć nastroju.

W sieni dostrzegła małego chłopca, który przytulony do masywnej balustrady ciekawie spoglądał na gościa.

– Dawidzie, nie chowaj się. To bardzo niegrzecznie – pouczyła go Leonore. – Chodź się przywitać z moją przyjaciółką Gretchen Dyck.

– Dzień dobry – powiedział nieśmiało, po czym podbiegł do swojej macochy i przytulił się do jej sukienki, wciskając głowę pod jej rękę.

Dziewczyna pogładziła go czule po włosach.

– Pomyślałby kto, że ty taki wstydlivy. Nie daj się zwieść, Gretchen. Dawid jest najmłodszy, ale najbardziej rozgadany z całej trójki.

– Cześć, Dawidzie. – Gretchen kucnęła przy chłopcu, żeby nie patrzeć na niego z góry. Nie lubiła tego, gdy była dzieckiem, i starała się o tym pamiętać w życiu dorosłym. – Miło mi ciebie poznać.

Chłopiec jeszcze mocniej przytulił się do Leonore, wywołując na jej twarzy tkliwy uśmiech.

– Korzystając z tego, że się wstydzi, będziemy mogły spokojnie porozmawiać. Wejdz do izby, tu po prawo, a ja przygotuję nam kawę.

– Proszę. – Gretchen podała przyjaciółce koszyk. – Przyniosłam placek i trochę moich wyrobów.

– Miło z twojej strony. Dziękuję. Co prawda upiekłam szarlotkę, ale twoje wypieki bardzo lubię, więc ukroję nam do kawy i jedno, i drugie.

Dawid poszedł razem z macochą do kuchni, więc Gretchen sama udała się do izby i ze spokojem mogła wszystko obejrzeć.

Masywny stół przykrywał misternie wydziergany obrus. Leonore spędziła nad nim wiele miesięcy. Wzór był bardzo trudny, ale cierpliwie dziergała kawałek po kawałku i efekt był zachwycający. Wnętrze wymagało odświeżenia, ale elementy dodane przez młodą panią domu sprawiły, że izba nabrała eleganckiego sznytu i była bardzo przytulna.

Gretchen zastanawiała się, jak będzie wyglądał jej dom. Czy będzie to podłużny budynek, jak u rodziców i Leonore, łączący funkcję mieszkalną z gospodarczą? Czy może zamieszka w domu podcieniowym? Bardzo jej się podobały domy z okazałymi podcieniami. W słoneczne dni można było się tam schować przed słońcem i w przyjemnym chłodzie łuskać groch czy fasolę, a jesienią można było tam wykonywać wiele prac. Poza tym kunsztownie zdobione bale i dodatki miały niesamowity urok. A może przyjdzie jej zamieszkać w małym, drewnianym domku wiejskim?

„Najpewniej wiele lat jeszcze spędzę u rodziców, rozpamiętując nieustannie słowa Józefa, które, jak widać, zostały pochopnie wypowiedziane” – pomyślała zła na siebie i uczucia, które nią zawładnęły.

– Już jestem i zaraz ci wszystko opowiem.

Leonore postawiła tacę na stole i zwinnymi ruchami porozkładała naczynia. Gdy naląła do filiżanek kawy, podała Gretchen dzbanuszek ze śmietaną oraz cukiernicę ze szczypcami, w której połyskiwały bryłki cukru.

– Gdzie reszta domowników?

– Isaak zabrał starszych chłopców do rodziców jego zmarłej żony. Co jakiś czas ich odwiedza. Mały nie chciał jechać, więc został ze mną. Zresztą wolałam zostać w domu. Są życzliwie do mnie usposobieni, ale czułabym się tam niezręcznie.

– Też bym wolała zostać. Tym bardziej, że tak naprawdę dopiero się tu urządzasz.

– Właśnie. Nie wiem, w co ręce włożyć. Chciałabym wszystko poprawiać, ulepszać, a wiadomo, codziennych obowiązków jest tyle, że trudno wygo-

spodarować na nadrabianie zaległości.

– Jak zareagowali chłopcy? – Gretchen ściszyła głos, żeby bawiący się w kąciku Dawid nie usłyszał jej pytania. – Zaakceptowali cię?

– Najmłodszy od razu do mnie przylgnął i choć jest trochę męczący, bo zazwyczaj ciągle o coś pyta, to jest bardzo pocieszny i w sumie mi najbliższy. Czuję, jakby był moim prawdziwym synem – odparła ledwo dosłyszalnie. – Środkowy, Adolf, jest trochę nieufny, jednak powoli zaskarbiam sobie jego sympatię. Największy problem mam z Christianem. Jest grzeczny, bardzo spokojny, ale pamięta matkę i często widzę, jak popłakuje po kątach. Próbowałam z nim rozmawiać, ale to jak rozmowa ze ścianą. Słucha, potakuje i nic z tego nie wynika.

– Minie trochę czasu, zanim przywykną. Nie martw się, pokochają cię.

– Mam nadzieję, bo łatwo nie jest. Są w takim wieku, że wymagają jeszcze opieki i sporo przy nich pracy. Isaak rzadko jest w domu, więc za nim też tęsknią i jak tylko wraca, to od razu go oblegają. Niewiele mamy czasu dla siebie. Tak, żeby bliżej się poznać.

– Widzę jednak, że promieniejesz na samo wspomnienie męża, więc chyba tak źle z tym poznawaniem się nie jest – odparła z uśmiechem Gretchen.

– Wiesz, wpadłam w wir obowiązków i próbuję to wszystko poukładać. Nie jest łatwo, ale Isaak jest bardzo wyrozumiały i wspiera mnie we wszystkim. Bałam się, że będzie niecierpliwy i wymagający, wszak jest starszy ode mnie i więcej wie o życiu i wszystkim, co się z tym wiąże. – Mocny rumieniec okraślił jej policzki, rozlewając się aż na dekolt. – Ale niepotrzebnie się martwiłam. Jest wspaniałym mężem.

– Wiedziałam, że wam się ułoży. Pasujecie do siebie, a resztę wypracujecie i z czasem idealnie się ułoży.

– Dziękuję, że zawsze mnie wspierasz. Spróbuj, proszę, mojej szarlotki i powiedz, czy dobra.

Gretchen nałożyła sobie kawałek ciasta i z przyjemnością wzięła się do pałaszowania.

– Pychota. Uwielbiam twoje wypieki.

– Dziękuję. Wiesz – popatrzyła bystro na przyjaciółkę – na swoim gospodarzy się zupełnie inaczej niż u rodziców. Może i ty byś pomyślała o wyjściu za mąż? Chętnych przecież nie brakuje. Słyszałam to i owo od matki. Podobno Conrad całkiem poważnie myśli o małżeństwie z tobą.

Pytanie tak ją zaskoczyło, że Gretchen zakrztusiła się ciastem. Leonore usłużnie popukała ją po plecach i podała filiżankę z kawą, żeby popiła.

– Oszalałaś! Conrad?

– Dlaczego nie? Jest pracowity, ma dostać sporo ziemi od rodziców, a i wygląda całkiem przyzwoicie.

– Przy tym jest mrukliwy i trudno z nim normalnie porozmawiać.

– Chyba przy tobie się tak stresuje. Rozmawiałam z nim kilka razy i jest całkiem sympatyczny.

– Dziękuję bardzo. Jakoś w ogóle nie widzę go w roli mojego męża.

– Przemyśl to. Conrad jest dobrym kandydatem.

– Coś się tak uparła na swatanie mnie? Zresztą ostatnio co i rusz ktoś mnie nagabuje na ten temat.

– Jesteś w wieku idealnym do zamążpójścia, więc to nic dziwnego.

– Wiesz, dziwne jest to, że jeszcze niedawno sama się oburzałaś, gdy ktoś pytał cię o plany matrymonialne, a teraz zachowujesz się jak nasze matki i ciotki.

Leonore roześmiała się serdecznie.

– To pewnie dlatego, że sama jestem świeżo po ślubie i bardzo sobie ten stan chwale. Warto wyjść za mąż, więc z serca ci to doradzam.

– Dziękuję, nie potrzebuję takich rad. Przyjdzie czas, to wyjdę za mąż.

– Nie obruszaj się tak. Przecież nie miałam nic złego na myśli. – Widząc oburzenie przyjaciółki, Leonore próbowała załagodzić sytuację. – Martwię się tylko, że po wyjeździe tego hrabiego tak się zmieniłaś. Jesteś wiecznie nieobecna myślami i jakby smutna.

– A kiedyż to zauważyłaś?

– Nie zapominaj, że jestem twoją przyjaciółką i doskonale cię znam. Wi-  
działam to w czasie przygotowań do moich zaślubin, a i na uroczystości  
byłaś bardzo przygaszona.

Gretchen przygryzła wargę. Była przekonana, że doskonale maskuje  
swoje uczucia, ale jak widać, była w błędzie. Nie udało jej się zmylić ani  
matki, ani przyjaciółki.

– To było zmęczenie. Sporo się wtedy działo.

Leonore popatrzyła na nią spod przymrużonych powiek. Gretchen wy-  
trzymała jej świdrujące spojrzenie, ale przyszło jej to z niemałym trudem.

– Skoro tak twierdzisz... – Przyjaciółka wzruszyła ramionami. – Choć  
trochę mi przykro, że nie chcesz podzielić się ze mną tym, co cię naprawdę  
trapi.

– Leo, kiedy ja sama nie wiem, co mi dolega – przyznała po chwili. – Pró-  
buję wszystko poukładać w głowie, ale wszystko, co sobie ułożę, rozpada  
się jak domek z kart.

– Czyli jednak chodzi o hrabiego?

– Poniekąd. Był u nas krótko, ale przyzwyczaiłam się do jego obecności.

– Zakochałaś się?

– Nie. To by było śmieszne!

– Dlaczego?

– Przecież wiesz. On jest hrabią, katolikiem, a ja? Dwa zupełnie różne  
światy, które nigdy się nie zetkną.

– Życie potrafi zaskakiwać. Też nie sądziłam, że wyjdę za wdowca  
z trójką dzieci.

– To co innego.

– Naturalnie, że innego, a jednak nigdy nie przypuszczałam, że taka bę-  
dzie moja przyszłość, więc i ciebie może los zaskoczyć.

– Nie sądzę.

– Powiedz, gdybyś mogła, poślubiłabyś hrabiego?



Gretchen rozważała przez chwilę to pytanie. Serce głośno wołało, że tak. Rozum zaś wiedział, że to nie jest możliwe.

– Nie wiem.

– Coś mi się wydaje, że wiesz, ale nie chcesz mi odpowiedzieć. Albo sama siebie oszukujesz. Niemniej, nie będę cię już męczyła tym tematem, bo widzę, że cię to denerwuje. Pokażę ci moją kuchnię i zmiany, jakie wprowadziłam. – Leonore energicznie wstała od stołu. – A do tematu hrabiego wrócimy za jakiś czas. Jak sobie to wszystko przemyślisz.

– Nie ma nad czym myśleć. Nie ma hrabiego, nie ma tematu.

Leonore pokiwała z rozbawieniem głową i zawoławszy Dawida, ruszyła ku kuchni. Gretchen niechętnie poszła za nią. Miała dość tego spotkania i jedyne, o czym marzyła, to powrót do domu. Do domu sprzed tygodni, tego, w którym jest Józef, Antoni i wiele okazji do rozmów lub wymiany spojrzeń.

## Rozdział 26



Miał wrażenie, że zarówno matka, jak i brat odetchnęli z ulgą, gdy im oznajmił, że znowu wyjeżdża. Widział, że Karol aż się pali, żeby ponownie wprowadzić swoje rządy w majątku. Matka zaś przyklaskiwała każdemu pomysłowi młodszego syna. Planowała też urządzać kilka wieczorków, a może nawet i bal. Usilnie poszukiwała dla nich odpowiednich żon. Józef stanowczo odmówił swataniu go z jakąkolwiek, uznaną przez matkę za odpowiednią, szlachcianką. Karolowi zaś schlebiało, że jest tak pożądaną partią, i łaskawszym okiem patrzył na działania matki. Zgodził się nawet pójść na kilka aranżowanych spotkań.

Józef naprędce szykował się do wyjazdu, wciąż jednak coś wymagało jego interwencji i opóźniało podróż. Gdy jednak drzewa wiśniowe obsypały się kwiatem, uznał, że nie może dłużej zwlekać. Zrezygnował z powozu na rzecz jazdy wierzchem. Była to najszybsza, choć dość męcząca, forma podróży. Miał mu towarzyszyć Antoni, który z radością powitał wieść, że ponownie odwiedzi rodzinę mennonicką.

Jedynie Maciej ubolewał nad ich wyjazdem. Lekarz usunął pogruchotane kości i zabezpieczył skórę przez infekcją. Opatrunki jednak musiały być zmieniane dwa razy dziennie i parobek bał się, że jak tylko hrabia minie bramę, Karol bez skrupułów wyrzuci chłopca z pracy. Józef też się tego obawiał, więc umieścił parobka w majątku babci, która obiecała zająć się chorym.

Izabela jako jedyna była wtajemniczona w jego plany i szczerze mu kibicowała w ich realizacji. Wiedziała, że wnuk nie pasuje do roli, którą przyniosło mu wyniesienie rodziny Koczorowskich do tak wysokiej rangi. Bała

się, że chłopak zmarnuje życie, próbując dostosować swoje zachowanie do narzuconych norm. Woląla widzieć go szczęśliwym niż bogatym i utytułowanym.

– Ruszamy, Antoni, koni nie żałujmy. Bardzo daleka droga przed nami, więc chcę pokonywać jak największe odległości każdego dnia.

– Dobrze, panie hrabio – odparł stangret z szerokim uśmiechem ukazującym wyjątkowo zdrowe jak na chłopca zęby. – Dziękuję, że mnie pan hrabia zabiera ze sobą.

– Tak, widzę, że i na tobie pobyt u mennonitów odcisnął piętno. Wyskoczyliśmy z ram i teraz trudno nam wrócić na dawne tory.

– Prawda, panie. Byliśmy tam niedługo, a zdaje się, jakby całe życie tam człowiek spędził.

– Jedźmy więc, będzie dość czasu na rozmowy po drodze.

Ruszyli, a każdy metr oddalający ich od dworu nappełniał serca radością. Józef miał wrażenie, że spada z niego niewidzialny balast złożony z niespełnionych oczekiwań bliskich, narzuconych etykietą form zachowań oraz pozbawionych uczuć relacji rodzinnych.

Podróż była długa i męcząca. Stawali w zajazdach późnym wieczorem, a ruszali o świcie, robiąc tylko krótkie przerwy na posiłek dla siebie i koni, które potrzebowały odpoczynku. Czas ten poświęcali na rozmyślenia, ale i na rozmowy. Antoni z każdym dniem czuł się swobodniej w towarzystwie hrabiego. Zaskakiwał Józefa trafnymi sądami i wnikliwymi analizami. Hrabia musiał przyznać, że zyskał w stangrecie doskonałego towarzysza podróży. Mile go to zaskoczyło, ale i pokazało, jak ograniczone i schematyczne jest myślenie szlachty. Jak ważni i lepsi się czują. Nikomu, jemu również, nie przyszłoby do głowy, że można tak ciekawe rozmowy na różne tematy prowadzić z prostymi, niewykształconymi ludźmi, których język co prawda pozostawiał trochę do życzenia, lecz sens i logika wypowiedzi były nie do przecenienia.

W czasie ostatniego postoju hrabia przywdział swoje najlepsze ubranie oraz wyglansowane przez Antoniego buty. Wąs dokładnie przystrzygł,

a fryzurę tak długo poprawiał, aż zaczęła się układać zgodnie z jego życzeniem.

– Elegancko pan wygląda – skwitował Antoni, podając mu płaszcz. – Ciekawe, czy po drodze ubranie się nie ubłoci. Niby sucho, a jednak ziemia się odrywa i rozbryzguje przy galopie.

– Będziemy jechali wolno. Jest wcześniej, nic nas nie goni.

– Do barona Chrzanowskiego zajeżdżamy?

– Nie, tu zarezerwowałem nocleg na kilka dni. Nie zamierzam wysłuchiwać pouczeń Ignacego.

– To idę osiodłać konie.

– Idź, ja też już schodzę.

Gdy stangret wyszedł, hrabia obejrzał się jeszcze kilka razy w małym, zamglonym ze starości lusterku i zszedł na podwórze. Nie zwlekając, ruszyli w drogę, a w nim z każdą chwilą narastały wątpliwości. Co, jeśli Gretchen nie jest nim zainteresowana? To piękna i mądra kobieta, więc może będzie wolą kogoś ze swojej wspólnoty niż jego, innowiercę?

„Zapytasz, to się dowiesz” – rugał się myślach. „Nie ma co gdybać i roztrząsać”. Wypowiedzieć pouczenie jest łatwo. Gorzej wprowadzić je w życie.

Ostatnie kilometry wlokły się niemiłosiernie. Gdy wreszcie dostrzegł dom Gretchen, siłą woli musiał się powstrzymać przed wbiciem ostróg w boki konia. Nie mógł wjechać na podwórko jak jakiś oszalały wariat. Poza tym miał mocno zakodowane w pamięci słowa Antoniego o błocie. Starając się o rękę ukochanej, szczególnie w tak trudnych okolicznościach, musiał zadbać o każdy szczegół.

Czuł całym sobą to miejsce. Wzruszoną ziemię, przetrawione liście oraz mgły ponad koronami drzew. To był zapach, za którym tęsknił w Witosławiu. Zresztą, tęsknił za wszystkim. Za miejscem, ludźmi, a najbardziej za Gretchen.

Na podwórku nikogo nie było widać. Zsiadł z konia i podawszy Antoniemu lejce, z lekkim wahaniem zapukał do drzwi. Cisza. Zapukał raz jesz-

cze. Nic.

– Środek tygodnia, panie. Może w polu są?

Józef jednak nie tracił nadziei. Zastukał raz jeszcze, tym razem głośniejsze. Po chwili usłyszał szybkie kroki w sieni. Drzwi otworzyła mu Gretchen. Widok dziewczyny ubranej w codzienną sukienkę opasaną białym fartuchem, który tyle razy widział, mieszkając pod ich dachem, wywołał w nim przyspieszone bicie serca.

Nie czekając na to, co powie, chwycił jej rękę i przycisnął do ust.

– Gretchen! – To jedyne, co był w stanie z siebie wydusić. Patrzył w jej ciemne, pełne niedowierzania, smutku, ale i radości oczy i miał ogromną ochotę ją przytulić, a później całować i całować. Jej słowa szybko jednak sprowadziły go na ziemię.

– Co hrabiego do nas sprowadza? Kolejna awaria na drodze?

– Nie. – Chłód bijący z jej słów mocno go zabołał. – Przecież wiesz, rozmawialiśmy, pamiętasz?

– Nie wiem, czy pamiętam. Dawno to było. Wiosna w pełnym rozkwicie.

– Wybacz. Musiałem uporządkować kilka spraw, ale jak tylko to zrobiłem, od razu wskoczyłem na konia i nie bacząc na deszcz ani wiatr, jechałem tyle, ile koń był w stanie zrobić każdego dnia.

Dziewczyna milczała, spoglądając na niego z powątpiewaniem.

– Prawdę rzekłem. Poza tym nie było dnia, godziny, żebym nie myślał o tobie.

– Tak? Cóż to były za myśli?

– Gretchen, chcę cię poślubić. Zrobię wszystko, żebyśmy byli razem.

Zbladła. Czekwała na te słowa. Wiele razy je sobie wyobrażała. Próbowwała wymyślić, co by powiedziała, gdyby padły, ale tak jak w imaginacji, tak i w rzeczywistości brakło jej słów.

– Zechcesz wyjść za mnie?

– Nie wyrzeknę się mojej wiary – odparła ledwo dosłyszalnym szeptem.

– Nie śmiałybym cię o to prosić. Wiem, jak ważna jest dla ciebie wiara, twoja rodzina oraz miejsce, w którym żyjesz. Powiedz tylko, że mnie poślubisz. Resztą się zajmę.

– Ale jak? Jesteś przecież katolikiem. Hrabią w dodatku. To przecież niemożliwe.

– Zrzeknę się tytułu i przyjmę twoją wiarę.

– Naprawdę?

– Gretchen, dla ciebie jestem w stanie wyrzec się wszystkiego. Musisz tylko powiedzieć, że mnie chcesz.

Górna warga zaczęła jej lekko drżeć, podobnie, jak dłonie, które mocno przyciskała do swojego policzka. Chciała go, bardzo go chciała! Wciąż jednak nie dowierzała, że jest gotów porzucić swoje dotychczasowe życie by ją poślubić.

– Wiesz, jak wygląda nasza codzienność. Nie mamy służby. Naturalnie w zniwa zatrudniamy parobków, ale resztę prac wykonujemy sami. I choć mamy styczność ze światem zewnętrznym, to raczej stronimy od niego. Jesteś gotowy na takie życie?

– Jeśli będziesz u mojego boku, to jestem gotów na wszystko. Wiem, że niewiele potrafię, ale nauczę się. Kupię ziemię gdzieś niedaleko, żebyś miała blisko do rodziny i przyjaciół. Wdrożę się w wasze zasady. Zaufaj mi, proszę.

Wspomnienie Józefa grabiącego podwórko wywołało uśmiech na jej twarzy. Nie widziała go w roli rolnika uprawiającego ziemię, zajmującego się bydłem, przetwarzającego zbiory. Pamiętała też jego zapał, determinację i chęć zdobycia wiedzy. Tym jej zaimponował. Jeśli on był gotów porzucić swoje życie dla niej, to prawdziwie musiał ją kochać. Tylko człowiek miłujący jest gotów do takich poświęceń.

Oczy rozjaśniła jej radość. I miłość.

– Dobrze. Poślubię cię i będę stała u twojego boku – odparła z czułością w głosie. – Tylko to nie jest takie proste. Moje zdanie jest tu najmniej ważne.

– Rozumiem. Twój ojciec sprawia wrażenie życzliwego i otwartego. Wierzę, że uda mi się go przekonać. Jeśli on i twoja matka mnie zaakceptują, to wspólnie przekonamy starszego zboru.

Za plecami dziewczyny rozległo się szuranie. Annchen, którą zdziwiła długa nieobecność córki w oborze, ruszyła na jej poszukiwania. Na widok hrabiego ściskającego rękę Gretchen pobladła.

– Pan hrabia? Cóż się stało?

Spłoszona dziewczyna wysunęła dłonie z rąk hrabiego i schowawszy je w kieszenie fartucha, odsunęła się na bok.

– Dzień dobry, pani Dyck. Przyjechałem prosić o rękę państwa córki.

Kobieta wydała cichy okrzyk i upuściła trzymany w ręku skopek z mlekiem, który upadł z łoskotem, obryzgując zarówno podłogę, jak i stojących w progu ludzi. Hrabia uznał, że to nie jest dobry znak, ale mimo wszystko postanowił walczyć o związek z ukochaną kobietą.

– Zaskoczyłem panią. Przepraszam. Mam jednak poważne zamiary i jeśli pani pozwoli, to chciałbym porozmawiać z panią i jej mężem.

– Gretchen, zawołaj ojca, a później zetrzyj podłogę – odparła drżącym głosem kobieta. – Niech pan wejdzie. Propozycja jest niedorzeczna, ale to już mój mąż panu wytłumaczy.

Hrabia podziękował, posłał Gretchen pełne miłości spojrzenie i omijając mleczne kałuże, wszedł do środka. Słowa Annchen, mimo negatywnego wydźwięku, wlały otuchę w jego serce. Skoro zgodziła się na rozmowę, to jest cień nadziei, że uda mu się ich przekonać.

## Rozdział 27



Oczekiwanie na przyjscie Heinricha Dycka dluzylu mu sie niesamowicie. Kazda minuta ciagnela sie w nieskonczoność, a szmer, szuranie czy tez slyszane co jakis czas kroki wywoływaly w Józefie przyspieszone bicie serca. Czul sie jak sztubak czekajacy na burę za popełnione przewiny, a nie jak zamożny hrabia, który chce prosic o rękę ukochanej.

Wreszcie nastapila chwila, na która czekał, ale i której sie obawial. Do srodka wszedł ojciec Gretchen. Męczyzna ubrany był odświeżenie, włosy miał świezo uczesane. Józef domyslil sie, ze przyjscie Dycka przeciągalo sie, gdyż chcial go odpowiednio powital. Uznal to za dobry znak. Tuż za nim weszla Annchen, niosac tacę z kawą, filiżankami oraz ciastem. Mąż zamknal za nią drzwi. Jasny znak, ze rozmowa będzie sie odbywala bez obecności Gretchen.

Nie bylo to nic dziwnego. Wśród szlachty był to powszechny zwyczaj. Tak samo jak to, ze małżeństwa były kojarzone przez rodziców, a młodzi niewiele mieli w tej kwestii do powiedzenia. Szczególnie kobiety, których zazwyczaj nie pytano o zdanie, a po prostu oznajmiano to, co zostalo ustalone. Małżeństwa z miłości naprawde nalezaly do rzadkości. Domyslal sie, ze podobnie jest u mennonitów. Choć z tego, co mowil Adam Sacki, oni byli bardziej liberalni w tej kwestii niz szlachta.

– Dzień dobry, panie hrabio – przywital sie dość powściągliwie Dyck, lustrujac wnikliwie przybylego gościa. – Dzień dobry. – Przyjechał pan po sanie bez wozu? Jakże to tak?

– Nie przyjechałem po sanie.



Mężczyzna uniósł krzaczaste brwi, po czym zajął miejsce na wprost hrabiego. Annchen rozstawiła filiżanki, nałóżła im kawy i wyszła. Trochę to zaskoczyło Józefa, bo liczył, że będzie obecna przy rozmowie. U nich co prawda żony też nie uczestniczyły w takich pertraktacjach, liczył jednak, że u mennonitów jest inaczej. Widać, Sacki nie do końca znał się na ich zwyczajach. Albo trafił na ten fryzyjski odłam, który jest bardziej konserwatywny.

– Cóż więc hrabiego do nas sprowadza?

– Chciałbym poślubić pana córkę.

– Poślubić? – Mężczyzna zmarszczył brwi i wykrzywił usta w lekkim grymasie. – To u was nie ma panien na wydaniu?

– Są, oczywiście, że są. Jednak one mnie nie interesują. Pragnę ożenić się z Gretchen.

– Dlaczegoż to? Czyżby zaszła jakaś pilna konieczność? Coś się stało podczas pana pobytu u nas? – zapytał, dwuznacznie mrużąc oczy, co nadało jego twarzy dość groźny wygląd.

– Nie, absolutnie – odparł Józef z oburzeniem w głosie. – Nic z tych rzeczy! Proszę nawet nie insynuować, że śmiałybym w czymkolwiek i jakkolwiek uchybić pana córce.

Twarz mężczyzny lekko się rozpogodziła, lecz brwi pozostały uniesione i zmarszczone.

– Skąd więc zainteresowanie moją córką? W pana otoczeniu jest na pewno mnóstwo piękniejszych i bardziej odpowiednich panien.

– Nie ma ani piękniejszej, ani odpowiedniejszej – stwierdził stanowczo. – Zakochałem się w Gretchen i pragnę ją poślubić.

– Miłość jest ulotna – przerwał mu Heinrich. – Człowiek się zauroczy, zachwyci, świata poza ukochaną nie widzi, a później przychodzi codzienność, w której trzeba czegoś więcej. Rozumie pan, wzajemne zrozumienie, szacunek, możliwość porozmawiania na bieżące tematy. To ważne, ważniejsze niż miłość, a wy pochodzicie z zupełnie różnych światów. O czym będziecie rozmawiali, gdy minie uczucie zwane miłością?

– Rozumiem pana obawy, ale to nie fanaberia ani żaden kaprys. Gretchen uosabia to wszystko, za czym w życiu tęskniłem i o czym marzyłem. Jest inteligentna, bystra, realnie patrzy na świat i bardzo twardo stąpa po ziemi. Nie interesują mnie kobiety filuterne, które machają rzęsami, pięknie się uśmiechają i szczebioczą nie wiadomo o czym. Pragnę kobiety rozumnej, prostolinijnej, której obcej są knowania i ekscytowanie się błahostkami. Chcę móc rozmawiać z żoną o wszystkim i chcę, żeby widziała we mnie partnera do rozmowy, do tego właśnie codziennego życia, a nie osobę, przed którą trzeba się krygować.

Heinrich nie spuszczał z niego wzroku. Wreszcie odkaslnął, upił łyk kawy i westchnął ciężko.

– I to wszystko widzi pan w Gretchen?

– Tak.

– Co będzie, gdy okaże się, że jest inna, niż pan sobie wyobraził? Nie znacie się dobrze, więc skąd pan może wiedzieć, że nie jest swarliwa, głupia albo leniwa?

Józef roześmiał się, a napięcie, które cały czas trzymało go w okowach, zniknęło.

– Czasami człowiek zna kogoś wiele lat, a tak naprawdę nie wie, jaki jest. Gretchen znam krótko, to fakt, ale nie jest ani głupia, ani leniwa, a już na pewno nie swarliwa. Wychowali ją państwo na pracowitą, szczerą, myślącą osobę. To są cechy, których nie da się udawać. Albo się je ma, albo nie.

– Gretchen jest mennonitką. Jeśli zdecyduje się pana poślubić, będzie musiała stąd wyjechać. To oczywiście naturalne. Każda córka po ślubie opuszcza dom rodzinny i podąża za mężem, ale w jej przypadku byłby to wyjazd na zawsze. Opuściłaby nie tylko rodzinę, ale swoją wiarę, wspólnotę, wszystko to, co zna, wierzy i co jest jej bliskie.

– Nie wymagam tego od niej.

Heinrich zaśmiał się gorzko.

– Pan może nie, ale nasza wspólnota ma zasady, których przestrzega. Porzucając naszą wiarę, nie będzie już jedną z nas. Stanie się obca.

– Nie chcę, żeby Gretchen porzuciła rodzinę i wiarę.

– Jak więc pan to sobie wyobraża?

– Zrzeknę się tytułu. Mój młodszy brat od zawsze marzył, żeby zostać hrabią. Matka na pewno będzie zszokowana, ale i ona uważa, że Karol, znaczy mój brat, bardziej się nadaje na hrabiego niż ja.

– Czemuż pan się nie nadaje?

– Mam inną wizję życia. Nie interesuje mnie etykieta, konwenanse oraz styl życia, którego wymaga się od osób z tytułem. Gdyby nie rodzina, żyłbym całkiem inaczej. Jednak oni mają wobec mnie określone oczekiwania, a ja chcę żyć po swojemu.

– I dlatego musi się pan zrzec tytułu?

– Nie – odparł Józef. – Zrzeknę się go dla Gretchen. U was nie ma hierarchizacji oraz podziału na stany społeczne, więc mój tytuł jest przeszkodą. Przeszkodą, którą z chęcią usunę z korzyścią dla siebie i dla mojej rodziny.

– Co z pana wiarą?

– Tak naprawdę Bóg jest jeden dla wszystkich. Wierzymy w tego samego Stwórcę, który tak samo kocha mennonitów, luteranów, baptystów, jak i katolików. Nie wyrzekam się wiary w Boga, a jedynie zmieniam formę kultywowania.

– Był pan wychowany w wierze katolickiej. Macie papieża, biskupów, księży, rozbudowane msze i różne inne święta, których my nie obchodzimy. Nie będzie panu tego brakowało?

– Nie. Najważniejsze święta i wy obchodzicie, a reszta jest tak naprawdę wymysłem Kościoła, tradycją, która wsiąkła w katolicyzm, a nie jest fundamentem wiary.

Odpowiedź Józefa zapewne spodobała się Dyckowi, gdyż brwi wróciły do naturalnego ułożenia, a w oczach pojawił się błysk uśmiechu.

– Widzę, że przemyślał pan to sobie.

– Owszem. Jak mówiłem, to nie jest kaprys ani fanaberia. Przemyślałem to dokładnie. Zgadzam się również z waszym pacyfistycznym podejściem

do życia. Nigdy nie cechowała mnie chęć do wojaczki, walki czy pojedynków. Wolę pokojowe rozwiązywanie problemów.

– Pomyślmy, zrzeknie się pan tytułu i jak rozumiem majątku, który jest przynależny do tytułu. Z czego pan zamierza żyć?

– Część dóbr jest niedziedziczna. Poza tym mam sporo odłożonej gotówki z interesów, które prowadziłem, zanim zostałem hrabią. Tytuł jest w naszej rodzinie zaledwie kilka lat i tak naprawdę nikt się nie spodziewał, że go otrzymamy. Bez żalu więc zrzeknę się wszystkiego, co z nim związane, na rzecz brata, bo to, co posiadam, starczy na zakup ziemi, postawienie domu i godne życie.

– Rozumiem, że zamierza pan postawić dom, kupić ziemię i nająć ludzi, żeby za pana ją uprawiali?

– Nie będę ukrywał, że mało wiem o pracy na roli. Nigdy nie pracowałem fizycznie w polu, ale chcę się nauczyć wszystkiego, co potrzebne. W czasie żniw zapewne będę korzystał z pomocy parobków, ale takie codzienne prace gospodarskie chciałbym wykonywać sam.

– Czy jest pan gotów zmienić swoje życie tak diametralnie? Przecież hrabia nawet nie wie, z czym to się wiąże, jakie prace i kiedy należy wykonać – zauważył sceptycznie Dyck. – To ciężka, męcząca praca. Szczególnie dla kogoś, kto nie przywykł do takiego wysiłku.

– Wiem. Są książki o rolnictwie, będę się z nich uczył. Mam nadzieję, że i pan mi podpowie, tak na początek, co trzeba. Szybko się uczę, a chęci mam ogromne. Wprawy, owszem, brakuje, ale niech pan nie myśli, że chcę dalej prowadzić życie, które znam, tylko w innym miejscu. To nie ma być zmiana kosmetyczna, a diametralna. To będzie moja ziemia – powiedział Józef z naciskiem – poznam ją, jej słabe i mocne strony, nauczę się jak ją uprawiać, żeby rodziła dobre plony. Nie będzie łatwo, wiem o tym doskonale, ale jestem gotów zmienić swoje życie.

– I to wszystko z miłości? – zapytał Heinrich Dyck.

– Przede wszystkim z miłości, ale też dlatego, że moje dotychczasowe życie mnie nie cieszy. Jest puste i sztuczne. Nie potrafię czerpać radości z tego, co posiadam, choć mam naprawdę wiele. Brakuje mi relacji

z ludźmi, takich prawdziwych, brakuje mi rodziny i więzi rodzinnych, takich, jak widziałem u was. Chcę stworzyć z Gretchen dom i rodzinę, która będzie się wspierała i rozumiała.

– Romantyk z pana.

– Wręcz przeciwnie. Nie dla mnie bajania i całodziennie rozmyślania.

– Muszę przyznać, że to, co pan mówi, brzmi sensownie i nawet – Dyck urwał i lekko się uśmiechnął – wierzę panu. Jest w tym szczerłość i determinacja. Myślę, że byłby pan odpowiednim mężem dla mojej córki.

Szeroki uśmiech wykwitł na ustach Józefa.

– Zgodzi się pan zatem, żebym poślubił Gretchen?

– Ma pan moje poparcie, ale ostateczną decyzję podejmie starszy naszego zboru. Musi pan spełnić szereg warunków, żeby uzyskać zgodę wstąpienia do wspólnoty mennonickiej, a łatwe to nie będzie. Gdyby był pan baptystą czy luteraninem, sprawa byłaby prostsza, a tak...

– Zdaję sobie sprawę z tego utrudnienia, ale tak jak mówiłem, jestem gotów spełnić wszystkie warunki.

– W naszej wierze chrzest przyjmują osoby dorosłe, świadomie podejmujące decyzję. Zanim to jednak nastąpi, taki kandydat jest bacznie obserwowany przez pozostałych wyznawców.

– Rozumiem, chcą się upewnić, kogo przyjmują do swojego grona.

– Owszem, a patrzą bardzo uważnie – zastrzegł Dyck. – Gdy oni uznają, że kandydat spełnia warunki i że będzie przestrzegał zasad wiary oraz obowiązującego w naszym zborze Ordnungu, dopiero wtedy starszy zboru podejmuje decyzję ostateczną. Po tym procesie jest ustalany termin uroczystości. Trochę więc potrwa, zanim pozyska pan zaufanie i aprobatę wspólnoty.

– Liczyłem się z tym – przytaknął Koczorowski. – Wiem też, że chwilę mi zajmie, nim kupię ziemię i postawię dom. Ten czas mojej aklimatyzacji będzie chyba dobrą okazją, żeby poznać mieszkających tu ludzi i zyskać ich aprobatę, prawda?

– O ile oczywiście ją pan pozyska.

Józef zacisnął szczęki. Nie spodziewał się łatwej rozmowy, ale po wcześniejszych słowach Dycka i wyrażonej przez niego zgodzie liczył raczej na pomoc i wsparcie, a nie wyszukiwanie przeszkód.

Heinrich bez trudu odczytał myśli krążące po jego głowie, bo znowu się uśmiechnął.

– Załóżmy, że wszystko pójdzie po pana myśli i wyznaczą panu termin chrztu. U nas jest to niezwykle doniosła uroczystość. Kandydat chcący przyjąć chrzest staje przed obliczem starszego zboru, ministrów oraz diakonów. Ministrowie przepytują go z zasad wiary i dopiero gdy pomyślnie zda egzamin, kandydat przystępuje do sakramentu chrztu. Ceremonii przewodzi starszy zboru, polewając głowę kandydata wodą.

– Sporo pracy mnie czeka, nie przeczę, i tej fizycznej, i duchowej. Będzie to jednak dobry czas dla mnie. Do poznania siebie i swoich możliwości.

– Podoba mi się pana podejście. Przekonał mnie pan i jestem gotów dać szansę waszemu małżeństwu – oznajmił Dyck. – Podpowiem też, że starszy zboru to najmądrzejszy z całej wspólnoty, najuczciwszy i najrzetelniejszy człowiek. Gdy będzie pan z nim rozmawiał, proszę mówić prosto z serca. Niech pan nawet nie próbuje udawać czy na siłę szukać takich odpowiedzi, które według pana on chciałby usłyszeć. On bez trudu to przejrzy. Tylko szczerością i uczciwością zyska hrabia jego aprobatę.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję, że dał mi pan szansę.

– Ja dałem, ale zanim przejdziemy do spraw formalnych, musimy jeszcze zapytać Gretchen, czy chce pana poślubić – odparł, błyskając zębami w uśmiechu. – Dla niej to małżeństwo też będzie sporym wyzwaniem.

Na myśl o ukochanej oczy Józefa rozjaśniła radość. Wiedział, jakiej odpowiedzi udzieli ojcu, i to dodawało mu energii do działania. Dla niej gotowy był na każde poświęcenie i wyrzeczenie.

## Rozdział 28



Gretchen nerwowo kręciła się po kuchni. Matka bacznie ją obserwowała, więc nawet nie mogła iść podsłuchać pod drzwiami. Tak bardzo by chciała usłyszeć o czym rozmawiają. Ojciec był wyrozumiały i dość liberalny, ale taka propozycja chyba przekracza jego granice tolerancji i otwartości na innych. Zięć katolik? Hrabia w dodatku? Nie, nie mieściło jej się w głowie, że mógłby wyrazić zgodę na to małżeństwo. Ta myśl z kolei sprawiała, że do oczu napływały jej łzy.

– Gretchen, zawołaj Antoniego. Przecież nie będzie tak stał i czekał na dworze. Nie wiadomo, jak długo jechali. Może jest głodny i spragniony?

– Zupełnie zapomniałam – powiedziała z roztargnieniem. – Już idę.

Z ulgą wyszła z kuchni. Wciąż czuła na sobie spojrzenie matki, więc z przyjemnością się od niego uwolniła.

Przechodząc przez sień, przystanąła przy drzwiach do wielkiej izby. Solidne, bukowe drzwi były zamknięte. Nie dobiegał zza nich nawet szmer rozmów.

Rozczarowana wyszła na podwórko, rozglądając się za stangretem. Siedział wygodnie rozparty na ławce pod domem. Na jej widok wstał i zdjąwszy kapelusz, uśmiechnął się szeroko.

– Panienska Gretchen.

– Pan Antoni – odpowiedziała z uśmiechem. – Zapraszam do kuchni. Zje pan, napije się czegoś ciepłego.

Antoni chwycił coraz więcej słów w plattdeutsch<sup>[16]</sup>, więc bez problemu zrozumiał, co mu zaproponowała córka gospodarzy. Z wdzięcznością kiw-

nął głową i wstał z ławki. Bez słowa poszli do kuchni, gdzie Annchen napełniła mu talerz gęstą polewajką i ukroiła kilka grubych pająd chleb.

Dziewczyna nie wiedziała, co ze sobą zrobić. W sąsiednim pomieszczeniu ważyły się jej losy, a ona na nic nie miała wpływu.

– Gretchen, nie kręć się tak – zganiała ją matka. – Idź zdejmij ten fartuch i obmyj twarz, bo jesteś tak rozpalona, jakbyś miała gorączkę.

Zaskoczyły ją słowa matki. Czyżby miała się spotkać z Józefem? Będą rozmawiali? Czy może wezwą ją do izby, żeby powiedzieć o jego propozycji i wyjaśnić, dlaczego ją odrzucili?

„Jakie to wszystko trudne!” – wymruczała do siebie, zdejmując fartuch. „Dlaczego Józef trafił pod nasz dach! Gdyby nie ta śnieżycy, nie poznalibyśmy się i żyłabym spokojnie. A tak... mogłabym być szczęśliwa u jego boku, ale nie będę”.

Przykładała mokre dłonie do rozpalonych policzków, próbując przywrócić im normalny kolor. Nic to jednak nie pomagało. Zbyt wiele emocji kłębiło się w niej, żeby miała to ukoić chłodna woda.

Energiczne pukanie sprawiło, że drgnęła przestraszona. Po chwili w drzwiach pojawiła się głowa matki patrząca na nią w skupieniu.

– Tak, mammo?

– Ojciec woła do izby.

– Myślisz, że...?

– Tak, myślę, że hrabia poprosił o twoją rękę, ale naprawdę nie wiem, co mu Heinrich odpowiedział i po co ciebie, a w sumie nas, woła. Pospiesz się, to zaraz wszystkiego się dowiemy.

Gretchen szybko podeszła do lustra, poprawiła czepek, przetrąła krople wody, które skapnęły na kołnierzyk, robiąc mokre plamy, i drżącym krokiem ruszyła za matką.

W izbie panowała cisza. Zarówno ojciec, jak i Józef wpatrywali się w nią uważnie. Ojciec w skupieniu, zadumie, jakby chciał dostrzec, jakie emocje skrywa w sercu. Józef natomiast patrzył z taką żarliwością i radością, że mimo woli uśmiechnęła się kącikiem ust, a napięte rysy złagodniały.



Ciemna toń jego tęczywek pochłaniała ją, otulając i kojąc dużo skuteczniej niż chłodna woda przykładana do policzków. Niewidzialna siła przyciągała ją do niego i gdyby nie obecność rodziców, na pewno zatonełaby w jego ramionach.

Ojciec chrząknął głośno, przywołując ją do rzeczywistości.

– Gretchen, usiądź proszę.

– Tak, ojczu.

Hrabia siedział po jego lewej stronie. Matka usiadła po prawej, a ona tuż obok niej.

– Córkko, hrabia Józef Koczorowski poprosił o twoją rękę.

Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, który natychmiast stłumiła. Dla pewności, że nie pojawi się znowu, przygryzła dolną wargę tak mocno, że poczuła w ustach słony smak krwi.

– Jest gotów zrezygnować ze swojego dotychczasowego życia. Pragnie przyjąć naszą wiarę i dołączyć do wspólnoty mennonickiej. Zobowiązał się do zakupu ziemi gdzieś w okolicy i poddania próbie. Dla ciebie jest gotów zacząć nowy etap życia.

Brzmiało to bardzo poważnie. Mina ojca była surowa. Matka co rusz nerwowo poruszała się na krześle. Ona zaś... była szczęśliwa. Radość zalała jej serce, sprawiając, że żadne wyzwanie nie było zbyt trudne, a poświęcenie zbyt wielkie. Józef ją kochał. Kochał! Czy w przeciwnym razie zdobyłby się na takie czyny?

– Córkko. Przed tobą trudna decyzja.

– Przede mną? – zapytała zdziwiona.

– Tak. Hrabia oferuje wiele. Chce wyrzec się wszystkiego, by zacząć żyć w sposób prosty, skupiony na wierze i pracy. Pragnie to czynić u twojego boku. To duże wyzwanie oraz ogromna odpowiedzialność. Hrabia nie został wychowany wśród nas. Nie zna zasad ani norm. Wyuczy się tego, co wyczyta w książkach, ale wiesz, że największą wiedzę czerpie się z przykładu. Z tego, co pokazują inni, jak żyją, jakie mają podejście do świata i lu-

dzi. Każde twoje potknięcie będzie jego potknięciem, każdy jego błąd będzie twoim zaniedbaniem. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Nie, nie zdawała. W ogóle nie patrzyła na to w ten sposób. Prawdę powiedziawszy, do dzisiejszego popołudnia nie była pewna, czy hrabia w ogóle przyjedzie. Nie mówiąc już o zamiarze wyrzeczenia się swojej wiary i zamieszkania wśród mennonitów.

Marzyła o nim. Myślała i wspominała. Nie śmiała jednak wybiegać w przyszłość, planować wspólnego życia. Dumiała więc, jak odpowiedzieć ojcu, nie wychodząc przy tym na niefrasobliwą i infantylną osobę.

Czuła wpatrzone w siebie spojrzenia, ale nikt jej nie ponaglał. Czekali cierpliwie na to, co powie.

– Ojczy, matko, to trudna rola. Będzie wymagała ode mnie całkowitego zawierzenia Bogu. Skoro jednak splótł mój los z losem hrabiego, to ma w tym swój cel. – Głośno zaczerpnęła powietrza, po czym spojrzała Józefowi w oczy. – Jestem prostą dziewczyną. Nie znam innego życia niż to nasze, zwykłe, codzienne. Trwam w nim od urodzenia i jest ono częścią mnie. Częścią, bez której nie wyobrażam sobie życia. I z chęcią nauczę hrabiego tego, czego się przez te lata nauczyłam.

– Rozumiem, że myśl o poślubieniu hrabiego nie jest ci niemiła?

– Nie.

– Córko – wtrąciła matka z niepokojem – przecież wy się w ogóle nie znacie.

– Nie martw się, Annchen. Będą mieli okazję się poznać, gdy pan Józef uzyska zgodę Gottlieba na podjęcie próby wkroczenia do naszej wspólnoty. Wiesz, że to nie będzie ani łatwe, ani szybkie.

– Rozumiem, ale czy to w ogóle uchodzi? Przecież dla pana i pana rodziny to małżeństwo poniżej waszego stanu. Mezalians, tak?

– Nie będę ukrywał, że moja matka, bo ojciec niestety nie żyje od kilku lat, myśli na pewno o zupełnie innym mariażu dla mnie. Nie skłamię jednak, mówiąc, że na moim miejscu, miejscu hrabiego Koczorowskiego

w skrytości ducha od zawsze widziała mojego brata Karola, a nie mnie. To on jest takim, jakim ja nigdy nie byłem i nie będę.

– Nawet jeśli – Annchen nie odpuszczała – to na pewno nie chciałyby, żeby zrzekał się pan tytułu, zmieniał wiarę i porzucił życie szlacheckie na rzecz pracy na roli.

– Pewnie nie – odparł, uśmiechając się pod wąsem – ale życie mamy jedno, a ja chcę żyć zgodnie z potrzebą swego serca. Od zawsze źle się czułem w naszym szlacheckim dworku. Chętniej spędzałem czas u babci, z którą rozumiem się doskonale. Nie widziałem jednak szansy, możliwości zmienienia swojego życia. Nie wiedziałem, jak i co właściwie powinienem uczynić. Do czasu, gdy zamieszkałem pod waszym dachem. Wtedy dopiero wszystko zaczęło mi się klarować i układać w logiczną całość.

– Jestem w stanie to zrozumieć – odparła matka Gretchen. – Tak jak powiedział przed chwilą mój małżonek, najlepiej uczy się człowieka przez przykład, pokazanie mu, że można żyć inaczej. I rozumiem, że to, co pan u nas zobaczył, rozjaśniło panu pewne sprawy, dało nowe perspektywy.

– Tak, dokładnie tak było, pani Dyck.

– Jednak czy nie wystarczy, że pan przyjmie naszą wiarę i zamieszka w obrębie wspólnoty? Będzie mógł pan żyć zgodnie z tym za czym, jak mniemam, pan tęsknił i czego panu w życiu brakowało. Do tego nie musi pan poślubić naszej córki.

– Owszem, ale ja bardzo chcę poślubić Gretchen – odparł z uśmiechem i posłał zarumienionej dziewczynie pełne miłości i oddania spojrzenie. – I zrobię wszystko, żeby stało się to możliwe.

– Dobrze. Jutro porozmawiam ze starszym zboru i umówię spotkanie. Jeśli on wyrazi zgodę i pomyślnie przejdzie pan próbę, to i ja ręki Gretchen nie odmówię – stwierdził Heinrich i wstał od stołu. – Proszę jutro po południu przysłać pana Antoniego. Powinienem wtedy znać już datę spotkania.

– Dziękuję za rozmowę – powiedział rozpromieniony Józef, również wstając. – I za daną szansę.

– Gretchen – zwrócił się do córki – odprowadzisz hrabiego?

– Tak, ojciec.

Józef pożegnał się z państwem Dyck i niebywale szczęśliwy opuścił izbę, mając u boku ukochaną dziewczynę.

Gdy tylko minęli drzwi wejściowe, Antoni, który znowu siedział na ławce, poderwał się z niej i odszedł w dalszą część podwórka, żeby zapewnić im odrobinę prywatności.

– Gretchen – wyszeptał, oplatając jej kibić – kocham cię.

Lekko speszona, ale przepelniona radością, przytuliła się do niego, chłonąc ciepło i zapach, który tkwił w jej pamięci od czasu, gdy spotkała go po raz pierwszy.

Objął ją ramieniem i lekko ucałował w czoło. Podniosła głowę i spojrzała w jego oczy z takim żarem, że nie mógł się powstrzymać. Ucałował jej usta, podziwiając ich jedwabistą miękkość. Nie odwzajemniła pocałunku, pierwszego w życiu, bo zwyczajnie nie wiedziała, jak zareagować, co zrobić. Chciała odpowiedzieć na jego wyznanie. Powiedzieć, że i ona go kocha i cały czas wypatrywała na drodze jego sylwetki. Jednak słowa uwięzły jej w gardle. Nie mogła ani nic z siebie wykrztusić, ani się poruszyć. Stała więc tuż przy nim, a jej ciało lekko dygotało z ekscytacji.

– Pewnie cię zaskoczyłem. Powinienem to najpierw z tobą dokładnie omówić, ale wiesz, że nie było jak. Wysłanie listu byłoby bezsensowne, bo po pierwsze, takich spraw nie omawia się w liście, a po drugie, szybciej ja przyjechałem niż on by tu dotarł.

– Rozumiem – wyszeptała ledwo dosłyszalnie. – Czekałam, ale myślałam, że o mnie zapomniałeś.

– Ani na minutę, moja ukochana. Wypełniałaś każdą moją chwilę i wszystkie myśli. I wiedz, że naprawdę uczynię wszystko, żeby cię poślubić.

– To nie będzie łatwe. Będziesz musiał zupełnie zmienić swój styl życia.

– Uczynię to z największą przyjemnością.

Za drzwiami rozległo się wołanie. Speszona dziewczyna odskoczyła od hrabiego.

– Muszę już iść.

Skłonił się kurtuazyjnie i ucałował jej spracowaną dłoń, przytrzymując na niej usta dłużej, niż wypadało. Szczęśliwa, ale i zawstydzona pokręciła lekko głową z uśmiechem i nie czekając na kolejne wołanie matki, weszła do domu.

Hrabia zaś, pogwizdując wesoło, wskoczył na konia trzymanego za uzdę przez Antoniego i niesiony radością, pomknął w stronę gospody, całkowicie zapominając o swoim towarzyszu.

## Rozdział 29



Rozmowa ze starszym zboru była mocno stresująca, ale i wiele go nauczyła. Osoba, którą mennonici wybrali na przewodnika wspólnoty, była niezwykle mądra. Nie wiedzą teoretyczną, książkową, ale życiową. Pytania zadawane przez Gottlieba Fotha wzbudziły w nim refleksję, a niekiedy i konsternację. Na szczęście posłuchał rady Heinricha Dycka i postawił na szczerłość. Zostało to docenione i dostał szansę podjęcia próby wstąpienia do wspólnoty mennonickiej.

W czasie rozmowy czuł wsparcie ojca Gretchen. Mężczyzna mówił mało, nastawiając się głównie na słuchanie, ale tych kilka zdań, które wypowiedział, bardzo mu pomogło. Gdy tylko wyjechali poza wieś, nie omieszkał mu za to podziękować.

- Panie Dyck, dziękuję, że się pan za mną wstawił.
- Daję panu szansę, a co pan z tym zrobi, to czas pokaże.
- Nie zmarnuję jej, obiecuję.

– Proszę nie obiecywać i od razu sobie zapamiętać, że w naszej wierze jest zakaz składania przysięg. Dlatego też nikt z nas nigdy nie zajmuje rządowych stanowisk i musi pan mieć świadomość, że i pana to dotyczy. Poza tym – ściągnął lekko uzdę i podjechał bliżej hrabiego – od kiedy pan wyjechał, moja córka chodzi zamysłona i przygaszona. Mógłbym jej znaleźć męża w naszej wspólnocie bez najmniejszego problemu. Majętna jest, pracowita i ładna.

Hrabia skrzywił się, słysząc te słowa.

– Wypełniłaby moją wolę i wyszła za wskazanego mężczyznę. Nie chcę jednak jej unieszczęśliwić. Łatwiej bowiem żyje się i pracuje, mając

u boku osobę, na której nam zależy, która nas wspiera i daje radość.

– Zaczne założenie.

– Owszem. U was niezbyt popularne. Żenicie się, mając na względzie status społeczny i majątkowy.

– Wy tak nie robicie? – zapytał Józef.

– Niekiedy, owszem, i u nas tak bywa. Jednak najważniejsze jest to, jakim człowiekiem jest dana osoba. Nikt z nas nigdy nie zezwoli na małżeństwo, mając choć cień podejrzenia, że kandydat jest oszustem, kłamcą czy wichrzycielem.

– Tym bardziej więc się cieszę, że dostałem szansę.

Heinrich cmoknął na konia i przyspieszył. Hrabia poszedł w jego ślady.

– Uczciwie też panu powiem, hrabio, że myślę przyszłościowo, o naszych wnukach i prawnukach. – Chrząknął, jakby speszony nadmierną wylewnością swojej wypowiedzi, ale kontynuował: – Jest nas coraz mniej. Od czasu gdy wielu naszych współbraci wyjechało do Rosji z obawą patrzę na młode pokolenia, których możliwości matrymonialne się zmniejszają.

– Sądziłem, że wasze rodziny zaliczają się raczej do bardzo licznych. Czyżbym się mylił?

– Nie myli się pan. Każde małżeństwo, jeśli inaczej nie zdecydował Bóg, ma wiele dzieci.

– Więc jaki jest problem? – drążył hrabia.

– Genetyczny, że tak powiem. – Na policzki starszego mężczyzny wpłynął krwisty rumieniec, którego barwę jeszcze uwypuklały posiwiałe bokobrody. – Od setek lat – zaczął po chwili stłumionym głosem Dyck – nasze rodziny zawierają małżeństwa w ograniczonej społeczności. Oczywiście pilnujemy, żeby pokrewieństwo nie było zbyt bliskie, ale jest to niezwykle trudne. Tak naprawdę na chwilę obecną wszyscy jesteśmy ze sobą złączeni więzami krwi, a to nigdy nie jest dobre. Rozumie pan?

Hrabia rozumiał aż za dobrze. Miał nieodparte, nieznośne wrażenie, że został potraktowany jak koń rozplodowy, którego wprowadza się do stajni, żeby przemieszał i uszlachetnił krew. Było to bardzo niemiłe uczucie.

Szybko jednak przegnał je z głowy. Heinrich miał rację. Nie jest dobrze, gdy rodziny od wielu pokoleń biorą śluby między sobą. Widział efekty w utytułowanych, zamożnych rodzinach szlacheckich, gdzie z pokolenia na pokolenie rodziło się coraz więcej anemicznych, podatnych na różne choroby i skrzywienia osób. Możliwości i u nich z roku na rok były coraz mniejsze, a przecież rodzin szlacheckich było dużo więcej niż mennonickich.

Myślenie Dycka zaskoczyło go, bo nie spodziewał się takich przemyśleń u zamożnego, ale bądź co bądź zwykłego, niewykształconego chłopca.

– Uraziłem pana? – zapytał po dłuższej chwili milczenia Heinrich.

– Nie, absolutnie. Zamyśliłem się nad pana słowami i przyznaję słuszność tym stwierdzeniom. U nas także jest to zauważalne, choć pewnie w mniejszym stopniu, gdyż mamy większe pole manewru.

– Zamykanie się w obrębie określonej społeczności ma niewypowiedziane wiele zalet i ogromnie sobie cenię naszą alienację, ale niekiedy i o takich aspektach trzeba pomyśleć.

– Zgadza się – przytaknął Koczorowski.

– Uznałem więc, że skoro tak panu zależy na mojej córce i dla niej chce pan całkowicie przewartościować swoje życie, a i jej pan nie jest obojętny, to doskonała okazja, żeby pomyśleć o przyszłych pokoleniach.

– To dość nowatorskie podejście do tematu. Jednak nie tylko zgadzam się z pana poglądami, ale i są mi one bardzo na rękę – powiedział Józef, uśmiechając się szeroko.

– Mimo naszej izolacji sporo się u nas zmieniło. Nie odcinamy się od świata, więc przenikają do nas zachodzące w nim zmiany. Obawiam się, że z czasem będzie nam coraz trudniej zachować zasady i sposób życia, ale mam ogromną nadzieję, że jeszcze ani ja, ani moje dzieci i wnuki nie będą musiały borykać się z tym problemem.

– Zostaliście, mimo że wielu z was emigrowało – zauważył hrabia. – To też chyba coś nowego w waszej historii.



– W zasadzie tak. Biorąc jednak pod uwagę, jak potoczyły się losy tych, którzy wyjechali do Rosji, to nie ma już na świecie takich warunków, jakie mieli pierwsi przybysze na polskie wtedy ziemie. Wszystko się zmienia i choć nie chcemy, to i my musimy trochę dostosować swoje życie do czasów współczesnych, żeby w ogóle móc zachować swoją wiarę i zasady.

– Nie jest wam łatwo. Z jednej strony ewangelicy, baptyści, luteranie, a z drugiej katolicy.

– Staramy się żyć ze wszystkimi w zgodzie, ale sporo nas to kosztuje – odparł Heinrich, uśmiechając się szeroko. – Nie da się ukryć, że dobrze nam się wiedzie, więc żądają od nas coraz to innych, wyższych podatków, danin i spłat. Póki jednak możemy kupić pokój i spokój, robimy, co w naszej mocy, żeby sprostać finansowym żądaniom.

– Tak, pieniądze mają niezwykłą moc. Gorzej, gdy się ich nie ma.

– Właśnie – przytaknął Dyck. – Dlatego też pracujemy ciężko, nieustannie rozwijamy nasze gospodarstwa i umiejętności. Mówią niekiedy, że jesteśmy chytry, ale to nieprawda. Jesteśmy po prostu oszczędni, bo zawsze gdzieś z tyłu głowy jest myśl i obawa, że pojawią się kolejne daniny, które będziemy musieli uiścić, żeby spokojnie funkcjonować na tych ziemiach.

– Żyjecie zgoła inaczej niż my, ale zasobność waszych domów oraz obfitość posiłków w niczym nam nie ustępuje – zauważył Józef. – Prawdą jednak jest i to, że wasze gospodarzenie odbiega od naszego. Nie widziałem procesu tworzenia, ale widzę efekty. Na Żuławach są niezwykle żyzne ziemie, dobrze zarządzane. Zmyślnie utworzony system melioracji na pewno znacznie ułatwia uprawę.

Heinrich posłał mu zaskoczone spojrzenie.

– Widzę, że hrabia co nieco wie o roli.

– Nie mam zbyt dużej wiedzy ani umiejętności, ale nie jestem zupełnym ignorantem. Powiem nawet, że mocno mnie to interesuje, ale realizacja moich zamierzeń nie była możliwa.

– Tu będzie miał pan znaczne pole do manewru, a i ja, i mój syn chętnie podzielimy się wiedzą. Gdy – dodał z naciskiem – wstąpi pan już do naszej

rodziny.

– Dziękuję. Rady jednak będę potrzebował trochę wcześniej, a nawet i pomocy.

– Tak?

– Niedaleko mieszka mój przyjaciel Ignacy Chrzanowski, lecz jego o pomoc prosić nie mogę, a nikogo innego tu nie znam.

– Cóż to za przyjaciel, skoro nie można go prosić o przysługę?

W głosie Heinricha słyhać był słuszne zdziwienie. Józef jednak nie chciał wyjawiać Dyckowi, że jeszcze Ignacemu nic o swoim pomysle nie powiedział i w sumie nawet nie zamierzał.

– Baron Chrzanowski nie ma wiedzy na interesujący mnie temat – zaczął dyplomatycznie Koczorowski. – Chcę nabyć tu dobrej jakości ziemię. Najlepiej, gdyby była z domem i budynkami gospodarczymi, a jeśli takiej nie ma, łatwo temu zaradzę, stawiając nowe, ale to znacznie wydłuży całe przedsięwzięcie. Stąd więc moja prośba do pana. Może wie pan o jakiejś odpowiedniej ziemi tudzież gospodarstwie na sprzedaż?

– Rozejrzę się. Jak duże ma być?

– Szczerze, to pojęcia nie mam. Tu też więc bym prosił o pomoc.

– Różne mają, w zależności od zasobności, wiadomo, jak wszędzie, ale i od liczby potomstwa. Największe rodziny mają od dwunastu do siedemnastu włók<sup>[17]</sup>. To sporo ziemi, ale i mnóstwo pracy. Większość ma po pięć, siedem włók.

– Co więc mi pan radzi?

– Na początek może te siedem włók niech pan nabędzie, a później najwyżej dokupi.

– Racja. Dobry to będzie początek, tym bardziej że muszę się sporo nauczyć.

– I tak sam pan tego nie obrobi. U nas pracuje się rodzinami.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Na początek pomyślę o jakimś parobku albo dwóch.

– Tylko niech pan pamięta, że u nas inaczej ludzi się traktuje niż u was – przestrzegł Dyck. – Z szacunkiem. Nawet jeśli to zaleźni od nas parobkowie.

– Wiem i cenię to bardzo. Ta zasada będzie obowiązywała i w moim gospodarstwie.

– Zobaczymy.

Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie, ale Józef nie zamierzał zrażać się drobiazgami. Postanowił, że swoją pracą i zaangażowaniem zyska przychyłność mennonitów. Skinął więc potakująco i ręką wskazał na widoczne w oddali gospodarstwo Dycków.

– Mam jeszcze jedną prośbę. Ostatnią.

– Sporo tych prośb.

– Wiem, ale to dla mnie bardzo ważne.

– Słucham więc, cóż jest takiego ważnego.

– Jutro rano ruszam do majątku w Witosławiu, żeby tam wszystko formalnie pozalać. Zajmie mi to na pewno kilka tygodni, więc chciałbym przed odjazdem porozmawiać i pożegnać się z Gretchen.

Starszy mężczyzna westchnął przeciągle, a w kąciку ust pojawił się nikły uśmiech.

– Mogłem się tego w sumie spodziewać. Zapewne i moja córka pragnie z panem porozmawiać.

– Czy byłaby więc szansa na odwiedzenie jej?

– Dobrze, proszę przyjechać wieczorem, na kolację.

Józef uchylił kapelusza w geście podziękowania. Ojciec Gretchen z każdą kolejną rozmową znacznie zyskiwał w jego oczach. Cenił pracowitość, inteligencję, zaradność, ale i dalekowzroczność tego chłopca. Z lekkim zawstydzeniem przyznał też, że wiele może się od niego nauczyć, bo są dziedziny w których jego wiedza znacznie przekracza tę, którą posiadał dzięki książkom i edukacji. Czuł, że czeka go niezwykle interesujące życie w mennonickiej wspólnocie.

I pełne miłości. U boku ukochanej Gretchen.

Ten cel, choć daleki i niełatwy do osiągnięcia, motywował go nieustannie do działania.

## Rozdział 30



Kolacja przebiegła w niezwykle życzliwej atmosferze. Stół uginał się od potraw, które przygotowały z matką w ogromnej ilości i niezwyklej różnorodności. Jacob, mimo jej obaw, bez problemu zaakceptował Józefa w roli ewentualnego szwagra. Wydawał się nawet zadowolony z takiego obrotu sprawy. Jediną osobą, która sceptycznie podchodziła do tego pomysłu, była Annchen. Gretchen jednak liczyła na to, że z czasem zmieni zdanie i polubi Józefa.

– Panie Józefie, ojciec mówił, że szuka pan ziemi do kupienia – zagadnął Jacob, gdy byli przy deserze.

– Owszem, tak właśnie jest – przytaknął Józef. – Słyszał pan o jakiejś ofercie?

– Pewnie. Tylko nie wiem, czy sześć włók to wystarczająca wielkość gospodarstwa.

– Któż to ziemię sprzedaje? – zainteresował się Heinrich. – Nic o sześciowłókowym areale nie słyszałem.

– Pennerowie z Tiegenhagen – odparł, lekko zmieszany. – Znasz sprawę.

– Myślałem, że Cornelius miał trzynaście włók. Ba! Wręcz jestem pewien, że tak było.

– Naturalnie, dobrze ojciec pamięta. Tylko – odchrząknął – oni całości nie sprzedają, tylko tę część Elisy. Resztę Cornelius zamierza uprawiać.

– To dobra ziemia? – zainteresował się Józef, spoglądając ukradkiem na Gretchen. Był gotowy brać cokolwiek, byle szybciej zamieszkać blisko ukochanej.

Heinrich pokiwał energicznie głową.

– Bardzo dobra i nawet niedaleko stąd.

– W dodatku sprzedają z domem i budynkami gospodarczymi – wtrącił Jacob. – Całkiem ładny i duży dom podcieniowy. Liczy jakieś siedemdziesiąt lat, ale jest w idealnym stanie. Bardzo zadbany.

– Prawdę mój syn mówi. Dom piękny i porządnie zbudowany. Obora ze stodołą stoją jako osobny budynek, co jest nieco uciążliwe zimą, ale ma też swoje zalety. Jeśli więc te sześć włók panu wystarczy, to bym polecał.

– A panienska Gretchen, co sądzi o tym domu? – zapytał Józef milczącą dziewczynę. – Widziała go panna kiedyś?

Poczuła się lekko speszona, gdyż wszystkie spojrzenia skierowały się w jej stronę.

Upiła łyk kawy i ośmielona pełnym czułości uśmiechem Józefa postanowiła szczerze powiedzieć, co myśli o domu Pennerów.

– Nie byłam nigdy w środku, ale z zewnątrz widziałam ten dom kilka razy. Zarówno on, jak i oboje prezentują się wspaniale. Jest tam też duży ogród i sad – odparła, oczami wyobraźni widząc siebie i Józefa siedzących pod podcieniem i patrzących na gromadę biegających dzieci. – A niedaleko płynie rzeka. To dobre miejsce do zamieszkania.

– Byłam kiedyś w środku – nieoczekiwanie odezwała się Annchen. – Pomieszczenia są rozmieszczone klasycznie, w sposób typowy dla tych domów, a więc bardzo funkcjonalnie. Nie wiem jednak, czy hrabiemu taki dom będzie odpowiadał. Chyba przywykł pan do innych warunków.

– Cóż, tam zamieszka Józef Koczorowski, nie hrabia, więc jeśli dom podoba się paniencie Gretchen, to i dla mnie będzie odpowiedni. Nie potrzebuję luksusów i wcale ich nie pożądam – odparł spokojnie Józef, słysząc przytyk pani Dyck. – Świadomie porzucam swoje dotychczasowe życie i wcale nie będę za nim tęsknił. Nie zamierzam też tu odwzorowywać warunków, w jakich dawniej żyłem. Dom podcieniowy, a widziałem ich w życiu kilka, w zupełności mi wystarczy. Rzekłbym nawet, że te domy w niczym nie ustępują dworkom szlacheckim.

– Różnie bywa – wtrącił Heinrich – bo są mniejsze i większe domy podcieniowe. Ten akurat jest spory, a przy tym bardzo kunsztownie ozdobiony architektonicznymi dekoracjami.

– Czy mógłby pan zatem w moim imieniu podjąć rozmowy na temat kupna tej ziemi wraz z domem i budynkami? Nie chciałbym przedłużać mojego pobytu tutaj, ale za dwa, trzy tygodnie będę z powrotem i o ile będzie to możliwe od razu bym tam zamieszkał.

– Nie chce pan najpierw obejrzeć przed kupnem? – W głosie Dycka była lekka przygana. – To poważna decyzja i dość kosztowna, więc warto zobaczyć, co jest oferowane.

– Ma pan rację, ale po pierwsze, to nie znam się na tym kompletnie, więc i tak na pana zdanie bym w tej kwestii się zdał. Po drugie, skoro dom podoba się panience Gretchen, to i mnie się spodoba. A po trzecie, taka okazja może szybko się nie trafić. Jest i ziemia, i dom blisko państwa, więc nie ma co się zastanawiać, tylko trzeba brać.

– Jak tak na to spojrzeć, to jest w tym słuszność – zauważył Heinrich Dyck. – Rozumiem, że jest pan zdecydowany?

– Tak.

– Dobrze, pojedziemy tam z Jacobem i zajmiemy się negocjacjami.

– Dziękuję – odparł z wdzięcznością Józef. – Dziękuję również za zaproszenie i kolację. Muszę już państwa opuścić, bo o świcie planuję ruszyć w drogę.

Podziękowania przyjęto życzliwie i po krótkim pożegnaniu nastąpiła wreszcie chwila, na którą tak bardzo czekała zarówno Gretchen, jak i Józef.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi przyciągnął dziewczynę do siebie i żarliwie pocałował. Była mocno zaskoczona. Spodziewała się przytulenia czy pocałunku w dłoń, ewentualnie w policzek, nie zaś takiego wybuchu namiętności. Uległa jednak gorącym ustom Józefa. Pozwoliła, żeby ją objął i całował, a w przerwach szeptał pełne miłości słowa.

– Gretchen, ukochana moja. Znowu muszę cię opuścić, ale powrócę najszybciej jak się da i zostanę już na zawsze. Będziesz na mnie czekała?

– Oczywiście. – Była wdzięczna, że jest tak ciemno i nie widzi jej purpurowej z zawstydzienia twarzy.

– I nie pomyślisz, jak ostatnio, że o tobie zapomniałem?

– Nie, teraz wiem, że wrócisz.

– Zawsze, zawsze będę do ciebie wracał.

Przytulił ją mocno do siebie, kołysząc lekko w ramionach.

– Józefie, a co z twoją rodziną? Jak oni to przyjmą?

– Nie będą zadowoleni, to pewne, ale nie kłopotcz się tym. Szybko zrozumieją, że to najlepsze wyjście. Oni będą szczęśliwsi beze mnie, a ja bez nich. Razem stworzymy nowy dom i nową rodzinę, Gretchen. Nie mogę się doczekać, kiedy zostaniesz moją żoną.

– Trochę to potrwa, Józefie, i do końca nie jest pewne, jaką decyzję podejmie wspólnota.

– Zrobię, co trzeba, żeby przekonać do siebie pana Fotha. Twój ojciec obiecał mi wsparcie, więc wierzę, że uda nam się zyskać przychyłność zboru.

– Będę się o to modliła. I o twój szybki, szczęśliwy powrót.

– Gretchen?

– Tak?

– Na pewno tego chcesz? Wiem, że się zgodziłaś, ale... jesteś przekonana, że chcesz spędzić ze mną resztę życia?

– Rychło w czas, Józefie, o to pytasz. – Roześmiała się cicho, chłonąc jego zapach i głaszcząc lekko poły płaszcz. – Gdybym nie chciała cię poślubić, od razu bym to powiedziała. Poza tym na pewno nie pozwoliłabym ci się całować.

Myśl o tym, że kto inny miałby trzymać ją w ramionach i całować, sprawiła, że ogarnęła go ogromna zazdrość. Odsunął ją trochę od siebie i wpił się w jej usta łapczywie.

Czuła jego miękkie usta na swoich. Miała wrażenie, że między nimi przenikają iskry. Nie przeszkadzał jej nawet wąż, który łaskotał ją w po-



liczki. Cieszyła się chwilą, wiedząc, że kolejna tak szybko nie nastąpi.

Nie miała pojęcia, ile czasu tak tkwili spleceni w namiętym uścisku, ale parskanie konia, który uwiązany na podwórku do drąga zaczął się niecierpliwić, przywołało ich do rzeczywistości.

– Muszę iść.

– Wiem, ukochana, tylko tak trudno mi się z tobą rozstać.

– Wróć więc jak najszybciej.

W odpowiedzi znowu ją pocałował. Tym razem jedynie muskając usta. Przelotny pocałunek rozczarował ją, a uczucie to tak zawstydziło, że pomachawszy mu, prędko weszła do domu.

Matka sprzątała izbę, więc od razu tam się skierowała, żeby pomóc.

– Długo odprowadzałaś hrabiego – zauważyła z przyganą Annchen. – Twoje zachowanie mnie zaskakuje i muszę ci powiedzieć, że mi się nie podoba.

Dziewczyna spuściła oczy i szybko zaczęła zbierać naczynia na tacę, żeby nie musieć patrzeć matce w oczy.

– Chcieliśmy chwilę porozmawiać – powiedziała po chwili, siląc się na spokojny ton. – Jest sporo spraw do ustalenia.

– Na ustalenia przyjdzie czas, gdy Gottlieb Foth wyrazi zgodę na wasz ślub. A na razie nic jeszcze nie jest wiadome.

Słowa matki, prawdziwe, a więc niezwykle bolesne, ugodziły ją w serce.

– Dlaczego jesteś mu taka przeciwna? Ojciec go zaakceptował, Jacob też i nawet starszy zboru dał mu szansę, a sama wiesz, że gdyby nie chciał go widzieć w naszej wspólnotie, to na wstępie uciąłby wszystkie rozmowy.

– Foth to mądry człowiek, który zawsze innym daje szansę.

– To może ty też daj ją Józefowi?

– Boję się, córko – odparła Annchen z troską w głosie. – O ciebie się boję. On pochodzi z innego świata, ma inne zasady i lepiej dla ciebie by było, gdybyś wyszła za mąż za kogoś od nas.

– Może łatwiej, ale czy lepiej?

Matka nic na to nie odpowiedziała. Chwyciła kilka talerzy i nie patrząc już na córkę, wyszła z izby. Gdy tylko za Annchen zamknęły się drzwi, Gretchen odstawiła tacę i z tkliwym rozrzewnieniem przytknęła palce do ust, które przyjemnie mrowiły. Wciąż czuła smak pocałunków Józefa. Była przesiąknięta jego zapachem, słowami i tęsknotą wypełniającą każdy skrawek jej zakochanego ciała.

## Rozdział 31



Szybki powrót Józefa do domu skonfundował zarówno Karola, jak i matkę, którzy postanowili urządzić bal połączony z polowaniem. Wiedzieli, że dziedzic nie pochwała takich hec, więc wykorzystali jego nieobecność i rozesłali zaproszenia zarówno do sąsiadów, jak i dalszych znajomych. I choć do balu zostały dwa dni, w domu wręcz roiło się od obcych. Wszystkie pokoje we dworze były zajęte. Włącznie z jego sypialnią oraz garderobą. Karol bez pardonu rozgościł się w pomieszczeniach przypisanych bratu.

– Józefie! Martwiłam się, że nie będzie ciebie na balu – zaświergotała Jadwiga, która dostrzegła go przez okno i czekała w holu, żeby się przywitać – a tak bardzo liczyłam na spotkanie z tobą i rozmowę.

– Witaj, Jadwigo. – Przywołał uśmiech na twarz, skłonił się przed nią szarmancko i ucałował jej białą, wypielęgnowaną dłoń. – Cieszę się, że cię widzę, ale ja tylko na chwilę.

– Jak to, Józefie? Nie będziesz na balu? Ani na polowaniu?

– Właśnie, synu – głos matki rozległ się za jego plecami – znowu planujesz nas opuścić?

– Owszem, za chwilę o tym porozmawiamy. Gdzie Karol?

– Chyba w swoich – chrząknęła speszona – znaczy w twoich pokojach. Przyjechało bardzo dużo gości i musieliśmy zrobić małe rozszady.

– Rozumiem. Idę go więc poszukać. Jadwigo – zwrócił się do młodej kobiety – życzę przyjemnego pobytu w naszych włościach.

– Och, byłby przyjemniejszy, gdybyś pozostał na balu. Powspominalibyśmy czas dzieciństwa oraz psoty, które robiliśmy mojej guwernantce.

– Biedna kobieta, co ona się z nami miała – odparł Józef z uśmiechem.

– Przemyśl to, może uda ci się jednak zostać?

– Tu nie ma co myśleć – wtrąciła matka. – Oczywiście, że zostanie na balu.

– Nie jest to możliwe, ale wierzę, że Karol godnie mnie zastąpi.

Matka zrobiła oburzoną minę, a dziewczyna wygięła usta w podkówkę. Józef zignorował te dąsy i przeskakując po dwa schodki, wbiegł na pierwsze piętro i skierował się do zajmowanych przez siebie pomieszczeń.

Młodszy Koczorowski siedział rozparty w jego ulubionym fotelu i ćmił fajkę.

– O, syn marnotrawny powrócił – stwierdził Karol z ironicznym uśmiechem. – W sam raz na bal. Będzie wiele panien na wydaniu, więc się ucieszą, że przyjechałeś. Wszak z ciebie najlepsza partia w okolicy.

Józef skrzywił się z niesmakiem i podszedł do okna, po czym otworzył je na oścież.

– Przestań kopcić, bo nie dość, że nie ma czym oddychać, to jeszcze dym w oczy gryzie.

– Delikatnyś, braciszku, delikatnyś. Szkoda, że smród chamów ci nie przeszkadza. Lubisz się z nimi bratać.

– Lubię – przytaknął Józef. – I planuję nawet zacieśnić te więzi.

Karol rozparł się wygodniej w fotelu, wypuścił spory kłąb dymu i posłał bratu zaciekawione spojrzenie.

– Co masz na myśli?

– Dowiesz się i to już dzisiaj po południu. Przyjedź...

Nie dokończył, bo rozległo się donośne pukanie. Zanim któryś z nich zareagował, do środka wparowała matka. Z całej jej postawy emanowała taka wściekłość, że obaj odruchowo się wzdrygnęli. Maria Koczorowska była spokojną kobietą i nawet głos podnosiła rzadko, uznając, że to zachowanie niegodne damy. Gdy jednak wpadała w szal, każdy schodził jej z oczu i uciekał jak najdalej od niej.

– Możesz mi wyjaśnić – wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę Józefa – co ty wyczyniasz? Wpadasz do dworu jak jakiś obwieś. Ubłocony, portargany i zmachany! Zobacz, jak ty wyglądasz!

Józef spojrział na uwalane błotem obuwie i zrobił dwa kroki w tył, chowając dowód zaniedbania za fotelem.

– Miałem długą podróż. Nie spodziewałem się, że zastanę w domu tylu gości.

Karol zarechotał złośliwie, ale szybko umilkł pod karcącym spojrzeniem matki.

– I co z tego, że się nie spodziewałeś! Jesteś hrabią, zawsze powinieneś prezentować się nienagannie! Poza tym, co za bajdy opowiadałeś Jadwidze? Nie masz czasu na bal? A to dlaczego? Co jest takiego ważnego i pilnego, że ignorujesz dostojnych gości, którzy zjechali do twojego dworu? Słucham?!

Józef nie tak planował oznajmić swoją decyzję, ale uznał, iż to idealny moment.

– Skoro już jesteśmy przy obowiązkach hrabiego, to zamierzam zrzec się tytułu na rzecz Karola.

– Co ty bredzisz, Józefie? – Matka z oburzenia aż przysiadła na fotelu. – Szaleju się najadłeś?

– Nie, matko – wtrącił z zadowoleniem Karol – chyba wreszcie zrozumiał, że ja lepiej nadaję się do tej roli.

– Nawet jeśli, to nie znaczy, że ma zrzekać się tytułu. To się nie godzi! Zaraz wszyscy wezmą nas na języki. Wyobrażasz sobie, jaka by wybuchła afera? Hrabia Józef Koczorowski zrzeka się tytułu. Natychmiast dorobią do tego odpowiednie tło. Posądzą cię, że jesteś bezpłodny, szalony albo że Karol wymusił na tobie tę decyzję, bo ma jakieś kompromitujące ciebie dowody i posuwając się do szantażu, odebrał ci tytuł.

– Masz, matko, niebywałą wyobraźnię – sarknął Karol. – Skoro chce, to niech się zrzeka. Taki z niego hrabia, jak z Macieja kuternogi byłaby baletnica. Ma szczęście, że odesłałeś go do babki, bo ja tego bezużytecznego obi-

boka ani chwili bym pod dachem nie trzymał. Rozpuszczasz ich, rozleniwiasz, a później nie ma komu pracować. Rezygnuj więc, skoro chcesz, tylko szybko, zanim wszyscy się rozbisurmanią, a majątek obróci się w perzynę.

– Och, przy tobie, braciszku, lenistwo chłopom nie grozi. Doskonale znam twoje metody i choć wiesz, że ich nie aprobuję, to i tak potajemnie je stosujesz.

– Ktoś musi trzymać to wszystko w garści. Skoro ty nie potrafisz, to ja się tym zajmę.

– Zaraz, zaraz! – Maria w pełnym oburzenia geście uniosła ręce do góry. – Skończcie natychmiast tę nedorzeczną dyskusję. Zrzekanie się tytułu absolutnie nie wchodzi w grę. Nie damy ludziom powodu do plotek. I tak zbyt często mają nas na językach. To można rozwiązać inaczej.

– Niby jak? – W słowach Karola słyhać zniecierpliwienie. – Dalej mam odwalać czarną robotę za paniczyka? On sobie jeździ, dokąd chce i na ile chce, a ja tkwię w tej zapyziałej wiosce, troszcząc się o rodowe włości. Włości, które on odziedziczył. Pilnuję jak jakiś najemny rządcza czy inny wyrobnik. Mowy nie ma, żebym dalej dawał się wykorzystywać. Józef poszedł po rozum do głowy, chce zrezygnować z tytułu, niech więc to zrobi. Przejmę schedę po nim i będę dalej robił to, co robię, czyli pracował i zarządzał, ale na swoim, dla siebie i swoich potomków, a nie dla tego lawiranta, który ciągle buja w obłokach i idealizuje chamów.

– Nie idealizuję, lecz chcę lepszego ich traktowania oraz uczciwego wynagradzania za pracę – oznajmił Józef.

– Naczytałeś się tych modnych bzdur, które wypisują w gazetach, a nawet publikują w szmatławych książkach, i powtarzasz jako prawdy objawione – zagrział Karol, podrywając się z fotela. – Zejdz na ziemię, braciszku! To prostacy, ale bardzo cwani. Tak pragnęli zniesienia pańszczyzny i co dobrego z tego wynikło? Nic! Łupią nas z każdej strony i wiecznie oszukują. Biadolić potrafią, ale pracować, to już nie, nygusy jedne!

– W tej kwestii zawsze mieliśmy rozbieżne zdania – odparł Józef, siląc się na spokój. – Niemniej podjąłem decyzję, że zrzekam się tytułu i zdania nie zmienię.

– Słusznie! – Na przystojnej, lekko drapieżnej twarzy Karola pojawił się pełen satysfakcji uśmiech. – Myślę, że da się to szybko i bez problemu załatwić.

– Nie sądzę. – Maria nie kryła oburzenia. – Lepiej, żeby zostało tak, jak jest. Bez zbędnych szopek, zrzekania się tytułów i tych wszystkich ceregieli.

– Matko, jest jeszcze coś, o czym muszę wam powiedzieć.

– Ha! Tak czułem, że coś się za tym kryje – prychnął Karol. – Jakaż to filantropijna myśl ci przyświeca? Chcesz poświęcić życie na niesienie kaganka oświaty wśród chłopów? A może zamierzasz wstąpić do duchowieństwa?

– Nic z tych rzeczy. Choć – dodał po chwili namysłu Józef – tak całkiem się nie mylisz.

– Bóg mnie pokarał takim synem! Cóżżeś znowu wymyślił?

– Sprzedam ziemię należącą do mnie. Oczywiście, Karolu, masz pierwszeństwo, jeśli chcesz nabyć pola, łąki i lasy leżące za Mroczą, to chętnie ci je odsprzedam.

– Po co mam kupować ziemię? – prychnął znów młodszy z braci. – Zrzekniesz się tytułu, to i prawo do ziemi stracisz.

– Owszem, ale nie do tej. Pamiętasz? – Spojrzał na brata spod przymrużonych powiek. – Tamten areał zapisała mi babcia i on nie wchodzi do masy spadkowej ani nie jest związany z tytułem. Jeśli więc chcesz ją nabyć, to musisz mi zapłacić. Cenę rynkową.

– Jaki hardy w negocjacjach się zrobiłeś. Szkoda, że do chłopów taki ostry nie jesteś, tylko ciągle im pobłażasz.

– Oni nie mają ani pieniędzy ani możliwości, by swój byt jakoś znacząco poprawić. Ty zaś masz środki, a jeszcze dodatkowe otrzymasz, żeby za ziemię zapłacić.

– Przemyślę to. Kiedy zrzekniesz się tytułu?

– Najszybciej, jak się da.

– Oszaleliście! Obaj! – Maria wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. – To są fanaberie! Zwykle fanaberie, więc nie traktuj tego, Karolu, poważnie. Józef pewnie się zdenerwował, gdy zobaczył tylu gości. W dodatku zająłeś jego pomieszczenia, więc mógł się poczuć urażony, ale to zbyt błahe powody, żeby usprawiedliwić taki szaleńczy czyn.

– Masz rację, matko – przytaknął Józef. – To nie jest powód. Z innej przyczyny zdecydowałem się na taki krok.

– Ciekawe z jakiej? Słuszność ma Karol, że chcesz się dla ludu poświęcić? Czy może księdzem chcesz zostać? To jeszcze przeszłoby wśród towarzystwa. Powiemy, że doznałeś objawienia czy też inna łaska pańska na ciebie spłynęła. – Lekki uśmiech pojawił się na jej ustach. – Tak, to da się wytłumaczyć, a jak porozmawiamy z hrabią Zawadzkiem, to może i biskupem za jakiś czas zostaniesz.

– Planuję się ożenić, matko.

– Co?! To ja już nic nie rozumiem, Józefie. Planujesz wziąć ślub, a zrzekasz się tytułu i majątku? Synu? Coś z twoją głową nie tak?

– Wybacz, nie tak planowałem was poinformować, ale widzę, że nie mam innego wyjścia, jak wszystko wytłumaczyć.

Maria najpierw poczerwieniała, później zbladła. Spojrzała na Józefa, po chwili na Karola i znowu na Józefa.

– Słuchamy więc, mójże!

– Muszę zacząć od początku – stwierdził i podszedł do barku, na którym stała karafka z koniakiem. Nalał sobie hojnie do szklanki, po czym duszkiem wypił palący trunek. Gdy w jego ciele rozlało się przyjemne ciepło, kontynuował: – Zimą, gdy odwiedzałem Ignacego, miałem niemiłą przygodę. W czasie jazdy złapała nas śnieżycyca.

– Matko święta! I nic mi, synu, nie powiedziałaś?

– Nie chciałem cię niepotrzebnie martwić. Wszystko dobrze się skończyło, wróciłem cały i zdrowy do domu, więc nie było potrzeby wracać do tych chwil.



– Jednak jest potrzeba – wtrącił ironicznie Karol. – Mróz widać uczynił jakieś szkody w twoim mózgu.

– Raczej sercu – mruknął do siebie Józef i nalał kolejną porcję koniaku.

– Jak do tego doszło? – dociekała Maria, lustrując uważnie syna, jakby chciała się doszukać oznak przemarznięcia. – Mocno ucierpiełeś?

– Przemarzliśmy srogo wszyscy trzej. Jednak Maciej i Antoni są zahartowani, przyzwyczajeni do zimna, więc szybko do siebie doszli. U mnie wdało się zapalenie oskrzeli i było ryzyko, że złapię zapalenie płuc.

– O Boże! Tylko nie to! Twój ojciec umarł na zapalenie płuc. To byłoby okrutne, przeokrutne, gdyby los ponownie zadrwił z nas w ten sam sposób.

– Na szczęście dzięki dobrej opiece udało się uniknąć najgorszego.

– Wiedziałaś, że Ignas to porządny i odpowiedzialny człowiek. Nie zostawił cię bez pomocy.

– Owszem, Ignacy jest porządnym człowiekiem, ale śnieżycy złapała nas, gdy jechaliśmy do Gdańska. Znalazł nas pewien mennonita, Jacob. Zabráł nas do siebie do domu, wezwał lekarza. On, jego rodzice i siostra otoczyli nas opieką i dzięki nim wszystko skończyło się szczęśliwie.

– Siostra? – Karol od razu wychwycił zmianę w głosie brata. – Pewnie młoda i ładna, co?

– Gretchen jest niezwykłą kobietą – przyznał Józef. – Postanowiłem, że ją poślubię.

– Bój się Boga, synu! Co to za brednie! Mennonitkę chcesz poślubić? Co to za pomysł!

– No, braciszku, zaskoczyłeś mnie. Nie dość, że chłopkę chcesz poślubić, bo z tego, co słyszałem, u nich nie ma szlachty ani w ogóle żadnych warstw społecznych. Inteligencji też tam nie uświadczysz, wszystko to chłopci, to w dodatku z innowiercami się bratasz.

– Absolutnie się nie zgadzam! Żadnych chłopów w naszej rodzinie – zaprotestowała Maria. – Mennonici! Też coś! Ty naprawdę postradałeś zmysły, rozum i nawet nie masz za grosz przyzwoitości, że mi o takich absurdalnych, idiotycznych pomysłach opowiadasz.

– Mamo, nie krzycz tak – zwrócił jej uwagę Karol. – We dworze jest mnóstwo ludzi. Nie chcę, żeby się dowiedzieli, jakie pomysły chodzą po głowie Józefowi.

– Trudno panować nad nerwami, gdy najstarszy syn opowiada takie banialuki. Mam wręcz wrażenie, że to objawy jakiejś choroby psychicznej.

– Jestem w pełni władz umysłowych – odparł z uśmiechem Józef. – Po prostu postanowiłem porzucić życie, które mnie męczy. Zacznę żyć po swojemu. U boku kobiety, którą kocham.

– Dobrze sobie. – Karol parsknął śmiechem. – Mój brat, hrabia, no, jeszcze hrabia, zakochał się w chłopce i dla niej chce porzucić tytuł i majątek. Doprawdy, jesteś głupszy niż myślałem.

Matka surowo spojrzała na młodszego syna i pokręciła z dezaprobatą głową.

– Karolu, przestań, twoje uwagi są nie na miejscu.

– Prawdę mówię, mamu. On jest po prostu głupi.

Kobieta podeszła do starszego syna i złapała go za dłoń.

– Józefie – zaczęła łagodnie – wiem, że czujesz wdzięczność do tych ludzi, ale zrozum, oni cię zmanipulowali. Niestety, ale jesteś podatny na sugestie i łatwo ulegasz takim sentymentalnym zagrywkom. Oni pewnie to zauważyli i wykorzystali.

– Absolutnie. Byli zaskoczeni moją prośbą równie mocno jak ty. Poza tym wstąpienie do wspólnoty mennonickiej nie jest takie proste. Zamierzam kupić tam ziemię i dom. Zamieszkać wśród nich, żeby mogli mnie poznać i żebym ja ich poznał.

– Synu, po co to? Zupełnie cię nie rozumiem!

– Muszę zyskać aprobatę starszego zboru, ale i przychylność pozostałych członków. Chcę sprawdzić, czy jestem godny, żeby wstąpić w ich szeregi, czy bycie hrabią nie wypaczyło mnie zbyt mocno i czy będę w stanie przyjąć ich wiarę oraz zasady, które u nich obowiązują. Dopiero gdy oni mnie zaakceptują uzyskam zgodę na poślubienie Gretchen.

– Boże! Ja tego nie wytrzymam! Nie dość, że chce zrzec się tytułu, poślubić jakąś głupią wieśniaczkę, to jeszcze zmienia wiarę! – zawołała drżącym głosem matka. – To niewyobrażalne. Nie chcę nawet tego słuchać!

Wyrzuciwszy z siebie pełne żalu słowa, wyszła z pokoju i nie bacząc na zgromadzonych w domu gości, trzasnęła drzwiami.

– Bracie, matka ma rację – powiedział po chwili milczenia Karol. – I choć tytuł hrabiego mnie nęci, to cena jest zbyt wysoka. Wolę się z tobą męczyć do końca życia niż żyć ze świadomością, że stałeś się zwykłym chłopem, odmieńcem i innowiercą, który płodzi bachory z jakąś wieśniaczką.

– Jeszcze raz powiesz tak o kobiecie, którą kocham, to ci rozwalę ten twój arystokratyczny nos, z którego jesteś niezwykle dumny – odparł ze złością. – Gretchen nie jest głupia. Owszem, to chłopka, ale niezwykle mądra, inteligentna i bystra. I czy wam się to podoba, czy nie, ja ją poślubię.

Nie dał bratu szansy na odpowiedź. Z hukiem odstawił trzymaną w dłoni szklankę i poszedł w ślady matki, ale w przeciwieństwie do niej nie trzasnął drzwiami.

## Rozdział 32



Dom dla ubogich w Freienhuben w to sobotnie popołudnie tętnił życiem. Było gwarno, wesoło i pracowicie. Stawiło się bowiem sporo ochotników, którzy pragnęli pomóc w wiosennych zasiewach oraz pozimowych porządkach na podwórku wokół domu, jak i na terenie kościoła. Pracy było sporo, ale i chęci nie brakowało, żeby uporać się z koniecznymi pracami.

Przyjechała też Gretchen z Jacobem. Zaopatrzeni w solidny kosz z jedzeniem oraz narzędzia niezbędne do pracy, radośnie witali się z pozostałymi członkami wspólnoty. Gretchen dołączyła do Elise i Leonore, które wraz z gospodynią domu, Helene, siały w ogródku warzywa. Jacob wraz z innymi młodymi mężczyznami dostał zadanie wykarczowania krzaków oraz odświeżenia okiennic wymagających renowacji.

Gretchen po raz pierwszy czuła się niepewnie wśród członków wspólnoty. Z obawą czekała na ich reakcje oraz pytania. Wieść o tym, że hrabia rozmawiał z Gottliebem Fothem i planuje zrzec się tytułu i przyjąć ich wiarę, by móc ją poślubić, szybko rozeszła się wśród okolicznych wsi. Ojciec zbywał te rewelacje machnięciem ręki, lecz Annchen, której pomysł mariażu z hrabią zupełnie się nie podobał, mocno przeżywała, słysząc, że są na językach sąsiadów. Co prawda bardziej wyrażano zaskoczenie niż krytykę, ale i tak odczuwała mocny dyskomfort i nieustannie namawiała córkę, żeby raz jeszcze przemyślała swoją decyzję.

Dziewczyna myślała nad tym nie raz i nie dwa, ale zawsze dochodziła do tej samej konkluzji. Zależało jej na Józefie, kochała go i chciała poślubić.

– Gretchen, jak miło cię widzieć – zagadnęła Helene, widząc idącą ku pracującym dziewczynę. – Annchen mówiła, że przyjedziesz wraz z Jaco-

bem, żeby nam tu trochę pomóc.

– Dzień dobry. Tak, Jacob poszedł już do wycinki, a ja – uniosła w górę haczkę i grabie – jestem odpowiednio przygotowana do pracy w ogrodzie.

– Dziękuję. Przyda nam się każda para rąk do pracy, bo w tym roku planujemy zrobić większy ogród. Przybyło nam mieszkańców, a nie chcemy obciążać członków wspólnoty, którzy tak hojnie dzielą się z nami swoimi zbiorami. Co się da, to wyhodujemy sami. Mamy jeszcze na tyle siły i zdrowia, żeby tego doglądać.

– Zawsze z chęcią pomożemy – przytaknęła Gretchen. Proszę powiedzieć, co mam robić, bo widzę, że prace już trwają.

– Część osób przyjechała szybciej, więc już zaczęliśmy – przytaknęła gospodyni. – Dołącz do Leonore i Elise. Mają sporo warzyw do wysiania.

Gretchen udała się we wskazanym kierunku, ale serce biło jej jak oszalałe. Wiedziała, że Leonore zaraz zasypie ją pytaniami. Gdy tylko wieść o pomysle hrabiego rozniosła się wśród członków wspólnoty, przyszła do niej w odwiedziny. Nie było jej wtedy w domu, gdyż udała się z Jacobem na pole. Później widać była zajęta i nie miała, jak jej odwiedzić, a Gretchen nie była gotowa, żeby do niej iść i zwierzać się ze swoich planów i uczuć. Źle się z tym czuła, wszak przyjaźniły się od dziecka, ale naprawdę nie miała jeszcze sił na omawianie i analizowanie swojego przyszłego małżeństwa z Józefem.

Sytuacji nie poprawiał fakt, że z Leonore pracowała Elise. Dziewczyna po odejściu Corneliusa do kochanki zamieszkała u siostry i chętnie angażowała się w życie wspólnoty. Wszyscy przyjęli ją bardzo ciepło, z życzliwością i współczuciem. Próbowali nawet zagadywać, krytykując zachowanie jej męża, ale ucinała wszelkie dyskusje, twierdząc, że mu wybaczyła i nie zamierza go osądzać. Od tego jest Bóg, a nie ludzie. Tak postawiona sprawa szybko zamknęła wszystkim usta i choć w domach żywo dyskutowano o tej bezprecedensowej sytuacji, to publicznie nikt tematu nie poruszał.

Gretchen podziwiała jej stoicyzm i umiejętność wybaczenia zdrady. Nie bardzo jednak wiedziała, jak powinna zachować się w obecności Elise. Od

niej właśnie Józef zamierzał kupić dom i ziemię, tak więc dawne gospodarstwo Pennerów miało stać się jej domem, miejscem, w którym stworzy z Koczorowskim rodzinę.

– Jesteś! – zawołała z radością Leonore, gdy tylko zbliżyła się do nich na odległość kilku metrów. Jej oczy błyszczały ciekawością i podekscytowaniem. – Nie mogłam się doczekać, kiedy przyjedziesz.

– Jałówki dzisiaj trochę szalały, więc dłużej nam zeszło z obrządkiem – wyjaśniła, podchodząc bliżej. – Widzę, że sporo już zrobiłyście.

Elise uśmiechnęła się promiennie.

– Tak, szybko idzie. Ziemia dobrze przygotowana, więc bez trudu wytyczyliśmy bruzdy i wysiewamy po kolei to, co mamy w woreczkach.

– Mniejsza z warzywami – odparła Leonore i przysunęła się do Gretchen. – Do naszych uszu dotarła niezwykła nowina.

– Tak?

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. Hrabia poprosił o twoją rękę! To niesamowite. Nigdy, przenigdy nie słyszałam, żeby szlachcic chciał się ożenić z niższą urodzoną, a co dopiero z jedną z nas, mennonitką!

Gretchen miała ochotę pacnąć przyjaciółkę w głowę. To, że wszyscy o tym mówili, było dla niej zrozumiałe, ale nie musiała jej wypytywać tak wprost. I to jeszcze przy Elise, która również wydawała się zmieszana bezceremonialnym zachowaniem Leonore.

– Nie trzymaj nas w niepewności – ponagliła ją przyjaciółka. – Opowiadaj.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, do rozmowy wtrąciła się Elise.

– Dziewczyny, pójdę po kolejną turę nasion, bo te, które dostałyśmy, zaraz nam się skończą.

Gretchen posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie i gdy tylko kobieta się oddaliła, stuknęła swoją haczką o haczkę przyjaciółki. Nie za mocno, ale na tyle silnie, że trzonek wypadł Leonore z rąk.

– Co ty wyprawiasz? Oszalałaś? – zapytała z oburzeniem w głosie przyjaciółka.

– Ja nie, ale ty na pewno – powiedziała ze złością. – Dlaczego pytasz o moje prywatne sprawy przy Elise? Nie mam ochoty opowiadać wszystkim o swoich planach.

– Wybacz. – Na twarzy dziewczyny pojawiła się skrucha. – Ciekawość mnie zaślepiała.

– Rozumiem, że to interesujące, bo dotychczas nic takiego się u nas nie wydarzyło, ale wystarczy mi świadomość, że wszyscy o tym rozprawiają i zastanawiają się, jak do tego doszło. Nie zamierzam dostarczać im kolejnych powodów do dyskusowania o moim życiu.

– Elise nie jest taka. To naprawdę wspaniała dziewczyna i mimo tego, co ją spotkało, jest bardzo życzliwa. Na pewno nikomu by nie powtórzyła naszej rozmowy.

– Jak widać, jest bardzo życzliwa i kulturalna – dodała z naciskiem Gretchen. – Bez trudu domyśliła się, że jest mi niezręcznie, i wymyśliła te nasiona, choć widzę, że w woreczkach ma ich jeszcze tyle, że starczyłoby na obsianie wielu arów.

– Dobrze, przepraszam, nie powinnam, masz rację, ale no sama pomyśl. Toż to niezwykle ciekawe i bardzo ekscytujące.

– Doprawdy?

– Tak! Hrabia, szlachcic, w wyniku zimowej zawieruchy trafia pod twój dach. Ratujesz mu życie, a on się w tobie zakochuje i chce wszystko rzucić, żeby ciebie poślubić. Czyż to nie jest romantyczne?

– Romantyczne?

– Oczywiście, nie udawaj. Widzę, jak ci błyszczą oczy na samo wspomnienie o nim. Jesteś w nim zakochana po uszy i nawet słowem nic mi o tym nie powiedziałaś. Taka z ciebie przyjaciółka!

Tym razem to Gretchen się zawstydziła. Nigdy nie należała do osób wylewnych, ale w stosunku do Leonore naprawdę nie była szczera w kwestii swoich relacji z Józefem. Najpierw dlatego, że sama nie potrafiła zdefiniować tego, co czuła, później zaś myślenie, a co dopiero mówienie o uczuciu do osoby spoza wspólnoty w ogóle nie wchodziło w grę.

Leonore stała oparta o haczkę i spoglądała na przyjaciółkę z wyrzutem.

– Przepraszam, Leo. Nie mówiłam nic, bo tak naprawdę sama nie wiedziałam, czy to uczucie ma w ogóle jakąkolwiek szansę się rozwinąć.

– Rozwinąć! Ty mi w ogóle nie powiedziałaś, że jakieś uczucie jest, a tego się nie robi przyjaciółce. Ja ci zawsze o wszystkim opowiadałam.

– Lubisz opowiadać, a ja nie. Zawsze w tym względzie się różniłyśmy.

– To powiesz mi wreszcie, jak to jest z tym hrabią? – zapytała Leonore, dostrzegając, że Elise wraca z naręczem różnych woreczków. – Prawdę mówią, że zamierza tu zamieszkać i starać się o twoją rękę?

– Tak.

– Doprawdy, wysiliłaś się! Powiedz coś więcej.

– Gdy wyjeżdżał, powiedział, że wróci. Nie bardzo w to wierzyłam, bo gdzie ja, a gdzie on. – Wzruszyła ramionami. – Dwa zupełnie różne światy. Mimo to gdzieś na dnie serca tliła się nadzieja. Jednak dni mijały, a jego wciąż nie było.

– Ale przyjechał!

– Tak. I poprosił mnie o rękę. W pierwszej chwili odmówiłam.

– Co?!

– Nie widziałam siebie w roli hrabiny. Poza tym nigdy bym nie zostawiła rodziny i nie zmieniła wiary.

– I wtedy on powiedział, że wszystko dla ciebie rzuci – dodała rozmarzonym głosem Leonore. – To naprawdę bardzo romantyczne.

– Co ty z tym romantyzmem?

– Proza życia mi się znudziła, ot co. Pranie, gotowanie, opieka nad dziećmi, domem. – Na twarzy Leonore pojawił się nieprzyjemny grymas. – Nie jest źle. Isaak bardzo o mnie dba i stara się okazywać, że mu na mnie zależy, ale nijak to się ma do twojej historii.

– Po ślubie chyba zawsze znika romantyzm, a na jego miejscu pojawia się szara codzienność.

– Niestety. Mów jednak szybko, co dalej, bo Elise jest coraz bliżej.



– Resztę na pewno znasz. zaproponował, że to on przeprowadzi się tutaj i zmieni wiarę. Poprosił mojego ojca o zgodę, a ten, ku mojemu zaskoczeniu, zaaprobował jego starania. Podobnie jak Foth.

– Wspaniale. Bardzo się cieszę. Na pewno będziesz szczęśliwa u jego boku. Tylko ktoś, kto bardzo kocha, jest gotów na takie poświęcenia.

– Tak, myślę, że tak, ale i ja go darzę uczuciem.

– Domyśliłam się, choć nic mi nie mówiłaś. Nieładnie. – Pogroziła jej żartobliwie palcem. – Ubolewam jedynie nad tym, że tak krótko będziemy sąsiadkami. Dom Pennerów jest kawałek drogi od nas.

– Przecież to tylko kilkanaście kilometrów.

– Wiem, ale z trójką małych dzieci nie jest łatwo wyrwać się z domu, a minie kilka lat, zanim podrosną. Zresztą... – Urwała i się zaczerwieniła.

– Co?

Rumieniec przybrał na sile.

– Leonore, czyżbyś była w ciąży?

– Nie wiem, jeszcze chyba za wcześnie na takie stwierdzenia, ale za jakiś czas na pewno będę, a wtedy już zupełnie trudno będzie podróżować.

– W takim razie ja ciebie będę odwiedzała.

– Chyba, że sama zajdziesz w ciążę – powiedziała z rozbawieniem – i wtedy będziemy się spotykały jedynie w kościele.

Gretchen nie odpowiedziała, gdyż dołączyła do nich Elise, ale myśl o dzieciach z Józefem wydała jej się bardzo miła. Tym miłsza, że pocałunki z ukochanym były niezwykle przyjemne, a sam proces powoływania na świat dzieci niezwykle ją interesował. Nie mogła się doczekać, kiedy zgłębi jego tajniki i stanie się szczęśliwą posiadaczką kilkorga potomków.

## Rozdział 33



Korzystając z tego, że dwór w Witosławiu był wypełniony gośćmi i nie zanosiło się na to, żeby mieli oni prędko wyjechać, Józef zajął się formalnościami. Proces był zmuszony, niekiedy przykry, ale nie zważał na dyskomfort z tym związany. Miał cel i do niego dążył. Mocno wspierała go w tym babcia oraz Adam Sacki, który wiele spraw mu ułatwił, a i w innych nie zostawił bez rady.

Pieniądze podjęte z banku leżały dobrze zabezpieczone w sakwie podróżnej. Część gotówki miał w domu, więc któregoś dnia, korzystając z wczesnej godziny i tego, że większość udała się na polowanie, opróżnił swój sejf oraz kazał kamerdynerowi spakować swoje ubrania. Przemknął chyłkiem, poruszając się po pomieszczeniach dla służby i nie zwracając uwagi gości, wrócił do dworu Izabeli.

Z ulgą wjeżdżał na babciny dziedziniec. Koło stajni kręcił się Antoni, więc czym prędzej skierował tam konia. Mina stangreta nieco go zaskoczyła.

– Cóż ty taki skwaszony? Stało się coś, jak mnie nie było?

Mężczyzna zdjął czapkę i zaczął ją nerwowo miętolić w rękach.

– Nie, panie hrabio.

– Już wnet nie hrabio, mój drogi – zawołał wesoło, zeskakując z konia. – Jeszcze tylko kilka papierów podpiszę i uwolnię się od tego tytułu.

– Właśnie, jaśnie panie, jeszcze chwila i pan wyjedzie.

– O tak, nie mogę się doczekać tego dnia! Zaprawdę, czekam go z utęsknieniem.

– Straszna to szkoda, panie hrabio, eee, znaczy jaśnie panie.

– Dlaczegoż szkoda? Przez Karola? Martwi cię, że on zostanie dziedzicem i jemu będziesz służył?

– To też, ale mocniej to mnie czego innego żal.

– Mów, czegoż to ci tak żal?

Mężczyzna wcisnął czapkę do kieszeni, chrząknął mocno zmieszany i wbił wzrok w ziemię.

– Antoni, a co z tobą? Od kiedy to tak służebnie przede mną stoisz? Rozmawiaj ze mną normalnie, jak zawsze. Przeszłujesz z nogi na nogę, chrząkasz, ręce wykręcasz. To zupełnie niepodobne do ciebie.

– Bo ja też bym chciał – wyszeptał ledwo dosłyszalnie.

– Co byś chciał?

– Jechać. Z panem. Do mennoitów. I tam zamieszkać na stałe.

Józef gwizdnął przeciągle, cmoknął po czym położył słudze rękę na ramieniu w przyjacielskim geście.

– Antoni, wiesz, jak wygląda życie u nich. Jest zupełnie inne niż tu. I ja będę żył zupełnie inaczej. Nie będę miał służby jak we dworze. Owszem, najmę parobków do pracy w polu, bo sam przecież tego nie obrobię, a i w domu ktoś będzie musiał mi gotować, zanim zamieszka w nim Gretchen. Jednak – urwał, szukając odpowiednich słów – wiesz, nie będę potrzebował stangreta. Mennonici mogą to uznać za oznakę snobizmu, a bardzo mi zależy na dostosowaniu się do ich zasad.

– Wiem, jaśnie panie, ale...

– Śmiało, mów.

– Jestem synem chłopów przecież i znam pracę w polu. Naprawdę umiem uprawiać ziemię. Może nie tak nowocześnie jak mennonici, bo u nas to ani takich sprzętów nie było, ani odmian zbóż tyłu, ale znam się na pracy. Przysięgam, panie hrabio, znam się – powiedział żarliwie, uderzając zaciśniętą dłońią w pierś.

– Ty mi tu nie przysięgaj, toż wiem, że prawdę mówisz. Poza tym u mennonitów nie można składać przysięg, to jedna z ich naczelných zasad i le-

piej żebyś ją zapamiętał, skoro wśród nich chcesz mieszkać.

– Czy, yyy, czy to znaczy, że mogę jechać z panem?

– Jeśli jest taka twoja wola, to ja nie mam nic przeciw. Przyda mi się zaufany, pracowity człowiek wśród tylu obcych twarzy – odparł z uśmiechem. – Tylko musisz przestać mówić do mnie „hrabio” i...

– Tak, proszę pana, będę pamiętał!

– Antoni, jest jeszcze coś, i to znacznie ważniejszego.

– Co, panie?

– Chcąc należeć do wspólnoty, trzeba przyjąć ich wiarę.

– Myślałem o tym bardzo długo i to było najtrudniejsze, ale ja to tak rozumiem, po chłopsku, że Pana Boga można kochać wszędzie. Przecież nie będę się wyrzekał wiary w Boga, ino zmienię sposób czczenia jego świętego oblicza, czyż tak?

– I ja tak to pojmuję i w ten sposób do sprawy podchodzę. Widzisz, Antoni, my to jednak bardzo podobni jesteśmy.

– Dziękuję, jaśnie panie. Czyli mogę, naprawdę mogę jechać?

– Możesz. Za kilka dni ruszamy, więc weź ze dwa, trzy dni wolnego i jedź do swojej rodziny, spędź z nimi trochę czasu, bo tak szybko tu nie przyjedziemy, a kto wie, może i nigdy?

– Wiem, panie, liczyłem się z tym i bardzo dziękuję za wolne. Matka się ucieszy, bo dawno się nie widzieliśmy.

– Nie będzie zła na twoją decyzję?

– Matka zrozumie, a ojciec dawno już nie żyje. Bracia zaś ucieszą się, że wyjeżdżam, bo to znaczy, że żadnych roszczeń do ziemi nie będę miał. Zresztą i tak nie zamierzałem mieć. Dla mnie ważne, że mam pracę, gdzie mieszkać i co jeść, a oni matką się zajmują, dbają o nią, więc im się ojcowiżna należy, a nie mnie.

– Mądrze prawisz. Leć więc i wróć za trzy dni.

– Jaśnie panie, czy mogę jeszcze jedną sprawę mieć?

– Możesz, tylko mów szybko, bom zgłodniał.

– Co z Maciejem? Czy on też może jechać? Kaleka jest, ale drobne prace może w polu wykonywać.

Józef zmarszczył brwi, rozglądając się za Maciejem, ale nigdzie go nie było widać.

– Źle mu u mojej babki?

– Nie, nie. Pani Izabela bardzo dba o niego, ale... Tak niezręcznie mi mówić, jaśnie panie.

– Antoni, naprawdę jestem wściekle głodny, więc bez ceregieli proszę.

– Pani Izabela ma już swoje lata. I chłopina się martwi, co z nim będzie, jak pan wyjedzie, a ona umrze. Pański brat na pewno nie pozwoli mu zostać. Od razu przepędzi w diabły, a on z tą nogą, to wiadomo, pracy nigdzie nie znajdzie, a nie ma dokąd wracać.

– Niechaj więc i on z nami jedzie. Idź mu powiedz, a ja pędzę się posilić.

Antoni skłonił się z wdzięcznością i nie zatrzymując już Józefa, poszedł obwieścić Maciejowi dobrą nowinę.

Nie dane jednak było Józefowi zjeść spokojnie. Ledwo zasiadł do stołu w ulubionym saloniku babci i nałożył sobie kilka kiełbasek naprędce przygotowanych przez kucharkę, gdy we dworze zjawiała się jego matka z bratem.

– Szykuj się – powiedziała spokojnie Izabela, spoglądając na wnuka z nadrobótki. – Zaraz się zacznie awantura.

– Gdzie on jest?!

W holu rozległ się donośny krzyk matki. Józef skrzywił się szpetnie, ale nie przerwał spożywania posiłku. Był tak głodny, że nic go nie mogło odebrać od jedzenia.

Nie musieli jednak długo czekać. Po kilku minutach z hukiem otworzyły się drzwi do saloniku.

– Jaśnie pani, zaraz zaanonsuję. – Kazimierz, kamerdyner, próbował pełnić swoją rolę. – Powiadomię...

– Sama powiadomię! Zejdź mi z drogi, staruchu!

Kazimierz został bezceremonialnie odsunięty. Maria zrobiła to z takim rozmachem, że mocno posunięty w latach mężczyzna zatoczył się i wpadł na ścianę.

– Mario – głos Izabeli był ostry jak brzytwa – nie życzę sobie, żebyś w ten sposób traktowała moją służbę. Jesteś w moim domu, ja tu rządzę i jeśli chcesz zostać pod tym dachem, to zachowuj się należycie.

– Dzień dobry, babciu – wtrącił szybko Karol, chcąc rozładować napiętą atmosferę. – Pięknie wyglądasz.

Izabela zignorowała komplement powiedziany przez wnuka. Jej uwaga skupiona była na synowej, która w rozwichrzonej fryzurze i krzywo zapiętym płaszczu posyłała teściowej nienawistne spojrzenia.

– Mario?

– Niech mama nie udaje takiej świętej! Józef zachowuje się jak opętany, tytułem rzuca, majątku się zrzeka, a mama co? Martwi się jakimś sługusem?!

– Kazimierz służy mi, odkąd byłam małą dziewczynką i jest dla mnie jak członek rodziny. Ma też więcej klasy i ogłady niż niejeden szlachetnie urodzony. Również spośród tych zgromadzonych tutaj – dodała, patrząc na synową znacząco.

– Doprawdy, proszę sobie darować te insynuacje! – Maria naprędce odpięła guziki i ze złością rzuciła płaszcz na podłogę. – Mamy ważny rodzinny problem i na tym trzeba się skupić, a nie na jakichś nic nieznaczących osobach.

Maria dostojnym krokiem podeszła do kamerdynera.

– Kazimierzu? Wszystko w porządku?

– Tak, jaśnie pani, dziękuję. Przynieść herbatę?

– Jadwiga niech przyniesie. Ty odpocznij. Dość miałeś stresów na dzisiaj.

– Paradne – prychnęła Maria, kręcąc z niesmakiem głową. – Taka mama troskliwa, a o swoją rodzinę, o nasze dobre imię w ogóle nie dba!

– Mamo – Józef z żalem odsunął od siebie talerz z jedzeniem – niepotrzebnie atakujesz babcię. To moja decyzja i tylko moja. Atakując Izabelę absolutnie nic nie wskórasz.

– Chłopka! To zwykła chłopka, idioto! Jesteś hrabią, więc zachowuj się jak na hrabię przystało!

– Już w zasadzie nie, kilka formalności i tytuł przejdzie na Karola – odparł Józef, nerwowo zaciskając szczęki. – A ja, wolny od waszych oczekiwań, zacznę żyć tak, jak sobie zaplanowałem.

– Nieźle, braciszku – stwierdził Karol, siadając do stołu. – Tytułem nie pogardzę. Nawet mogę zaakceptować to, że chcesz się związać z tą mennonitką, ale do jasnej cholery, nie musisz się z nią żenić i kalać naszego rodu powiązaniem z jakimiś prostakami.

– Właśnie! – zawtórowała mu matka. – Czy ty myślisz, że jak wyjedziesz, to nikt się nie dowie, co robisz, jak żyjesz?! Szybko to odkryją! Wybuchnie skandal, który okryje nas niesławą. Nie możesz myśleć tylko o sobie. Co z nami? Z Karolem, twoją siostrą?

Józef pobladł, a powieka drgnęła mu nerwowo.

– Doprawdy, Mario – Izabela przewróciła wymownie oczami – takie prostackie zagrywki nie przystają damie. Anna od dawna jest mężatką i wie, gdzie szczęśliwe życie. Jej mąż jest bardzo dobrze ustosunkowany, więc nikt nawet słówkiem nie piśnie w ich towarzystwie, a że będą gadali? Zawsze gadają, taka rozrywka szlachty. Wyjątkowo obłudna, zakłamana i pozorancka grupa społeczna.

– Też do niej należysz – wytknęła jej Maria.

– I dlatego wiem, co mówię. Znam ich doskonale – odparła Izabela, wracając na swoje miejsce i ponownie biorąc robótkę do ręki. – Co do Karola, to bez problemu odnajdzie się w roli hrabiego, a nikt nie będzie chciał mu podpaść nadmiernym plotkowaniem, żeby nie zepsuć dobrosąsiedzkich stosunków tudzież szans na ożenek z którąś z panien na wydaniu. Poza tym nasza rodzina od lat prowadzi, podkreślę, że z powodzeniem, rozliczne interesy z ludźmi zajmującymi znaczne stanowiska, więc nie będą chcieli psuć tych intratnych relacji.

– I co z tego? – Maria się nie poddawała. – Skandal jest skandalem.

– Och, nie bądź taka pruderyjna.

– Wystarczy, że ty jesteś bezpruderyjna – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Czy ty myślisz, że my nie wiemy o ciągłych wizytach Sackiego? Czy też może myślisz, że jesteśmy tak głupi, że nie wiemy, co was łączy?

– Nie bardzo mnie obchodzi, co o tym myślicie. – Seniorka rodu wzruszyła ramionami. – Skoro jednak byłaś łaskawa o tym wspomnieć, to zauważ, że pewnie nie wy jedni tak myślicie.

– Pewnie nie! I to kolejny powód do wstydu, mamó!

– Widzisz, wiedzą, a milczą. Taka tajemnica poliszynela – odparła z uśmiechem. – Wiesz, dlaczego milczą, choć myślą, co myślą?

Maria w odpowiedzi zacisnęła usta w wąską linijkę i odwróciła głowę w drugą stronę.

– A więc wiesz. Milczą właśnie z tych powodów, które wcześniej wymieniłam, i milczeć z tychże samych powodów będą w sprawie Józefa.

– Szach mat – podsumował krótko Karol, a w salonie zapadła grobowa cisza.



## Rozdział 34



Józef opuszczał dwór w Witosławiu z wielką radością w sercu. Musieli jechać na dwa pojazdy, gdyż w jednym nie zmieściły się jego rzeczy, ale miało to tę zaletę, że mógł zabrać swoje ulubione konie. Karol był tak szczęśliwy z powodu uzyskania tytułu hrabiego, że hojnie go wyposażył nie tylko w dobra rodowe, ale i najlepsze odmiany zbóż odpowiednio przygotowane do zasiewu.

Matka wciąż była obrażona, więc nawet nie zeszła, żeby się z nim pożegnać. Najtrudniej było mu się rozstać z babcią, bo jak słusznie zauważył Antoni, była już wiekowa i wnuk nie miał pewności, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Izabela wyczuła jego obawę, bo kazała mu jechać spełniać marzenia, nie martwiąc się o nią, gdyż u jej boku jest Adam i również zamierza szczęśliwie spędzać każdy dzień.

Uspokojony jej słowami, choć wciąż z obawą w sercu ruszył ku swojemu przeznaczeniu, ku Gretchen i wspólnocie mennonickiej, w której planował zacząć nowe życie. Zdawał sobie sprawę ze swoich braków, więc jeden z kufrów był wypełniony książkami związanymi z uprawą roli. Niektóre pozycje niełatwo było dostać, ale i tu z pomocą przyszedł mu Sacki, choć na pierwszy rzut oka skromny i niepozorny, to posiadał rozliczne kontakty.

Podróż trwała długo, bo obarczeni ładunkiem nie mogli przyspieszyć. Nastął jednak ten upragniony dzień, gdy zajechał pod Hauskampe, a jego oczom ukazała się zagroda holenderska Dycków. I choć nie wypadało biec, to nie zważał na konwenanse. Wskoczył z powozu i jak sztubak pobiegł do drzwi, łomocąc w nie z zapalem.

Ku jego rozczarowaniu otworzyła mu pani Dyck, której surowy wyraz twarzy od razu sprowadził go na ziemię.

– Dzień dobry, szanowna pani Dyck.

– Dzień dobry. Jednak pan przyjechał.

– Owszem, tak jak mówiłem, tak jestem. Załatwiłem wszystko, co niezbędne, i teraz wolny od tytułu mogę starać się o rękę pani córki.

Kobieta pokiwała sceptycznie głową i otworzyła szerzej drzwi, zapraszając go do środka. Po chwili pojawili się Heinrich i Jacob. Gretchen nie było widać.

– Paniutki Gretchen nie ma? – zapytał Józef z niepokojem w głosie.

– Jest, zaraz przyjdzie – odparł Heinrich. – Może się pan czegoś napije? Czy może woli pan jechać obejrzeć gospodarstwo, o którym rozmawialiśmy? Elise Penner zgodziła się je dla pana przetrzymać, więc jeśli będzie panu odpowiadała ta ziemia, dom i oczywiście cena, choć przyznam, że jest naprawdę przyzwoita, to umówię wizytę u notariusza, żeby dopełnić formalności.

– Jedliśmy po drodze, więc jeśli można, to chciałbym zobaczyć ten dom.

– Dobrze, zaraz z panem pojedę – zaproponował Heinrich. – Jacob, pojedziesz po Elise? Co prawda dała mi klucze od domu, ale lepiej, żeby była na miejscu, to od razu pan hrabia...

– Już nie hrabia – wtrącił Józef. – Zrzekłem się tytułu.

Na ustach Heinricha pojawił się pełen satysfakcji uśmiech.

– Doskonale. Tym bardziej więc należałoby jak najszybciej sprawę załatwić. Jacobie?

– Naturalnie, ojciec – przytaknął gorliwie młodzieniec. – Zaprzęgnę konie i jadę. Spotkamy się na miejscu.

Gdy tylko Jacob wyszedł, pojawiła się Gretchen. Jeszcze piękniejsza, niż ją pamiętał. Trochę schudła, przez co jej rysy lekko się wyostrzyły. Wielkie, ciemne oczy błyszczały radością, a policzki pięknie krasiał rumieniec.

– Gretchen – wyszeptał bezgłośnie, w spojrzeniu zawierając cały ogrom miłości, która zalała jego serce.

– Dzień dobry – powiedziała dźwięcznym głosem, posyłając mu tak piękny uśmiech, że miał ochotę chwycić ją w ramiona i całować.

Zamiast tego chrząknął, podszedł do niej i z szacunkiem ucałował dłoń.

– Wspaniale panienka wygląda.

– Dziękuję. Czy udało się wszystko załatwić?

– Oczywiście.

– Gretchen – wtrącił jej ojciec – jedziemy obejrzyć gospodarstwo Pennerów. Chcesz jechać z nami?

– Naturalnie. Chętnie zobaczę, jak dom wygląda w środku.

– Annchen? – Tym razem Heinrich skierował słowa w stronę żony. – Jedziesz z nami?

– Nie, zostanę. Ktoś musi mieć oko na dom i zwierzęta.

– Dobrze więc, ruszajmy, żeby Jacob i Elise nie musieli na nas czekać.

Józef z ulgą przyjął te słowa. Gdy kierowali się do wyjścia, starał się iść jak najbliżej Gretchen. Udało mu się to i kiedy przechodzili przez sień, ściśnął ukradkiem jej dłoń. Odwzajemniła uścisk. Była to obecnie jedyna pieszczota, na jaką mogli sobie pozwolić, ale po tak długiej rozłące nawet zwykłe muśnięcie sprawiało, że jego serce biło jak szalone.

– Cóż to? – Spojrzenie Heinricha padło na Antoniego i Macieja. – Ze służbą pan przyjechał?

– Nie. To wolni chłopci, którzy wyrazili chęć pojechania ze mną. Zatrudnię ich do pracy w gospodarstwie, bo sam nie obrobię wszystkiego, ale oprócz tego, że chcą dla mnie pracować, to również pragną dołączyć do waszej wspólnoty. Mieli okazję mieszkać pod waszym dachem, poznać wasz system wartości i zdecydowali, że chcą żyć tak jak wy, jak mennonici.

– Doprawdy? Antoni?

– Tak, panie Dyck. Chcę zamieszkać i pracować wśród was. Maciej również.

– Hm, widzę, że zbór nam się zaczyna rozrastać. Trzeba będzie to omówić z Gottliebem, jeśli on wyrazi zgodę, to i ja was z przyjemnością powi-

tam.

Gretchen posłała Józefowi pytające spojrzenie, lecz on jedynie wzruszył ramionami.

– Dziękuję, panie Dyck. Panienko Gretchen, dobrze panią widzieć.

– Pana też, panie Antoni. I pana Macieja.

Obaj lekko spłoszeni i zawstydzeni cofnęli się w stronę wozu.

– Może zdejmujemy te kufry i zostawimy na podwórku? – zaproponował Heinrich. – Chociaż, jak się porozumiecie, to można je będzie od razu na miejscu zostawić. Jak pan myśli, Józefie?

– Weźmy je. W powozie jest dość miejsca, więc bez problemu się zmieścimy.

Józef miał ochotę usiąść obok ukochanej, uznał jednak, że byłaby to zbyt duża poufałość, a nie chciał się narażać Heinrichowi. Zdecydowanie lepiej było mieć go po swojej stronie. Wystarczało, że pani Dyck nie była entuzjastką pomysłu mariażu i niechętnie spoglądała na wsparcie, którego udzielał Koczorowskiemu jej mąż.

Po drodze słuchał, a raczej udawał, że słucha, szczegółowych informacji na temat ziemi, metrażu budynków gospodarczych, ilości bydła, jaką tam można trzymać, oraz sprzętu, który Elise zdecydowała się sprzedać. Józef potakiwał, wyrażał zainteresowanie a nawet zachwyty. Tak naprawdę nie przyswoił ani jednej wiadomości, gdyż jego uwaga była skupiona na Gretchen.

I choć ona spoglądała przez okno, to i tak ukradkiem posyłała mu spojrzenia. Nie mógł wyjść z zachwyty nad gładkością jej cery, pięknem oczu, ust, włosów. Zdawała mu się idealna.

W jej głowie pojawiały się podobne myśli, a rumieniec, który co jakiś czas wpelzał na policzki, zahaczając o szyję i dekolt, jasno świadczył o tym, że nie tylko o ciemnych oczach oblubieńca myśli.

Heinrich stuknął w dach powozu i nakazał Antoniemu skrócić w prawo. Po kilkunastu metrach dojechali na miejsce, a ich oczom ukazał się imponujących rozmiarów dom podcieniowy.

Nawet Józef był pod wrażeniem jego wielkości oraz kunsztu wykonania. Widział wiele takich budynków, ale żaden z nich nie dorównywał temu.

– Wspaniały – powiedział z zachwytem. – I te rzeźbione słupy w stylu jońskim podtrzymujące podcień są naprawdę niezwykle.

– Piękne, ale i funkcjonalne. To bardzo duży podcień, podtrzymywany przez osiem słupów z przodu, a są jeszcze boczne. Osobiście jednak wolę zagrody typu wzdluznego, w której mieszkamy my i właściwie większość mennonitów. Są praktyczniejsze.

– Wygląda naprawdę wspaniale. Nigdy nie widziałem podcienia w środku. Bardzo mnie ciekawi zagospodarowanie przestrzeni wewnętrznej – powiedział Józef, udając zainteresowanie budynkiem. – Na pewno sporo się tam mieści.

Ukradkiem puścił oko do Gretchen, która w lot pojęła jego intencje.

– Różnie z tym bywa, a kładą tam, co kto woli, zboża, sprzęty, a i pokoje urządzają. – Heinrich machnął ręką. – Gdzież ten Jacob zamarudził? Nie ma ich jeszcze. Może nie znalazł Elise?

– Skoro i tak czekamy, ojczy, to może pokażmy panu Józefowi podcień, którego nigdy nie widział? – zaproponowała Gretchen obojętnym tonem.

– W sumie można, klucz mamy, ale od kilku dni kolano mi dokucza, a tam sporo schodów do przejścia – odparł Dyck, rozcierając kolano. – Weźcie Antoniego i idźcie sami. Tylko uważajcie na tych schodach, bo bywają zdradliwe, a ja z Maciejem poczekamy tu na Jacoba.

Józef spojrzał na Gretchen z uznaniem i siłą się na spokój, wolnym krokiem podążył za nią do wnętrza domu. Antoni domyślnie znikł im z pola widzenia, gdy tylko weszli na górę. Koczorowski obiecał sobie, że musi suto wynagrodzić parobka, który okazał się przyzwoitką idealną.

Podcień był pusty. Do pomieszczenia, przez liczne okna, wpadały promienie słońca, rozpraszając półmrok i czyniąc je przytulnym. Pojedyncze ziarna widoczne w szczelinach wskazywały, że służył poprzednim właścicielom za magazyn. Józef jednak zupełnie nie był zainteresowany historią

i przeznaczeniem tego miejsca. Chwylił wreszcie w ramiona swą ukochaną, by chłonąć jej zapach, ciepło i smak ust.

Minuty mijały, a oni wciąż trwali w miłosnym uścisku, z którego wyrwał ich dopiero turkot kół toczących się po brukowanej drodze. To był znak, że czas zakończyć umizgi i zejść na dół.

– Kocham cię, Gretchen, szalenie cię kocham i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

– Ja ciebie też, Józefie.

Trzymając się za ręce, podeszli do okna, żeby spojrzeć, jaki widok będzie im towarzyszył w wymarzonej przez nich codzienności.

– Jest pięknie – powiedziała Gretchen z zachwytem.

– A będzie jeszcze piękniej, moja ukochana. Jeszcze trochę i zamieszkamy tu razem, wypełniając te pomieszczenia naszą miłością i jej owocami.

Odpowiedziała spojrzeniem, w którym zawarła całą swą radość, miłość oraz wiarę, że łączy ich wspólna przyszłość. Czekali ich trudny, ale piękny czas.

# Mennonici



*Mennonityzm powstał w połowie szesnastego wieku na obrzeżach szerszego ruchu protestanckiego rozwijającego się w Niderlandach i północnych Niemczech. Miały wówczas miejsce pewne działania opozycyjne wobec głównych, administracyjnie spetryfikowanych, struktur kościelnych. Można je podzielić na ruchy próbujące radykalnie i często wojowniczo wpływać na zmianę reguł organizacji życia religijnego oraz – przeciwnie – na ruchy pokojowo kontestujące zastaną rzeczywistość. Drugi wskazany tutaj sposób myślenia i działania typowy był właśnie dla mennonitów, prowadził do chęci pozostawienia „zepsutego świata” w rękę szatana i budowania w izolacji nowej, prawdziwie chrześcijańskiej społeczności. Stanowił pacyfistyczną opozycję wobec głównych, wojowniczo nastawionych nurtów ruchu anabaptystycznego.*

*Organizator podstaw pokojowego anabaptyzmu, były ksiądz, Fryzyjczyk Menno Simons (1496–1561), powtórzył powszechnie dyskutowane na początku szesnastego wieku w kręgach europejskich herezjarchów elementy doktrynalne: antypedobaptyzm (chrzest dorosłych), zakaz składania przysięgi, uznanie Nowego Testamentu za regułę postępowania; od siebie dodał bezwzględny pacyfizm oraz propozycję stworzenia modelowej organizacji gminnej. Jednak oryginalności jego idei należy upatrywać przede wszystkim w likwidacji stanu duchownego jako społecznie wyodrębnionej klasy (...). W praktyce mennonityzm stał się ruchem religijnym obejmującym przede wszystkim masy chłopskie oraz miejskich plebejuszy<sup>[18]</sup>.*

W wyniku prześladowań spora grupa mennonitów trafiła na ziemie polskie, gdzie na bardzo preferencyjnych warunkach otrzymała w dzierżawę spore połacie ziem na Żuławach. W zamian mieli osuszyć ten teren i doprowadzić go do stanu użytkowego.

Ich dzieje po przybyciu na ziemię polskie wplotłam w tło powieści, więc na przykładzie losów fikcyjnych bohaterów możecie prześledzić, co było dalej, a że było tego znacznie więcej niż opisałam, to znaczy, że zamierzam jeszcze o mennonitach napisać książkę, albo i pięć. Ile dokładnie, to czas pokaże...



# Podziękowania



Ta książka by nie powstała, gdyby nie kilku mężczyzn, a dokładnie trzech historyków, którzy podzielili się ze mną swoją wiedzą oraz materiałami.

Zacznę od tego najważniejszego, który jako pierwszy zwrócił moją uwagę na mennonitów: Arkadiusz Ciszewski. Dzięki temu, że do mnie napisał i skorygował informację na temat domów typowych dla mennonitów, zaczęłam szukać, szperać i zagłębiać się w historię tej grupy społecznej. Oczywiście dlatego, że chciałam sprawdzić, czy ma rację. No i miał... Podziękowałam mu więc za poprawienie mojego błędu i tak sobie o tych mennonitach zaczęliśmy rozmawiać. Podsyłał mi linki do ciekawych artykułów i zdjęć, odpowiadał na nurtujące mnie pytania i wspierał w dążeniu do pogłębienia wiedzy na ich temat.

Dzięki niemu trafiłam do Łukasza Kępskiego, który specjalizuje się w historii mennonitów. Od niego usłyszałam historię hrabiego, który zrzekł się tytułu dla mennonitki. Szczegółów niestety nie znał, ale od czegoż jest fantazja pisarza... Podsunął temat, a ja dorobiłam do tego tło i emocje.

Serdeczne podziękowania również dla Leszka Sarnowskiego, który ma przebogata biblioteczkę, a w niej mnóstwo książek, które normalnie są nie do zdobycia. Leszek życzliwie użyczył mi swojego księgozbioru i dzięki temu mogłam zdobyć potrzebne informacje dotyczące życia codziennego mennonitów.

Muszę przyznać, że była to książka trudna do napisania. Najtrudniejsza z moich wszystkich. Nie chodzi nawet o epokę czy odmienne realia panujące wśród mennonitów, ale o te szczegóły – miary, wagi, sprzęty, ubrania, czyli wszystko to, co tworzy tło. Niby tylko tło, ale bez tego powieść nie jest

wiarygodna, a ja głupot nie chciałam pisać, więc szukałam, czytałam, jeździłam po dawnych wsiach mennonickich, zwiedzałam zagrody holenderskie, domy podcieniowe, cmentarze. I to mi zajęło mnóstwo czasu – drobiazgi i szczegóły, które musiałam poznać i zobaczyć, zanim o nich napisałam.

Jeśli chodzi o materiały źródłowe, to było ich tak wiele, że nie sposób wszystkich wymienić, ale o kilku wspomnę, gdyż stanowiły istotną pomoc w pisaniu powieści.

Ramę wydarzeń zbudowałam na informacjach uzyskanych z książki Heinricha Dycka *Dziennik żuławski 1878* (red. Leszek Sarnowski, Andrzej Kasperk, wyd. Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich Taka Gmina, Sztum – Nowy Dwór Gdański 2015). To oryginalny diariusz, spisywane dzień po dniu świadectwo jednego roku z życia mennonitów. Dzięki tym zapiskom mogłam odtworzyć sposób życia tej niezwykle ciekawej grupy społecznej.

Niezwykle pomocne okazały się też materiały zamieszczone na końcu książki Dycka: tekst Jurgena Weigle *O mennonitach* oraz Andrzeja Kasperka *Żuławski chłop potęgą jest i basta*, który skłonił mnie do przeanalizowania materiałów dotyczących uprawy ziemi w poszczególnych zaborach.

Opisy potraw i przysmaków oraz szczegóły jadłospisu mennonitów tworzyłam, bazując na książce Wojciecha Marchlewskiego *Mennonici. Życie codzienne od kuchni* (Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2014), a wewnątrz – czerpiąc z zapisków Wincentego Pola *Na lodach, na wyspie, na groblach* (Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1989) oraz Tadeusza Józefa Chamskiego *Opis krótki lat upłynionych* (PIW, Warszawa 1989), które cudem udało mi się kupić.

To tylko część książek i materiałów. Inne też oczywiście były pomocne, ale to z tych wymienionych korzystałam najczęściej.

Wspomnę jeszcze na koniec, że źródła historyczne bywają sprzeczne, a zdania historyków – odmienne, jedni na przykład podają, że bardziej konserwatywni byli Flamandowie, inni – że Fryzowie. No i weź tu, człowieku, dojdź prawdy... Skorzystałam więc z prawa pisarza i wybrałam tę

wersję, która mi bardziej pasowała do akcji powieści. Ha, pisarze obyczajowi mają łatwiej niż historycy – czego nie wiemy, to sobie dopowiemy.

Mam nadzieję, że ta powieść, inna od moich dotychczasowych, przypadła wam do gustu i chcecie wiedzieć, co dalej z Józefem i Gretchen. Dajcie znać! Znajdziecie mnie na fb: „Sylwia Kubik – pisarka z Powiśla” i na ig: sylwia.kubik\_pisarka.

Ślę serdeczne pozdrowienia i masę uścisków.



# Przypisy



[1] W centrum domu znajdowała się tzw. czarna kuchnia – kwadratowe, murowane pomieszczenie, nad którym wznosił się masywny komin. W budynkach o zbliżonych szerokościach traktów czarna kuchnia znajdowała się pośrodku traktów, częściej jednak mieściła się w całości lub w większej części w trakcie wielkiej izby. Pierwotnie palenisko w czarnej kuchni nie było połączone z kominem – potrawy przyrządzano na otwartym ogniu, a dym uchodził przez otwór kominowy. Zob. *Mennonici na Żuławach. Ocalone dziedzictwo*, praca zbiorowa, Muzeum Narodowe w Gdańsku, Gdańsk 2008, s. 68.

[2] Dziś: Nowy Dwór Gdański.

[3] Wiaderko wykonane z drewnianych klepek.

[4] Kwarta to równowartość 1 litra.

[5] Drewniane naczynie z pałąkiem na wierzchu służące do noszenia wody lub mleka.

[6] Dziś: rzeka Wisła.

[7] Dziś: wieś Żuławki.

[8] Dziś: Izbiska.

[9] Dziś: Tujsk.

[10] Dziś: Stobiec.

[11] Kawa zbożowa.

[12] Dziś: Cyganek.

[13] Łac. Krzyż jest moim prawdziwym zbawieniem.

[14] Za: Wojciech Marchlewski, *Mennonici. Życie codzienne od kuchni*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2014, s. 66.

[15] Gra karciana.

[16] Język dolnoniemiecki.

[17] Odpowiadało to około 200 do 280 ha. Źródło: Heinrich Dyck, *Dziennik żuławski 1878*, wyd. Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich Taka Gmina, pod. red. Leszka Sarnowskiego i An-

drzeja Kasperka, Sztum – Nowy Dwór Gdański 2015, s. 162.

[18] *Mennonici na Żuławach. Ocalone dziedzictwo*, s. 25–26.